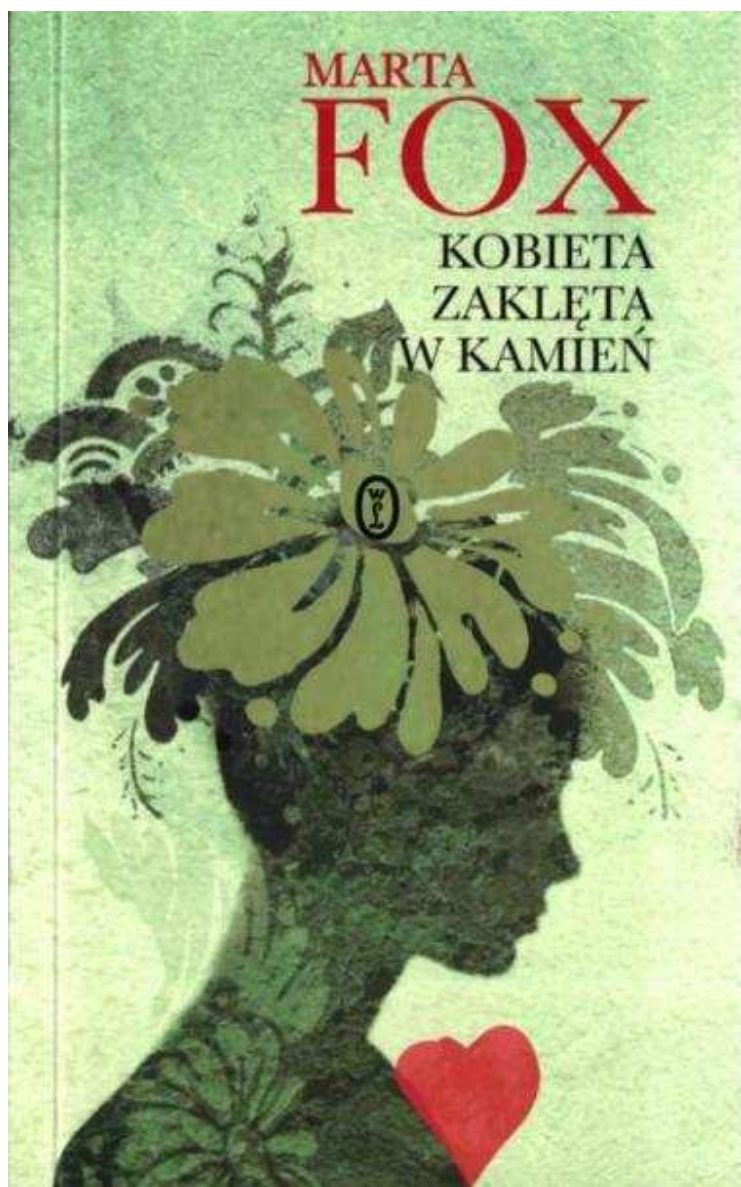


MARTA  
**FOX**

KOBIETA  
ZAKŁĘTA  
W KAMIENĆ



Emilia jest pisarką i szczęśliwą, zakochaną kobietą. Ma troje dorosłych dzieci: dwie córki oraz syna, Alana. Alan to owoc romansu z Filipem, który przed laty zostawił ją, przerażony wizją ojcostwa. Dla Emilii jeszcze większym ciosem była decyzja dorosłego już syna o wyjeździe na stałe do Francji, do ojca. Czas co prawda goi rany, lecz wspomnienia tamtych zdarzeń nabierają nowego znaczenia, gdy Emilia dowiaduje się, że jest poważnie chora. Budzi się w niej zaskakująca tęsknota, ale i siła. Postanawia odwiedzić Alana i Filipa w Paryżu, aby naprawić relacje, których wcześniej nie umiała odbudować...

*Kobieta zaklęta w kamień to piękna, mądra historia o poszukiwaniu miłości i spełnienia. To opowieść o tym, że swojego szczęścia warto szukać zawsze i mimo wszystko.*



foto: Aneta Szostkiewicz

**Marta Fox** – pisarka, poetka, eseistka. Laureatka wielu nagród literackich. Autorka ponad dwadzieścia książek, w tym bestsellerowych *Mądra dusz*, *Święta Rita od Rzeczy Niemożliwych* oraz *Coraz mniej milczenia. O dramatach dzieciństwa bez tabu*.

cena 29,90 zł

ISBN 978-83-08-04383-7



9 788308 043837



WYDAWNICTWO LITERACKIE  
[www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

MARTA

# FOX

KOBIETA  
ZAKŁĘTA  
W KAMIENI

Wydawnictwo Literackie

## Kobieta zaklęta w kamień

Półnaga kobieta w białej tunice  
siedzi zaklęta w kamień  
na dworcowej ławce,  
wpatrzona w pierścień z malachitem,  
ignoruje łoskot wagonów.  
Mężczyzna, na którego czeka,  
zjawi się za pięćset lat  
lub być może wysiadł już  
tysiąc lat temu. Nieważne.  
Umawiała się na 13.20  
przed naszą erą lub po  
i tylko jej przyjaciel,  
genialny autysta,  
potrafiłby określić,  
w jakim dniu to przypadnie.  
Ale jego tu nie ma. Ona  
jest sama i czeka  
jak nie dokończona rzeźba  
szalonej Camille Claudel  
z podpisem: August Rodin.  
Mija kolejne tysiąc lat jej życia  
z dala od ognisk, dzieci  
i ołtarzy patriarchy.  
Jej mężczyzna, ci ludzie  
i dworzec to fatamorgana  
znikająca w zetknięciu  
z rzeczywistością:  
prawdziwe jest tylko czekanie  
zaklęte w kamień,  
samotne i okrutne  
jak miłość.

Ewa Parma

# ROZDZIAŁ I

## WIZYTA

Emilia nie miała nabożnego stosunku do własnego ciała. Do tej pory nie sprawiało jej większych kłopotów. Dbała o siebie bez modnej przesady, bez wykwintnych kosmetyków, solarów, seansów u kosmetyczki. Postępowała zgodnie z zasadą wpojoną w dzieciństwie: mydło i woda urody ci doda. Z czasem szare mydło, będące znakiem jej dzieciństwa, skądinąd ponownie wracające do łask u alergików, zastąpiła białym, natłuszczającym i delikatnie pachnącym. Do mydła dołączyła kremy nawilżające na dzień i półtłuste na noc. To wszystko.

Miała zawsze gładką twarz i gładkie ciało. To był niezaprzeczalny atut jej urody, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, tak samo jak kiedyś z idealnych wymiarów 92-62-92, zachowanych nieprzerwanie do czterdziestki.

Kilka miesięcy temu zauważyła na skórze różowe plamy. Pomyślała, że w okresie menopauzy to nic dziwnego. Kiedy jedna z nich zaczęła się napinać, błyszcząc w środku jak porcelana i swędząc, zaniepokoiła się na tyle, by szukać pomocy u specjalisty.

Na wizytę u dermatologa w państwowym ośrodku zdrowia czekała prawie dwa miesiące. Lekko zaróżowione plamy na wewnętrznej stronie przedramienia i w części łędźwiowej kręgosłupa były zdaniem lekarki prawie niewidoczne, więc patrzyła na Emilię jak na hipochondryczkę. Emilia najpierw przeszła kurację antyalergiczną. Zmiany na skórze nie zniknęły. Po kuracji antygrzybiczej, w postaci doustnych tabletek i kilku tubek maści, pojawiły się nowe plamy.

Dermatolożka rozłożyła ręce.

— Nie zdiagnozuję pani ambulatoryjnie — powiedziała. — Trzeba zrobić specjalistyczne badania. Najprościej pobrać wycinek skóry i przebadać go.

— Wycinek? O nie, żadnych wycinków — zaprotestowała od razu. Spojrzała na zdziwioną lekarkę i dodała: — Przecież te plamy to właściwie drobiazg, a wycinki kojarzą mi się, wie pani z czym, więc lepiej nie prowokować losu.

Lekarka proponowała ten rodzaj badania już przy drugiej wizycie, ale Emilia, nieskora do odwiedzania lekarzy i opowiadania od nowa o swoich dolegliwościach, liczyła na to, że kolejna tubka maści rozwiąże problem. Tym razem jednak otrzymała skierowanie do poradni przyklinicznej. Spojrzała krytycznie na wypisany druczek, skinęła głową na znak, że wie gdzie, po czym schowała go z cichym postanowieniem zapomnienia.

Nie wyciągała skierowania przez dwa tygodnie, w czasie których poszukiwała wiadomości w internecie, na forum dermatologicznym. Z konieczności szukała w ciemno, bo nie wiedziała, czego szukać. Czytała zwierzenia internautów, podziwiała nawet odwagę, z jaką szczegółowo opisywali dolegliwości, nie mówiąc o braku jakichkolwiek zahamowań w przekazywaniu intymności.

Nabierała powoli przekonania, że plamy nic nie znaczą, niczego złego nie zapowiadają, nie szpecą, nie łuszczą się, są właściwie niewidoczne i ktoś, kto nie wie, nie wypatrzy ich w zgięciu prawego przedramienia, w pachwinie prawej nogi, bo i tam się ostatnio pojawiły, w lędźwiowej części kręgosłupa czy z boku prawej piersi. Prawą część ciała miała zdecydowanie słabszą. Prawe oko gorzej widziało, ból kręgosłupa w części szyjnej promieniował zawsze na prawy bark, prawe kolano bolało częściej niż lewe.

— Nic mi nie jest — podsumowywała swoje wątpliwości. — Nic mi nie jest, przynajmniej w porównaniu z internautami szukającymi pomocy na forum.

Bardzo chciała, aby nic jej nie było, i powtarzając hasła pełne pozytywnego myślenia zaklinała świat.

A jednak następnego dnia znów myszkowała, porównując prezentowane w Internecie fotografie. Drukowała je nawet, przystawiała potem do swoich plam. Tym samym zdecydowanie odrzuciła kilka popularnych i uciążliwych chorób.

Bywało, że uśmiechała się z zadowoleniem, jakby przekonana, że banal ją omija.

W końcu wyciągnęła skierowanie i zatelefonowała do kliniki.

— Najbliższy termin na początku grudnia — powiedziała recepcjonistka.

— O matko — jęknęła Emilia — przecież to prawie dwa miesiące oczekiwania.

— I tak pani ma szczęście.

— Naprawdę nie można wcześniej?

— Zapisać? — warknęła recepcjonistka.

— Tak, zapisać, bardzo proszę — powiedziała Emilia z pokorą.

W chwilę potem wykreślała numery kolejnych znajomych, prosząc o pomoc w przyśpieszeniu terminu. Robiła to z dziką pasją, jakby nagle poczuła, że każdy dzień zwłoki odbiera jej szansę wyjścia z choroby, jakby nagle pojęła, że straciła dwa tygodnie, ociągając się, doksztalając niepotrzebnie w chorobach, które jej nie dotyczyły, i licząc nie wiadomo na co.

Nauczyła się już, że trzeba mówić o swoich potrzebach i oczekiwaniach. Trzeba umieć prosić, wiedząc, że proszony ma prawo odmówić bez usprawiedliwienia, a proszący nie powinien się obrażać i zapamiętywać odmowy. Dzięki asertywnej postawie, która ciągle jeszcze nie była jej mocną, czyli „lewą” stroną, czasem uzyskiwała to, o co zabiegała. Inna rzecz, że rzadko prosiła o cokolwiek dla siebie. Tym razem jednak



zdołała przyspieszyć termin wizyty w klinice, w dodatku u samej pani profesor, zwanej przez pacjentów i personel Profesorką. Była zadowolona z działań, tydzień oczekiwania to zdecydowanie krótsza męczarnia niż dwa miesiące.

Szła na pierwszą wizytę spokojnie, jakby pewna, że problem okaże się niewart zachodu, więc niepotrzebne będą specjalistyczne badania i wycinki. W gabinecie lekarskim niewiele tłumaczyła. Właściwie tylko pokazała plamy.

— No tak, no tak — kiwała głową pani profesor. — Niestety, tak to wygląda, proszę przejechać ręką, o tutaj. Czuje pani?

— Co? — zapytała Emilia.

— Wyraźne zgrubienie, twardość, prawie kamień.

— Kamień? Czuję tylko lekko szorstką skórę — upierała się Emilia. — To zaledwie lekka szorstkość, znikająca po posmarowaniu tłustym kremem — przekonywała bardziej siebie niż lekarkę.

— Żadnych kremów. Żadnych niepotrzebnych kosmetyków, żadnych dziwactw.

— Pani profesor, właściwie to nic mi nie jest.

— No jasne, i dlatego pani do mnie trafiła! Niestety, mówiąc wprost, ma pani pecha, ale mogę się mylić, powiem więcej, w takiej sytuacji bardzo lubię się mylić — Profesorka mówiła bardziej do siebie niż do Emilii. — Nie martwić się to podstawa. — Teraz spojrzała na Emilię łagodnie. — Zmiany są wprawdzie widoczne, ale to nie powód do niepokoju, bo

jeszcze pani w jakąś psychozę wpadnie. Zrobimy badania, trzeba się będzie położyć w szpitalu, rozpoczniemy leczenie i musi się pani nauczyć z tym żyć, tylko tyle. Aha, pobierzemy jeszcze wycinki z nowych zmian, najlepiej jutro, na cito.

— Nie martwić się? Nauczyć się żyć? Z „tym”, czyli z czym?  
— zadała aż trzy pytania jednocześnie.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Pani profesor albo nie słyszała, zajęta wypisywaniem skierowań, albo udawała, że nie słyszy, by nie udzielać zdecydowanie pewnych odpowiedzi.

— Na cito? — zapytała znów. W jej głosie było wyraźnie wyczuwalne drzenie, lekarka jednak nie zareagowała. — Pani profesor, w recepcji podpisałam kilka papierków, między innymi i ten, że mam prawo do pełnej informacji.

— Za dwa tygodnie będą wyniki i wtedy na pewno przekonamy się, co i jak. Przepraszam panią, nie powinnam była niczego sugerować. — Lekarka nie patrzyła jej w oczy, zajęta przeglądaniem pism leżących po prawej stronie biurka. — Może niepotrzebnie chciałam panią potrząsnąć. To dlatego, że próbowała pani bagatelizować dolegliwości. W klinice zrobimy wszystkie badania.

— Przecież już teraz ma pani konkretne podejrzenia, więc proszę powiedzieć — upierała się Emilia.

Profesorka odłożyła długopis, po czym już spokojnie spojrziała na Emilię.

— Sclerodermia, prawdopodobnie.

— A więc jednak — wyszeptała Emilia. — Co mnie czeka?

— Leczenie.

— Jakie leczenie, pani profesor? — Emilii tym razem nie udało się skryć drżenia rąk i głosu. — Przecież na to nie ma lekarstwa, niech mnie pani nie uspokaja, trochę już się naczytałam.

— To niech pani nie czyta, nie będzie nadgorliwa.

— Nie czyta? To tak, jakby mi pani powiedziała, że mam zasnąć na zawsze, natychmiast.

Profesorka milczała przez kilka sekund, zawieszona pomiędzy słowami „zawsze” i „natychmiast”, wreszcie powiedziała:

— Spróbujemy leczyć, oczywiście decyzja zależy od pani, wołami pani do szpitala nie zaciągnę, a bezpośredniego zagrożenia życia nie ma. I niech pani nie czyta więcej, wiem, co mówię, bo w internecie wypisują głupoty.

Uśmiechnęła się pocieszająco, patrząc Emilii prosto w oczy.

— Na co panią leczono? Na alergię, grzybicę? Nic dziwnego, ale niech pani wszystko odstawi. Na razie piascedine 300, przez dziewięć miesięcy, będzie to trochę kosztować, lek produkowany jest we Francji, ale dziś można go dostać w każdej aptece. A jak nie ma, to zamówić, sprowadzą na drugi dzień, żaden problem. Niestety, pokoje w szpitalu są sześciuosobowe, ale za to pacjentki wesole — uśmiechnęła się zza okularów.

— Musi pani już teraz wyrazić zgodę na hospitalizację, bo na wolne łóżka w klinice długo się czeka.

Uniosła czarne brwi, potrząsnęła bujnymi kruczoczarnymi włosami i wydeła lekko usta pociągnięte wrzosową szminką, idealnie pasującą odcieniem do wzorku na czarnym swetrze.

Emilia jęknęła. Przecież jeszcze nie było wyników badań histopatologicznych, czyli teoretycznie można liczyć na mniej inwazyjny rodzaj choroby, trwający dłużej, ale dający szansę na samodzielne życie poza szpitalem. Wpatrywała się uważnie w twarz Profesorki. A ta próbowała być zwyczajna, nieprofesorska, odsunąć od niej najgorsze, wyrażać się kolokwialnie, bagatelizować sprawę, jakby przeczuwając, że Emilia jest nadwrażliwa i wymaga specjalnego podejścia. Zielonym długopisem, z nadrukiem nazwy leku lub firmy farmaceutycznej, czego Emilia nie mogła odczytać, choć wyteżała wzrok, jakby to było w tamtej chwili najważniejsze, wypisywała zlecenia na receptach: na to, na tamto, o godzinie, jutro, za dwa tygodnie. Wszystko zapisywała dokładnie, wiedząc z doświadczenia, że pacjenci dopiero w domu studiują kartki i recepty. Stukała tipsowymi paznokciami, na których lśniły fiołkowe gałązki.

Estetka, pomyślała Emilia, to dobrze, przynajmniej miło popatrzeć, kolorowe paznokcie. Ostatnio czytała o czerwonych paznokciach: czerwień, paznokcie, Oriana Fallaci, „święta

Oriana od Spraw Wielkich i Nieuniknionych, co czuwa z wojskowym zegarkiem na rękę”, powtarzała słowa poetki urodzonej na „ziemi pieronów i tyskiego piwa”, czyli Ewy Parmy.

Czerwone paznokcie Oriany Fallaci, wścieklej Oriany, fioletowe paznokcie spokojnej profesorki od diagnoz medycznych i wyroków, blade, perłowe paznokcie Emilii od spraw zagmatwanych, czerwień, fioleć, perła, czerwień.

— Proszę wybaczyć — lekarka wyciągnęła chusteczkę i odeszła na chwilę od biurka — katar mnie łapie, a nie mogę sobie pozwolić na niedyspozycję.

— Ja też nie mogę, pani profesor, mam plany do końca grudnia, z których nie powinnam i nie chcę zrezygnować.

— Plany, ho, ho, jakoś się dogadamy, ustalimy, przedstawimy — dowcipkowała lekarka, nie wypytując o konkrety, jakby wiedziała, czym Emilia się zajmuje. Może wiedziała, przecież termin wizyty został przyśpieszony dzięki znajomemu lekarzowi pracującemu w tej samej klinice, tyle że na innym oddziale.

Emilia wyszła z gabinetu skulona, z rękami w kieszeniach, z opuszczoną głową. Zgarbione plecy miały bronić ją przed ciosami z zewnątrz, ale nic więcej na nią nie spadło. Zrobiła zatem trzy głębokie wdechy, rozchyliła szalik, podniosła głowę. Mżawka zwilżyła jej twarz. Do samochodu podeszła z podniesioną głową i sprężystym krokiem. Wsunęła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik.

— To jest, niestety, właśnie to, o czym myślałam — oświadczyła.

— Wszystko będzie dobrze, kochanie — powiedział Tomasz.

Nawet nie miała ochoty krzyknąć, że niczego nie rozumie, bo nawet jeśli nie rozumiał, to przeczuwał. Dzielila się z nim informacjami wyszperanymi w internecie. Nie traktował ich poważnie, powstrzymywał Emilię przed poszukiwaniami na własną rękę, przekonywał, jak Profesorka, że niewiedza jest bezpieczniejsza.

Łzy popłynęły jej po policzkach. Dlaczego ja? — pomyślała, jak wszyscy w podobnej sytuacji. Za jakie grzechy, cóż to za kara? Bóg nie odwraca nieszczęść od innych, dlaczego miałby odwracać od niej? Już i tak zbyt długo dobrze jej się powodziło, może siedem tłustych lat właśnie minęło. Ostatnio zbyt spokojnie było, może to spokój przed burzą, myślała. Któryś z bohaterów jej powieści myślał podobnie, czy aby nie ten oczekujący z kwiatami na przyjazd ukochanej na peronie czwartym i modlący się o to, by wysiadła z pociągu? Pokorny, kurwa, pokorny. Pokorny i pogodzony. Nie ukrywała teraz wściekłości i po cichu powtarzała brzydkie słowo, z akcentem na „r”.

— Całe życie musiałam być dzielna, czy to jeszcze mało? Czy muszę być jeszcze bardziej dzielna, znów walczyć? Tym razem nie z innymi, tylko sama z sobą?! — wykrzyczała.

Tomasz milczał, nawet wtedy, gdy gwałtownie zahamowała. Zazwyczaj w takich sytuacjach komentował jej gapiostwo, do-rzucając trzy grosze znawcy przedmiotu, choć sam nigdy nie zrobił prawa jazdy.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedział, kiedy podjechała pod dom, parkując jak zwykle niezgrabnie.

– Jestem z tobą i będę na dobre i na złe, pamiętasz, jak ci napisałem przed laty? Pamiętasz?

– Na dobre i na złe, słoneczko.

– Słoneczko – powtórzyła – słoneczko dupeczko.

Z SZUFLADY EMILII (1)

<http://emily-foxy.blog.onet.pl>

## MOJA WIZYTÓWKA

Mam na imię Emilia.

Imię to wywodzi się od nazwy rzymskiego rodu Emiliu-szów. W Polsce znane jest od XV wieku. Emilia to ta, co patrzy i odkrywa świat. Astrologi twierdzą, że kobieta o tym imieniu jest wrażliwa, pilna, pełna temperamentu, dumna, intrower-tyczna. Sprawia wrażenie, jakby posiadała tajemną wiedzę i trzymała w dłoni księgę życia.

Emilia jest stała w uczuciach, gotowa do poświęceń, opie-kuńcza, przywiązana do rodziny i przyjaciół. Jest też zaborcza,

uparta, analityczna. Ma poczucie humoru, ceni życie artystyczne. Często rozpoczyna życie od nowa, jakby nie miała kresu.

Jestem pisarką.

To znaczy, że piszę książki, które są wydawane i czytane. Nie chomikuję tekstów w szufladach. Ten blog jest jedną z moich otwartych szuflad, do której wrzucam notatki z zamiarem wykorzystania ich w przyszłości. Może w książce o kobietach mądrych i szalonych, świętych i samotnych, kochających i wściekłych, cierpiących i upokorzonych.

Mam też inne zapiski. Są wiersze pisane na kartkach. Są prywatne zwierzenia, zapisywane w liniowanym kajeciku. To mój dziennik intymny, do którego nikt nie ma dostępu. Mam nadzieję, że nikt. Mój kot czytać nie potrafi, a Tomasz jest na tyle lojalny, że szanuje tajemnicę tego jednego pokoju, do którego nie można zaglądać.

Słynna pisarka o imieniu Emilia to Emily Brontë (1818-1848), autorka *Wichrowych Wzgórz*. Umarła na stojąco, obierając ziemiaki. Nie upadła na podłogę, pozostała wyprostowana, jak topola, z nożykiem do obierania w jednej ręce i kartoflem w drugiej.

## Święta Oriana od Spraw Wielkich i Nieuniknionych

„Wielkie nieba, nigdy nie zapomnę, co stało się w Rzymie, kiedy poprosiłam o irańską wizę (wywiad z Chomeinim) i poszłam do irańskiej ambasady z paznokciami pomalowanymi



na czerwono. W oczach bardzo fanatycznego muzułmanina to oznaka niemoralności. Przepęstwo, za które winowajczyni można amputować wszystkie palce. Trzęsąc się z oburzenia, urzędnik w ambasadzie polecił mi usunąć to czerwone i gdybym mu nie powiedziała, co ja bym chętnie usunęła z dolnych rejonów jego ciała, pewnie bez wahania by mnie ukarał” – napisała Oriana Fallaci we *Wściekłości i dumie*.

Oto ona: impulsywna, bezkompromisowa, odważna, gdy trzeba, nie przebiegająca w słowach, z których te najważniejsze pisała wielką literą, dbająca o styl wypowiedzi, o jej rytm, kadencje, celowe powtórzenia, histeryczna, patetyczna, miała pseudonim „Emilia”. Dostała po wojnie odprawę od rządu włoskiego, za którą kupiła buty dla siebie i dwóch sióstr.

Wycofała się z życia zawodowego na dziesięć lat i milczała aż do 11 września 2001 roku. We wszystkich krajach opublikowany został wtedy esej-kazanie, w którym zaatakowała świat muzułmański. Chciała, by jej krzyk obudził cywilizację Zachodu, podszytą ignorancją, nieznajomością historii i fałszywą tolerancją.

Oskarżona została o rasizm religijny, o podżeganie do nienawiści, ksenofobię, nazwana islamofobką, rozhisteryzowaną babą, wrzeszczącą, że nie zgadza się na przemianę Europy w Eurabię. Mało kto pamiętał, że krzyczała nie tylko, kiedy zabijali muzułmanie, ale także wtedy, kiedy mordowano muzułmanów.

*Czerwone paznokcie Oriany Fallad* to tytuł artykułu profesora Tadeusza Sławka, opublikowanego w „Tygodniku

Powszechnym” (nr 42, z 21 października 2001 r.). Autor stara się udowodnić, że błąd Fallaci polega na utracie dystansu i rozumnej refleksji, ponieważ odreagowuje przez gniew, wściekłość i opluwanie. „Gdy ostatnie przekazy telefoniczne od osób umierających w stalowych wieżach mówiły o miłości, Fallaci uczy jedynie nienawiści” — pisze.

Ma Pan rację, Profesorze, ale to jest Pana racja, racja akademika, poety uczonego, kochającego złoty środek. To nie jest racja schorowanej Fallaci, interesującej się od zawsze polityką i znającej się na polityce, w której „nawet anioł staje się dziwką”, jak powiedział jej Mieczysław Rakowski w wywiadzie, udzielonym, kiedy był premierem naszego rządu.

Moja prawda, gdyby mnie ktoś o nią zapytał, byłaby prawdą kobiety nie znającej się na polityce, wartej nieco więcej niż wielbłąd, nie widzącej w sobie tylko „brzucha do rodzenia dzieci” i nie potrafiącej zrozumieć bohaterstwa matek posyłających dzieci na śmierć i dumnych z tej śmierci. Jestem bowiem zawsze po stronie „Nike, która się waha”. Fallaci martwi się o zachodnią kulturę, o zabytki, które zostaną przesłonięte przez meczety. Ja widzę koniec własnego nosa i martwię się o swoje dzieci, o to, w jakim świecie przyjdzie im żyć.

Dziś przejrzałam listę zamachów terrorystycznych. Włos mi się zjeżył. W roku 2001 było ich 30, w roku 2008 — 37, łącznie z ostatnim, w Bombaju (rok 2008). A rok jeszcze się nie skończył. Beksa jestem, płakałam. Płakałam, malując paznokcie na czerwono. Płakałam łzami, czyli tak, jak nie umiała płakać Fallaci.

Od 1943 roku nie wilgotniały jej oczy, czasem tylko dusiło ją w gardle. To, co napisała po 11 września, było, jak sama nazwała, niepohamowanym płaczem nad żywymi, nad martwymi. Tyle że łzami stały się słowa. Te łzy nie kapwały dyskretnie, w sposób wyważony, one się lały strumieniem. Pisała je kobieta umierająca, która chciała wydać z siebie przerażający ostatni krzyk. Miała prawo do hysterii, może zobaczyła więcej.

Spowiadała się z życia, wygłaszając ostatnie kazanie, a Pan się z niej naśmiewasz, Maestro Sławek, którego skądinąd uwielbiam.

Oriana Fallaci umarła.

Miałam nadzieję, że się myliła.

Każdego dnia fakty przyznają jej rację.

Cóż ja bez niej pocznę teraz ?

Jej krzyk był jakimś rozwiązaniem, prawda, Maestro?

## ROZDZIAŁ II

### SEN

W nocy Emilii śniło się, że umarła.

Była przerażona, ponieważ niby umarła naprawdę, ale po śmierci żyła, tyle że w pustce, bez towarzystwa duchów, w ciemności.

— To tak ma wyglądać raj? — pytała, przekonana, że jeśli już gdzieś miałyby trafić, to właśnie tam. — A gdzie obiecana przez Borgesa biblioteka, gdzie sam Borges, gdzie Cortázar, gdzie inni piszący i czytający?

Czyżby więc dostała się do piekła? Czyżby w piekle nie było kotłów, diablów, ognia, jęków? Czyżby piekło polegało na ciszy i ciemności?

— Nie wyplułaś duszy, jak radził Juan Rulfo, nie zapłakałaś, zanim zostaniesz zamknięta w drewnianej skrzynce — szepnął jakiś znany jej głos.

— W jakiej skrzynce? Przecież muszę być spalona, żadnych skrzynek, tylko prochy na cztery strony świata! — wrzasnęła. — Muszę być spalona, jak Sydonia Borek, krwi szlacheckiej, która na torturach przyznała się do wszystkiego.

— Zapłacz, zapłacz, to wyplujesz duszę, pozwól sobie na płacz, to żaden wstyd, czasem dobrze zlitować się nad sobą.

Bądź dla siebie dobra, płacz — szeptał głos.

Obudziła się, łkając.

— Będzie dobrze, Emi — Tomasz przytulił ją — zobaczysz, będzie dobrze.

— Wiem — powiedziała — tylko muszę być dla siebie dobra, muszę płakać i wypluć duszę.

Nie zdziwiły go te słowa.

Emilia czasem popadała w stany, które nazywała „mystyką na własny użytek”. Lubiała wierzyć, że prócz codzienności, prócz politycznych przepychanek, małości jest także świat idei, ducha, uniesień, niewytłumaczalnych w racjonalny sposób.

O ósmej rano miasto było zakorkowane, dojazd do szpitala zabrał jej pół godziny, choć mieszkała niedaleko. Prawie nigdy nie jeździła w godzinach szczytu, więc nie wiedziała, że przedostanie się do centrum jest takie trudne, dziwne, przecież to nie metropolia. W dodatku nie mogła nigdzie znaleźć miejsca do zaparkowania, więc jeździła trzy razy w kółko, tracąc nadzieję, że dojedzie na czas. W końcu podjechała na parking pod Pałacem Biskupim, barierki automatycznie się podniosły. Na placu stało kilku młodych księży, ze zdziwieniem obserwujących jej manewry.

— Cóż tak patrzycie, panowie, lepiej mi doradźcie, gdzie mogę się wcisnąć.

Pokierowali nią, wjechała peugeotem pomiędzy dwie dostojne czarne limuzyny. Pewnym krokiem przeszła przez plac

między katedrą i pałacem. Nikt jej nie zatrzymał, nikt nie zapytał, czy ma pozwolenie na parkowanie. Gdyby nawet ją zapytano, skłamałaby, że za chwilę nagrywa audycję w Radiu EM.

W szpitalu znieczulono ją preparatem w aerozolu i zastrzykiem, pobrano dwa wycinki z różnych miejsc, założono opatrunki. Nie bolało. Po godzinie opuściła stare mury Kliniki Akademii Medycznej, przy ulicy Francuskiej, sąsiadującej z cmentarzami katolickim i ewangelickim. Sąsiedztwo wyjątkowo kompatybilne, pomyślała, po czym uśmiechnęła się do sposobu, w jaki użyła słowa wywodzącego się z języka operacji komputerowych.

Musiała się zdecydować, co będzie robić, bo na gimnastykę wzmacniającą kręgosłup była już spóźniona. Wysłała SMS-a do fizykoterapeutki: „Marylko, będę o 11.30. Czy zdążysz mi jeszcze zrobić coś dobrego?”.

Marylka odpisała: „Jestem w Turcji, w gabinecie jest Darek, zrobi Ci lepiej”.

Darek, masażysta, znęcał się, jak mówiła, nad jej kręgosłupem. Kiedyś chciała się do niego przymilić i powiedziała: — Panie Darku, od takiego mocnego masażu to się chyba chudnie, prawda? — Zdecydowanie oznajmił: — JA tak, pani Emilio.

Świeciło słońce, tańczyły złote liście, była ubrana w długą czarną spódnicę ze sztruksu, czarną skórzaną kurtkę rockandrollową, czarny męski kapelusz, czerwony szal. Ludzie się za

nią oglądali, bo mimo czarnych ubrań stanowiła wyróżniającą się plamę na tle szarości ulicy, domów i śpieszących się ludzi.

Ona się nie spieszyła.

Poczuła się prawie szczęśliwa. Zniknął ucisk w środku; lekka, szurała nogami pośród klonowych liści. Nie bała się, bo już wiedziała, złe przyszło, za dwa tygodnie może przyjść jeszcze gorsze, gdy wyniki histopatologii pokażą groźniejszą wersję choroby, która będzie próbowała zamienić Emilię w kamień.

Po masażu pojechała do Radia OK, nagrać godzinną audycję o pozytywnym myśleniu i trzeciej części opowieści o dzielnej Magdzie, nowej książce, którą miała podpisywać na zbliżających się Targach Książki w Krakowie. Kręciła się w kółko po mieście, mogła inaczej zaplanować dzień, ale jakoś planowanie jej się ostatnio nie udawało.

Spotkała się w kawiarni radiowej z siostrami, Anetą i Gosią, podarowały jej bukiet kwiatów, bez okazji, i nową płytę Edyty Geppert. Szalone dziewczyny, pomyślała, choć na co dzień tkwiące w biznesach, interesach, do których nie potrzeba szaleństwa.

Wróciła do domu, usmażyła cztery naleśniki, włączyła okap z wentylatorem i otworzyła okno, by zapach, choć miły, nie rozprzestrzenił się po domu. Tomasz już wcześniej przygotował ser z rodzynkami i płatkami migdałowymi. Połała naleśniki ajerkoniakiem i sosem czekoladowym. Zjedli w milczeniu,

powoli, popijając czarną herbatą, zaparzoną w czajniczku z bawarskiej porcelany. Siedzieli w kuchni, niedawno remontowanej zgodnie ze wskazówkami młodszej córki, Doroty.

Potem pisała blog na wcześniej wymyślony temat, rozmawiała z Dorotą, która po raz kolejny powiedziała, że plakat z Marilyn Monroe pasuje do ściany w kuchni jak pięść do nosa. Tym się Emilia ani trochę nie zraziła, bo знаła gust Doroty, niechętny wypełnionym ścianom i aktorce, w której nie widziała nic ciekawego. Codzienną gazetę czytała, siedząc w ulubionym fotelu, podobnym do tego, w którym siadał z fajką Sherlock Holmes. Fotel odziedziczyła po babci Leokadii. Był ozdobą salonu, tak jej się przynajmniej wydawało, choć córki, uwielbiające styl minimalistyczny, miały inne zdanie.

Czytanie gazety rozpoczynała od lokalnego dodatku, w którym pisywali dobrzy znajomi, przed laty przesadnie nazywani przyjaciółmi. Teraz witała się z nimi na premierach teatralnych, wymieniając głupie „co słyhać” i dziwiła się, ile czasu kiedyś z nimi spędzała i jak mało inspirujące były te spotkania. Dziś wolałaby spędzać ten czas sama z sobą. Albo z Tomaszem. Albo z wnukiem.

Jeszcze niedawno nie wyobrażała sobie popremierowego bankietu bez swojego udziału, dnia bez godzinnego gadania przez telefon. Teraz stroniła od życia towarzyskiego, powierzchnowych kontaktów. Nie interesowało ją gadanie, modne



plotkowanie, bywanie, zapraszanie, nie daj Bóg – grillowanie. Jeśli zdarzało się, że jednak kogoś odwiedzała, wytrzymywała tam nie więcej niż dwie godziny, w czasie których wyobrażała sobie, co by zrobiła, gdyby była w domu, co by przeczytała, napisała lub choćby uporządkowała.

W jej gabinecie, na biurku, z prawej strony, leżała nie otwarta w tym dniu korespondencja: zaproszenia, rachunki, wyciągi bankowe i jeden list prywatny od szalonej poetki, zaadresowany ręcznie, kaligrafowanym pismem, piórem. Koperkę rozcięła specjalnym nożem. Lubiła celebrować otwieranie tradycyjnych listów.

*Emilio, najmiłsza, czy ten liścik odnajdzie Cię tu i teraz? A może wyjechałaś do krajów obcych i obiecujących. Może zdążasz szlakiem poetyckich natchnień. Panno wiatrem rozsądku podszyta. Świetna Twoja kapota. Uporządkowane życie.*

*O Ty, w kapeluszu, na szpilkach, z nogą w maśle. Spoza prętów widelca słodko uśmiechnęta. Dużo Ciebie, Emilio, jak obłoków na niebie. Z Tobą spotkać się warto, bo to wielka frajda. Rozdajesz się, rozlewasz jak wino. Dziewczyño młodsza od lata. Płodna i doświadczona, spełniona. Ty nie wiesz, czym jest czekanie na uśmiech Pana.*

*Ty nie czekasz, bo nie musisz ani prosić, ani żebrać. Bierzesz życie za kudłaty łeb i tarmosisz wedle własnych chęćstw. O Emilio, dzielna kobieto, żyć potrafiąca w słońcu*

*i deszczu, błogosławionaś wśród bab wypinających dupy na słońce.*

*Eda Twoja*

Emilia poczuła się po przeczytaniu listu jak kolor niebieski i zielony jednocześnie. Bo Eda była niebieska na zewnątrz i w środku zielona, wykładana wierszami jak szkatułka cenną materią. Im starsza, tym bardziej oddana Bogu, tym bardziej czująca trwogę, jak Jezus w ogrodzie. Dla ateistów była kościelna za bardzo, w Kościele siała ferment. Bez telefonu komórkowego, bez internetu, z wierszami na smyczy. Powtarzała, że ukłuta szpilką w dzieciństwie, od tamtej pory wije się z bólu, przekonana, że świat należy do macho, a niebo do każdego.

Emilia lubiła listy Edy, bo dzięki nim czuła, że są ludzie łączący codzienność z mistyką, choćby jej źródłem było obieranie kartofli. Wiersze Edy były jak płonące pomarańcze, jak piejące o świecie chude koguty. Raz Emilią potrząsały, innym razem rozlewały się w niej kojąco niebieskim obłokiem lub szumiącą wierzbą.

— Mam na imię Eda — tłumaczyła. — Eda od Edycji. *Editio, editionis* — wydanie, podanie, projekt. *Edo, edidi, editum* — wydać z siebie, wydać na świat, nazwać, wydobyć. Ale też *edo, edi, esum* — jeść, pożerać, żreć.

Kiedy wypowiadała te słowa, śmiała się oczami, świdrowała nimi Emilię, jakby sondując jej myśli i własną wiarygodność.

— Oczywiście, Eda od pożerać, zgadzam się z tobą, doskonała etymologia! Eda pożerająca i wydająca słowa, Eda jako stworzycielka metafor, boska Eda, cała w kolorze blue.

— Nie żartuj — poważniała — jestem przecież tylko skromną niewolnicą Pana, niewolnicą wiary, bez której by mnie nie było. Wolalabym żyć normalnie.

— Myślisz, że jestem normalna? — pytała Emilia.

— Jak na osobę piszącą również wiersze, to aż za bardzo. Jesteś dla mnie wzorem normalności, poukładania, harmonii, i w ogóle wzorem.

— Hi, hi hi — roześmiał się Tomasz ze swojego kąta, jakby miał dla Emilii inną diagnozę i tej nie dowierzał.

Pisały do siebie rzadko, kilka razy w roku, spotykały się jeszcze rzadziej, szczególnie gdy Eda wyjechała ze Śląska, by wrócić do korzeni, do miasta na wschodzie Polski, i pisać tam „niespokojne epizodziki poetyckie”.

Rzeczywiście, Emilia w listach do Edy była najczęściej konkretna, przyziemna, zabiegana, zanurzona w codziennych sprawach i problemach. Operowała faktami, terminami, próbując udowodnić, że życie to suma dni pełnych wydarzeń, a nie ulotnych myśli, zapachów, wydumanych drzazg, wprowadzających umysł w stan dziwnego kolebania na granicy jawy i snu.

Dziś nie była jednak w nastroju do odpisywania. Z trudem przyszóby jej odwzajemnienie się listem pisany piórem.

Otworzyła laptop, odebrała pocztę. Wypatrywała tylko prywatnych listów, bo na służbowe zwykła odpowiadać rano, od tego właściwie zaczynając swój dzień.

Otworzyła list od Olgi, koleżanki ze studiów, jedynej, z którą do tej pory utrzymywała kontakt, częściej korespondencyjny niż bezpośredni. Olga, nauczycielka na emeryturze, matka dorosłych dzieci, dwóch chłopaków po studiach, ustawionych zawodowo w biznesie ojca, od niedawna nauczyła się korzystać z komputera i internetu i dzięki portalowi Nasza Klasa, nawiązywała kontakty z przeszłością. Często też pisała do Emilii, częściej niż dawniej, zawsze podkreślając, że nie oczekuje regularnych odpowiedzi, ale miło jej będzie, jeśli je otrzyma. Olga wspominała lata studiów, barwnie opisując wydarzenia, których Emilia albo wcale nie pamiętała, albo pamiętała zgoła inaczej. Tym razem list dotyczył Tomasza.

*Emilio Droga!*

*Nareszcie się otworzyłaś, zaspokoiliś moją próżną ciekawość i napisałaś o Tomaszu, uchylając choć trochę drzwi do świata, w jakim żyjesz. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa i zadowolona, skoro dziesięć lat tkwisz w związku, który dla mnie jest z każdej strony dziwny. Czy naprawdę życie Cię*

*niczego nie nauczyło? Nie muszę być blisko, by wiedzieć, że Twój partner jest starym hippisem, którego niańczyś bardziej, niż w przeszłości niańczyłaś męża. Nie cierpiałam tego Twojego męża. Dopiero teraz mogę Ci to wprost powiedzieć, jak już wiem, że od wielu lat jest Twoim byłym. Na moje wyszło, kochana, ale dobrze, że się od niego uwolniłaś.*

*Masz rację, mój świat jest z zupełnie innej bajki. Zawsze się zastanawiałam i nigdy nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi, jak to się stało, że taka piękna, mądra, utalentowana i seksowna dziewczyna jak Ty, tak niewiele chciała od życia, tak niewiele dostała.*

*Zamiast domagać się wszystkiego, co najlepsze, zwyczajnie uciekałaś. Wpadałaś w wielkie namiętności i zauroczenia, które oczywistą kolejną rzeczą nie mogły przetrwać próby czasu. Być może teraz masz co wspominać i serce Ci podskakuje, ale czy takie wspominki mogą być pociechą?*

*Dalej niewiele wiem o tym, kto jest ojcem Alana? Fama głosi, że to teraz wielki artysta, podziwiany w Paryżu. Wiesz, ja wskoczyłam na głęboką wodę mądrego małżeństwa i nauczyłam się całkiem nieźle pływać, a co ważniejsze, utrzymywać się na powierzchni. Szczęściara ze mnie.*

*Powiedz, czy teraz, gdy osiągnęłaś literacki sukces, jesteś zadowolona z siebie? Czy jesteś szczęśliwa? Czy potrafisz cieszyć się mężczyzną żyjącym w obłokach swoich szalonych wizji, umieszczanych w wirtualnej galerii?*

*Czy przynajmniej dzięki tym wirtualnym bytom stać go na cukierki dla Ciebie? Bo nie sądzę, by te wizje gwarantowały Ci ochronny parasol, którego potrzebuje każda prawdziwa kobieta, a tym bardziej, jeśli jest pisarką. Jesteśmy coraz starsze.*

*Teraz to już trzeba się cieszyć każdą radosną minutą, gdy ktoś bliski poda kawę, jak Tomasz Tobie albo ja swojemu mężowi. Trzeba się cieszyć, gdy coś się uda, gdy porozmawiamy z przyjaciółką, tak jak ja teraz z Tobą. Przetrwałyśmy razem wiele lat. Może ja Ciebie nie rozumiem, ale zawsze Cię kochałam i lubiłam. I niech tak będzie nadal.*

*I tym pogodnym akcentem kończę te płynące z głębi serca wynurzenia. Może niesprawiedliwe, ale akceptuję Twoje wybory i jestem zawsze na wyciągnięcie ręki.*

*Twoja Olga*

Przeczytawszy list Olgi Emilia poczuła z jednej strony wściekłość wymieszaną z żalem, z drugiej bezradność pomieszaną z litością. To prawda, Olga stała z boku i mierzyła Emilię miarką kobiety praktycznej, „ustawionej” w życiu, karmiącej się wiedzą babć, które mówiły, że najważniejsze to dobrze wyjść za mąż, a potem utrzymać się na powierzchni za każdą cenę. Potem przychodziła zapłata w postaci świętego spokoju, wymoszczonego strzępami kompromisów, morzem łez wylanych w kuchni lub zamkniętej na klucz łazience.

Olga przetrwała z mężem całe dorosłe życie. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa i miłość, jakiej oczekiwała. Emilia podziwiała dyplomację Olgi, jej małżeńską lojalność. Nieraz sobie powtarzała, że przykład małżeństwa przyjaciółki dawał nadzieję na to, iż są ludzie, którzy potrafią się dogadać i wspierać. To znaczy, że także kochać.

Spokój, w którym tkwiła Olga, był Emilii obcy. Edzie także. Choć zupełnie inaczej układało im się życie, znajdowała z Edą wspólną przestrzeń, która nikogo nie drażniła, nikomu nie uchylała. Żyły każda w swojej bajce, podobnie jak Olga, ale ich bajki nie wykluczały się, a wprost przeciwnie, wyzwalały łagodną tęsknotę za czymś, na co miło popatrzeć z boku i co warto popodziwiać.

Olga była bliżej codzienności, Eda fruwała pięć metrów nad ziemią. Olga dodawała Emilii energii, karmiąc ją klanową mądrością kobiet, Eda wyzwalała w niej marzenia. Nie chciałyby się jednak zamienić ani z Olgą, ani z Edą.

Nie miała ochoty wysilać się na złośliwości ani tłumaczyć czegokolwiek. Może powinna wybuchnąć.

Przestrzenie Emilii i Olgi czasem się nie zazębiały. Ich prawdy miały zupełnie inne źródło. Z jednej strony Emilia mogłaby przyznać rację Oldze — nie szukała mężczyzn, którzy mogliby stać się dla niej oparciem. Z drugiej strony zaprzeczała, bo przecież nie o to jej w życiu chodziło, by posiadać, rachować, brać, ale o to, by poznawać, uczyć się i kochać. Inna

rzecz, że poznawanie bolało, na co wpadł już dawno mądry Kohelet, nauczając o marnościach. *Vonitas vanitatum et omnia vanitas*. Tak, wszystko marność. Marność nad marnościami. Im więcej poznania, tym więcej cierpienia. Im bardziej poznajesz, tym bardziej pragniesz poznawać.

Na końcu dochodzisz do genialnego wniosku, że nic nie wiesz. Przynajmniej to wiesz. „W nic nie wierzę, nie mam nadziei na nic, jestem wolny” — przypomniała sobie epitafium na mauzoleum Nikosa Kazantzakisa, autora *Greka Zorby*.

Zapra gnęła poczuć słońce tamtego samotnego lata w Heraklionie. Znalazła się tam z dnia na dzień. Po południu jednego dnia zdecydowała o wyjeździe, w południe drugiego patrzyła na dwa ogromne zdjęcia Kazantzakisa w hali lotniska. Wkrótce spostrzegła, że wszystko w Heraklionie jest nazywane jego imieniem, i ulice, i place, i nawet boczne drogi.

Zamieszkała w hotelu Kleopatra w Ammudarze, miejscowości oddalonej za ledwie o sześć kilometrów od stolicy Krety. Cykady szalały, termometr wskazywał 48 stopni Celsjusza. Miała ochotę tylko spać i nie myśleć. Uciekała od zmęczenia, od drobnych spraw. Wspominając tamten wyjazd, poczuła, że lubi w sobie tę umiejętność wyrwania się na kilka dni, ucieczki do siebie, by powstrzymać wewnętrzną gonitwę.

Większość czasu spędzała pod drzewkiem pomarańczowym w ogrodzie, z notesem w rękę, choć niewiele zapisywała. Albo



na szarej plaży z gruboziarnistym piaskiem. Albo patrząc na żółwie pływające w rzeczce koło hotelu. Albo na tarasie, wieczorem, kiedy temperatura spadała do 30 stopni. Już po trzech dniach oddychała spokojniej, głębiej. Zaczynała też o sobie myśleć w pierwszej osobie — obudziłam się, spojrzałam na morze, na kwiaty, na śmieci, a nie w trzeciej, jak to było tuż przed wylotem — wsiadła do samolotu, zapięła pasy, spojrzała w chmury. Był to znak, że nie robi z życia wzruszającej opowieści, tylko trwa w nim.

Emilia nie odpowiedziała na list Olgi. Wyłączając laptop, poczuła specyficzny rodzaj samotności, inny niż wtedy na Kreście, bardziej bezradny. Była sama ze swoimi myślami. Nie potrafiłaby ich przekazać ani Oldze, ani Edzie, choć chciałyby. Żadna by jej nie zrozumiała, każda tkwiła bowiem w swojej prawdzie. Prawda Olgi skrzeczała codziennością, prawda Edy fruwała pomiędzy dmuchawcami albo wyżej.

Nie potrafiła też strachowi nadać formy, zamienić go w przedmiot, list, wiersz.

W nic.

W nic.

Może tylko w kamień.

Tak, w kamień.

Z SZUFLADY EMILII (2)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

## SYDONIA VON BORCK, KOBIETA

„Spalmy tę czarownicę, będzie cieplej”.

Krzysztof Gąsiorowski

Tak, to ja, Sydonia Borek, krwi szlacheckiej, córka świętej pamięci Ottona von Borcka i świętej pamięci Anny von Borek, de domo Schwicheld, urodzona w Roku Pańskim 1545, na zamku w Strzmielu, wnuczka szalonego dziadka Ulryka i kuzyna Matzkego, zwanego Dzikim.

Tak, to ja, od dzieciństwa do innych dziewcząt niepodobna, nie chwaleńcy się, urodziwa, własnymi ścieżkami chodząca, a za mną pies Jurgen i czarny kot Chim, oczy mrużący przy obcych. To ja, dostojni sędziowie, niegdyś piękna dziewczyna, Biblię czytająca, na ziołach się znająca, teraz stara kobieta, ciągle dziewczyna, w bojaźni bożej trwająca, w klasztorze maryjańskim do niedawna myśli ku Bogu wznosząca.

To ja, Sydonia, sędziowie sprawiedliwi i szlachetni, choć prawdy nie znający, bo omotani fałszywymi świadectwami bliźnich, a w szczególności mniszek z klasztoru w Marianowie, oskarżających mnie o szkaradne praktyki, zaklinanie i przyzywanie choroby i śmierci. Oskarżono mnie, związane, wrzucono na trzeszczący wóz i przywieziono na zamek Oderburg.

Siedziałam długo w celi zimnej i wilgotnej, karmiona spleśniałym chlebem i wodą. Przez małe okienko słyszałam pisk

mew znad Odry i krakanie kruków kołujących nad bukami. Słyszałam jęki innych więźniów, skrzywienie krat i brzęk łańcuchów. Przyszłam, rozmawiałam z ptakami, z drzewami, łapałam promień słońca na ścianie, przykładałam go do serca mego i płakałam, kiedy mnie opuścił. Wszystko z samotności wielkiej.

W malignie widziałam psa i kota swego, po imieniu ich wzywałam, prosząc, by mi rany wylizali, ciepłem się podzielili. Gdybym taką była, za jaką mnie chcecie mieć, czyż trwoniałabym siły swoje na miotanie się od ściany do ściany, czyż wkładałabym głowę w kratę, wrzeszcząc o pomoc? Czyż wzywałabym imię Boga swego nadaremno i błagała w ciemnościach: To ja, Sydonia, sługa Twoja, daj mi znak, Panie, że jest sprawiedliwość, której ciemnota nie przysłoni.

Spójrzcie na mnie, sędziowie sprawiedliwi, jak z pogardą odrzucam oskarżenia gawiedzi, która się przeciwko mnie sprysnęła. Czym zasłużyłam na łamanie żeber, druzgotanie członków, zakładanie żelaznych butów na nogę i wsuwanie w palenisko? Czym na tron z kolcami, podgrzewany od spodu? Czym na obcęgi wyrywające paznokcie i zęby? Czym na żelazny hełm ściskający głowę i na kneblowanie?

To ja, Sydonia, ciągle Sydonia, która resztkami sił odwołuje to wszystko, do czego przyznała się na torturach. Nie uśmierciłam pastora Dawida. Zszedł był, gdyż zbyt często wątle zdrowie piwem z mojej piwniczki krzepił. Nie z mojej mocy ród Gryfitów umierał bezpotomnie. Nie zgładziłam klasztornej furtyana, który nagłej dychawicy dostał. Nie zgładziłam siostry

Magdaleny, zżarła ją gorączka płożowa w tajemnicy trzymająca.

Nie potrafię czarować, nie służy mi diabeł, nie mam w nim kochanka, w staropanieństwie dogorywam, w dziewictwie mi łono uszło. Nie zabiłam księcia Filipa, nie zabiłam dziecka Prechelowi. Mimo całej wiedzy swojej nie potrafię wyjaśnić ich zgonu. Przysięgam na krew Chrystusa, że ich śmierć nie moje sumienie obciąża.

To wszystko oskarżenia z palca wysane, sędziowie dostojni, oskarżenia ludzi z chorą wyobraźnią, zawistników wszędzie diabła węszących. Przywołuję waszą roztropność, wzywam rozsądek, w mądrość wierzę, która nie pozwoli wam we mnie czarownicy zobaczyć ani na stos skazać.

Sędziowie sprawiedliwi, toja, Sydonia.

Nie ma we mnie mocy nadziemskich. Przecież nawet ludzkiej mocy mi nie stało, by krewnym moim część majątku mnie należnego odebrać. Ludzie wierzą, w co wierzyć chcą, wymyślają złe moce, by swój los tłumaczyć, kozła szukają ofiarnego, bo wiedzy im nie dostaje, bo modlitw wznosić siły nie mają, bo łatwiej kamieniem rzucić w drugiego, byle kłody we własnym oku nie dojrzeć. Was, sędziowie, proszę o pomoc i Boga mego jedyne, a nie diabła kosmatego.

Jeśli głowa moja potrzebna jest do zaspokojenia sumień oskarżycieli moich, to zetnijcie ją. Już więcej sił nie mam do walki z oszczerstwami. Widać nie potrafiłam kochać bliźniego swego jak siebie samego. Nie potrafiłam trwać w posłuszeństwie wobec brata i sąsiada mego. Nie byłam cierpliwa ani

łaskawa, unosiłam się gniewem i pychą, pamiętałam, co złe, i szukałam poklasku dla osoby swojej.

Zetnijcie mą głowę, a potem w ziemi pogrzebcie. Uwierzcie, sędziowie dostojni, nie będzie wam cieplej od śmierci mojej, bo w życiu uczestniczyłam jak w sakramentach. I przepowiadam wam: nie umrę. Nim dwieście lat minie, imię moje powróci w pieśniach i każda kobieta je znać będzie. A bogowie będą je wypowiadać szeptem: Sydonia, Sydonia, niewinna Sydonia.

## ROZDZIAŁ III

### ROMAN, MAŻ

Była już dwadzieścia lat po rozwodzie. Mąż jej podziękował za zwrócenie wolności, stwierdzając, że on nie miałby odwagi. Roman do odważnych nie należał, to prawda. Wystarczyło, że ona była odważna, brała na siebie domowe ciężary i zadowalała się tym, że mąż dba o dzieci, pieniądze, liche, bo liche, też przynosi. Poza tym nie pije, wieczory spędza w domu i realizuje się według swoich niegroźnych zachcianek. Nie kłócili się, wydawało się, że patrzyli w tym samym kierunku, ale z perspektywy lat spostrzegła, że kierunek ten był rozbieżny.

Trudno dziś winić kogoś bardziej, rozmyślała, coraz to odrywając się od czytanej powieści i popijając herbatę przygotowaną przez Tomasza. Byli z Romanem dziećmi, kiedy wzięli ślub. On tuż po studiach, ona, osiemnastolatka, na pierwszym roku studiów. On jednak, wychowany przez zapatrzonych w niego rodziców starszaków (matka urodziła go w wieku czterdziestu trzech lat, co w tamtych czasach nie było znów takie częste). Zdolny, z wysokim IQ, z marną inteligencją emocjonalną, wszędzie był najlepszy: w szkole, na studiach, w pracy.

Wygórowana ambicja kazała mu sięgać najwyżej, ale brak konsekwencji, uporu, umiejętności komunikowania się z ludźmi, wszystko to sprawiło, że nie realizował marzeń.

Na studiach Roman wymarzył sobie dziewczynę, która nie zechciała być jego żoną, choć spełniała wszystkie postawione przez rodziców warunki. Najważniejszy był ten, że pochodziła z dobrego, czyli bogatego, domu i mieszkała przy właściwej ulicy. Ponieważ nie mógł sobie pozwolić na przegraną, szybko się zakochał w Emilii, choć jej atutem była tylko chęć natychmiastowego zamążpójścia. I może jeszcze uroda, choć z tego wówczas nie zdawała sobie sprawy — i więcej nic. Przynajmniej nic materialnego.

Połączyła ich najpierw potrzeba ucieczki z domu, bo zarówno on, jak i ona chcieli znaleźć własny kąt. Połączył ich także brak doświadczeń erotycznych. Aby ich nabyć, wypadało być małżeństwem, bo inaczej niemożliwe byłoby wspólne zamieszkanie w wynajętym pokoju, a tym bardziej w domu rodziców któregoś z nich. Nie zgadzało się to z wyznawanymi przez obie tradycyjne rodziny wartościami. Woleli więc ślub niż walkę z rodzinami.

Emilia uciekała od toksycznej matki i braku własnego kąta, on także miał wiele powodów do ucieczki. Byli biednymi dziećmi, które znalazłszy własną dziuplę, myślały, że rozwiąże im ona wszystkie problemy. Wkrótce okazało się, że to za mało.

Roman nie zrobił kariery naukowej, choć próbował, nie zrobił kariery partyjnej, choć próbował, dyrektorował też niezbyt długo. Tłumaczył, że nie potrafi być konformistą, choć Emilia myślała, że prawdziwszym powodem były jego chwiejność i strachliwość, próbowano nim przecież miotać w różne strony, co też mu się nie podobało, bo nie po to był w swoim mniemaniu najlepszy, by usługiwać innym, a swoich prawd nie potrafił przeforsować.

Jeśli zawsze spadał na cztery łapy, to dzięki swej gruboskości. Przed czterdziestką dochrapał się wreszcie doktoratu i jako specjalista w określonej dziedzinie, autor wydanych na ten temat książek, mógł brylować w kuratoriach.

Przez jakiś czas szedł konsekwentnie tą drogą, ale kiedy ze szkolnictwa przerzucił się na teatr, odezwały się w nim niezaspokojone ambicje artystyczne. Wtedy i ona przestała siedzieć w kącie, i w krótkim czasie okazało się, że bez większych problemów zaczęła publikować teksty we wszystkich ogólnopolskich czasopismach teatralnych i właściwie zawłaszczyła działkę, która była marzeniem męża.

To był jej błąd.

— Okazałaś się lepsza od faceta, który na dodatek był twoim mężem. — Tak kiedyś powiedziała starsza córka, Małgorzata, aktorka, która po dziesięciu latach udanego grania w ambitnym repertuarze teatralnym otrzymała rolę w serialu telewizyjnym, dzięki czemu zyskała popularność mierzoną liczbą



plotek w tabloidach i autografami oraz rozpoznawalnością na ulicach.

Roman w czasach studenckich próbował być dziennikarzem, drukował małe szpunty w lokalnej popołudniówce, sygnując je tylko pierwszą literą imienia i nazwiska, jak było w zwyczaju. Należał do studenckiego klubu dziennikarskiego, a legitymację prasową hołubił ponad miarę, jako przepustkę do świata, gdzie szanuje się ludzi posiadających władzę. Próbował też zostać literatem, pisał opowiadania, zdobywał nagrody.

Kiedy Emilia go poznała, dziwił się jej brakowi ambicji i planom związanym z pracą w szkole, gdzie miała zamiar uczyć języka polskiego. Powtarzał w kółko, że nikt z jego inteligentnych przyjaciół nie zamierza związać się ze szkołą, że idą tam najślabi studenci, nie mający szansy na inną pracę.

Nie komentowała jego uwag, być może z braku pewności nie zaliczyła siebie do inteligentnych.

— Kim chcesz zostać w przyszłości? — zapytała wtedy.

— Będę sławnym pisarzem.

— Skąd wiesz, że sławnym? — zdziwiła się, bo wiedziała, że prócz pisarzy sławnych, są szanowani, popularni, wyróżniani przez władzę, i tacy, których czytelnicy czytają i lubią, choć nie można było przykleić im żadnej z wymienionych etykietek.

Nie rozumiał pytania, była to dla niego „oczywistość”. Wówczas jeszcze nie propagowało się pozytywnego myślenia,

a jego przejawy, uwidocznione w wypowiedziach i postawie Romana, uchodziły bardziej za zarozumiałość niż pewność i wiarę w siebie.

Nie mógł potem pogodzić się z faktem, że to ona została pi-sarką i że przemieniła się z cichej, potulnej, siedzącej w kącie żony i matki w kroczącą własnymi drogami osobę. Nie marzyła o tym, nie planowała tego, po prostu któregoś dnia znalazła inną ścieżkę, a na niej swoje pisanie, będące dla niej od samego początku przygodą, a także, co uzmysłowiła sobie znacznie później, terapią.

Wspominała tamte czasy bez urazy, bez złości, były w nich dobre chwile, choć za mało było prawdy i rozmów. Emilia i Roman niby rozmawiali dużo, a jednak pomijali tematy niewygodne, czy to z nieumiejętności artykułowania tego, co boli, czy też ze strachu, że jak się pewne słowa wypowie, to odwrotu już nie będzie. Nie było między nimi chemii, erotycznych uniesień, które powodują, że miejsca po drzazgach mniej bolą. Nie było też w tym ich winy. Nabawiła się podczas tego małżeństwa kompleksów — i potem z nimi walczyła.

Najważniejsze, że wychowali córki na wspaniałe i mądre kobiety. Mimo rozstania Emilia nigdy nie odbierała Romanowi udziału w wychowywaniu córek. Pamiętała, że kiedy były nastolatkami, poświęcał im sporo czasu. Zabierał na wakacje i podczas wędrowek z plecakiem pokazywał trochę świata oraz uczył radzenia sobie w różnych sytuacjach.

Córki były dumą Emilii. Bardzo je chciała mieć. Starszą, Małgorzatę, urodziła na piątym roku studiów, po czterech latach małżeństwa. Roman planował inaczej, ale ponieważ jego plany ograniczały się do mówienia o nich, a antykoncepcja była obowiązkiem Emilii, więc kiedy zaszła w ciążę, uznała to za znak i poselstwo losu, które przyjęła z pokorą. Roman ze strachem.

Drugą ciążę, po trzech latach od pierwszej, uznała niemal za cud, ponieważ ich współżycie było okazjonalne, co Roman motywował intensywnością życia intelektualnego, idącego w parze z brakiem potrzeb erotycznych. Wówczas Emilii nie przychodziło do głowy, że zmysły Roman trzymał na uwięzi tylko w pobliżu żony. Dorotę urodziła, mając dwadzieścia pięć lat.

Macierzyństwo było dla Emilii najszcześniejszym okresem życia, szczególnie kiedy dziewczynki były małe. To właśnie wtedy wiedziała na sto procent, co jest w życiu najważniejsze, i potrafiła ustalać priorytety. To również wtedy nauczyła się gospodarować czasem tak, by z niego wykroić zawsze dla siebie dwie godziny, które przeznaczala najczęściej na czytanie, kąpiel w wannie pełnej piany i słuchanie koncertów Mozarta.

Kiedy Dorotka skończyła trzy latka, Emilia zrozumiała, że jej małżeństwo jest związkiem dwojga ludzi dbających o dzieci i dom, lecz ani trochę o siebie nawzajem. Oboje byli przede

wszystkim rodzicami. Nie kłócili się, umiejętnie ustalali domowy harmonogram, według którego większość obowiązków spadała na Emilię.

Praca w szkole satysfakcjonowała ją z wielu powodów, także i z tego, że mogła spędzać dużo czasu z córkami, a poprawianie klasówek i przygotowywanie scenariusza lekcji, czyli tak zwanego konspektu, odłożyć na wieczór, kiedy inne małżeństwa wspólnie odpoczywały. Roman wracał późno, zmęczony, układał wykąpane i najedzone dziewczynki do spania, co było stałym rytuałem, sprawiającym wszystkim przyjemność. Emilia w tym czasie nastawiała obiad na następny dzień, podawała mężowi kolację, włączała pralkę i uprzątnąwszy stół w małej kuchni, zamieniała go w biurko. Poczucie dobrze spełnionego obowiązku pozwalało jej mieć wreszcie czas dla siebie.

Nie narzekała.

Roman był dobrym ojcem i mężem, wystarczyło mu tylko nie przeszkadzać w wypełnianiu dziejowej misji, której założenia znał tylko on sam. Dziewczynki kochały ojca, witały go zawsze radośnie, kiedy wieczorem wracał z pracy. Jeśli czegoś Emilia Romanowi zazdrościła, to tych właśnie powitań, rączek zarzucanych na szyję, tajemnych szeptów w sypialni. Jej tak nie witały, ale też z nią nie rozstawały się na cały dzień. Kiedy odbierała Dorotkę z przedszkola, otrzymywała namiastkę tej radości, którą Roman był obdarowywany co wieczór.

Rozmijali się w domu bez złości, tłumaczeń i pretensji. Emilia do perfekcji opanowała organizację domowych czynności i sztukę kamuflażu, dzięki której wszyscy widzieli w niej zadowoloną z życia mężatkę i matkę. Uśmiechnięta, zadbana, zgrabna, tryskająca energią i poczuciem humoru — tak by o niej na pewno mówili ci, którzy ją zapamiętali z tamtego okresu.

Czasem zdarzyło im się opowiadać o tym, co w pracy czy u znajomych. Emilia opowiadała jeszcze o tym, co zrobiły, powiedziały albo wymyśliły dziewczynki. Roman słuchał niby z zainteresowaniem, potakiwał, komentował zadowolonym mruknięciem, jednocześnie podczytując artykuł w „Polityce”. Nie oburzał się, kiedy Emilia zwracała mu uwagę. Tłumaczył swoją wszechstronność umiejętnością skupiania się i doskonałą podzielnością uwagi.

Coraz częściej też zasypiał na kanapie przed telewizorem, zostając tam już do rana. W końcu doszedł do wniosku, że kanapa będzie jego łóżkiem.

Emilia nie zapytała dlaczego.

Roman był jej za to po cichu wdzięczny.

Właśnie pewnego takiego wieczoru postanowiła, że skoro nie wie, jak ratować swoje małżeństwo, w którym z pozoru wszystko grało, choć fałszywymi tonami, to może chociaż spróbuje uratować siebie. Nie szukała rad, nie zwierzała się nikomu ze swoich małżeńskich kłopotów. Zapewne nikt by nie uwierzył w winę Romana. Również i ona bardziej szukała winy

w sobie niż w nim. Coś przecież musiało być z nią nie tak, skoro młody mąż nie dostrzegwał w niej kobiety.

Poza tym wszyscy wokół, z jej matką na czele, podziwiali Romana jako zrównoważonego, mającego poczucie obowiązku ojca i męża, który cały dzień spędzał w pracy na odpowiedzialnym stanowisku, nie miał fanaberii, wynosił śmieci, nie popijał i całą pensję oddawał żonie, w dodatku nie rozliczając jej z wydatków.

I właśnie w tamtym czasie, któregoś wieczoru, w kuchni, kiedy dziewczynki spały, a Roman oglądał telewizję, zaczęła pisać bajkę sceniczną o ślicznej Barbie, którą wszyscy pragną mieć, nosić na rękach, wozić w wózek, przebierać w piękne stroje, ale nikt nie chce jej przytulić, bo tak naprawdę nikt jej nie kocha.

O Barbie, którą wszyscy podziwiają z daleka, ale przed snem przytulają się do pluszowego misia z oberwanym uchem. Nie miała maszyny do pisania, więc czytelny rękopis powieliła pięć razy na kserokopiarce, kopie zapakowała w brązowe koperty i wysłała do kilku teatrów.

W ten sposób zamknęła jeden rozdział swojego życiowego i otworzyła nowy. Odeszła z pracy w szkole, kiedy otrzymała propozycję pracy w teatrze lalki i aktora, na stanowisku kierownika literackiego. Jej sztuka grana była przez cztery sezony w macierzystym teatrze, nie licząc kolejnych

premier w innych. Szybko doszła do wniosku, że właściwie zawsze marzyła o tym, by pracować wśród ludzi z wyobraźnią i pomysłami, jakich akurat w tym czasie miała okazję poznawać. Nie musiała trzymać się sztywnych godzin pracy, co jej niezwykle odpowiadało. Tym samym zburzyła rutynę domowych ustaleń i doczekała się, że dziewczynki i ją zaczynały witać prawie tak samo radośnie jak Romana.

To był zdecydowany koniec jej małżeńskiego *status quo*. Roman nie wybaczył jej przede wszystkim zawodowego sukcesu, najpierw pisania o teatrze, a potem atrakcyjnej pracy w nim. Nikt jednak nie wspomniął o rozstaniu. Może z wygody, może ze strachu przed reakcją rodziny, może dla dobra dziewczynki? Dom ciągle istniał i nawet trudno było powiedzieć, że zabrakło w nim duszy czy klimatu.

Kiedy Emilia zaczęła być zadowolona z siebie, była także radośniejsza w kontaktach z córeczkami, częściej się śmiała i miała ochotę pokazywać im świat nie ograniczony do skwerku przed domem, przedszkola i odwiedzin u koleżanek, mających dzieci w tym samym przedszkolu lub szkole.

Zapraszała gości, przyrządzała chińskie potrawy, na które przysłała właśnie moda, a co ważniejsze, łatwo je było przyrządzić, mając do dyspozycji dużą ilość warzyw i niewielką mięsa kupowanego na kartki.

W teatrze poznała Jacka.

Potem Filipa.

I wtedy jej życie zawirowało i wszystko się zmieniło.

Nareszcie.

Nareszcie, myślała często.

Był to przecież ostatni moment nie pozwalający zapomnieć, na co czekała, ostatni, tak jej się wtedy wydawało, by z odwagą spojrzeć w przyszłość i nie odwracać się za siebie, jak nieszczęśliwa żona Lota.

Nie odwracać się.

Nie odwracać się za siebie.

Z SZUFLADY EMILII (3)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

EMILY DICKINSON

- ŚWIĘTA PANNA NIKT Z AMHERST

Miała około trzydziestu lat, kiedy postanowiła zostać „Nikiem”. Zatrzasnąc „Drzwi”, wycofać się z życia wśród ludzi, z otwartej przestrzeni i pilnie strzec granic własnego „ja”. Biografowie nazywali ją „mniszką z Nowej Anglii”, eremitką spędzającą życie w sypialni na piętrze, służącej jednocześnie za pisarski gabinet.

Dla Emily Dickinson dom ojca w Amherst, w stanie Massachusetts, stał się dziuplą, z której wychodziła tylko we wczesnej młodości. Ukończyła Amherst Academy, miejscową szkołę



średnią. Rozpoczęła studia w Mount Holyoke College, ale już po niespełna roku je przerwała i wróciła do domu. Dlaczego, nie wiadomo. Pozostała w nim aż do śmierci w 1886 roku. Jedynie w latach 1855-1865 odbyła podróż do Filadelfii i Waszyngtonu, a później dwa razy do Bostonu, by leczyć oczy.

To wycofywanie się z codzienności miało przybrać formy patologiczne. Emily Dickinson będzie unikała wzrokowego kontaktu z ludźmi, a w latach późniejszych nawet w czasie wizyty przyjaciół nie zejdzie do salonu. Będzie rozmawiała z nimi z pięterka, przez uchylone drzwi sypialni albo podając zapisane karteczki.

Jak wyglądała, też nie wiadomo. Zachował się bowiem tylko jeden dagerotyp, przedstawiający siedemnastoletnią dziewczynę z gładko zaczesanymi włosami, w czarnej sukni, ze wstążką na szyi. Po śmierci Emily jej młodsza siostra odkryła zamknięty na klucz kuferek wypełniony wierszami, schludnie pospinałymi, ponumerowanymi. Było ich tysiąc siedemset siedemdziesiąt pięć.

Na prośbę tejsze siostry egzekutorką spuścizny literackiej Emily zostanie jej korespondencyjna przyjaciółka, Mabel Loomis Todd, żona miejscowego profesora astronomii. Współ z Thomasem W. Higginsonem, literatem, też korespondencyjnym przyjacielem Emily Dickinson, przygotowuje wiersze do druku, ale przedtem je wygładzi, wyczyści z wszelkich niekonwencjonalności, także interpunkcyjnych, wykreśli liczne myślniki i słowa pisane wielką literą, dostosowując całość do obowiązujących kryteriów.

To samo stanie się z jedynym dagerotypem — zostanie poprawiony, „upiększony”, „usentymentalniony”, dostosowany do obowiązującej mody.

Dopiero opublikowanie krytycznego wydania poezji Emily Dickinson w 1955 roku przywróci wierszom oryginalną postać a światu poetkę nowatorską, odnowicielkę poetyckiej mowy i wersyfikacji.

Ukażą się jej listy, pisane do brata, kuzynek, koleżanek szkolnych, jak również te wymieniane z wydawcą Samuelem Bowensem czy literatem T.W. Higginsonem.

„List — pisała Dickinson — zawsze mi się wydawał podobny do nieśmiertelności, jako że jest to myśl sama, bez cielesnego towarzystwa”.

Krytycy dociekają w rozlicznych książkach biograficznych, jaki to traumatyczny wstrząs stał się przyczyną odwrotu poetki od świata. Stanisław Barańczak w eseju *Skoro nie można mieć wszystkiego*, będącym wstępem do wydania *100 wierszy* Emily Dickinson w jego tłumaczeniu, wypunktowuje te próby odpowiedzi, przyznaje, że każda z nich może zawierać część prawdy, ale jednocześnie, jakby wzruszając ramionami, pyta: no i co z tego?

Mam ochotę podobnie machnąć ręką, czytając kolejne biograficzne dociekania, a po tym machnięciu natychmiast wrócić do źródła, czyli do samych wierszy.

Mam ochotę uwierzyć Emily, bo książki zmieniają losy ludzi.

Uwierzyć jak Bluma Lennon?

Bluma Lennon, bohaterka książki *Dom z papieru* Cariosa

Marii Dominqueza, „wiosną 1998 roku kupiła w pewnej księgarni w Soho używany egzemplarz *Poezji* Emily Dickinson i kiedy doszła do drugiego wiersza, na skrzyżowaniu potrafił ją samochód”.

Istniały więc sekundy, w czasie których „literatura i świat zderzyły się z ciałem Blumy”.

Zabił ją samochód czy wiersz?

Każdy ma prawo wybrać własną interpretację i stworzyć dobrą lub złą literaturę.

## ROZDZIAŁ IV

### MODLITWA

Emilia nigdy nie okłamała swoich dzieci i to uratowało dobre relacje pomiędzy wszystkimi. Tak właśnie myślała, wspominając przeszłość, bo mimo postanowienia o nie oglądaniu się za siebie często wracała do przeszłości, analizując minione wydarzenia i próbując zrozumieć zachowania i reakcje ludzi z nią związanych, a także swoje.

Już od trzech godzin siedziała przy biurku, patrząc albo w ekran komputera, albo na rozrośnięte iglaki w ogrodzie i winorośl, która już traciła kolorowe liście. Odpowiedziała na służbowe maile i listy czytelników. Otworzyła plik z notatkami do powieści, która z założenia miała być dowcipna, ze zdecydowaną i tradycyjnie prowadzoną akcją.

Mimo precyzyjnie przygotowanego scenariusza powieści nie potrafiła ruszyć z miejsca. Przekonywała siebie, że profesjonalizm polega na tym, by pisać bez względu na samopoczucie i toczące się obok życie. To w książce miało być takie jak w scenariuszu, to biegnące obok nie powinno się do niego za bardzo mieszać.

Nie potrafiła myśleć kategoriami książkowej bohaterki. Uprzątnęła biurko, pozbywając się nie potrzebnych kartek i

świstków, zajrzała do różnych schowków i wyrzuciła nie wykorzystane zaproszenia, potem jeszcze uporządkowała wycinki z gazet, wpinając je do segregatorów. Nie pomogło jej to w pisaniu, słowa nie układały się w sensowne zdania. Wreszcie zrezygnowała. Coraz bardziej dojrzewała do decyzji, by nie rozpoczynać pisania powieści. Teraz powinna zająć się swoim życiem, cokolwiek miałyby to znaczyć.

Tomasz pracował w swoim kącie. Nad czym, nie wiedziała, nigdy nie pokazywał jej nie ukończonych prac, co rozumiała, bo i ona nie zwykła nikomu czytać pisanych fragmentów. Może tylko kotu, wieczorem, kiedy po dziennym urobku, jak nazywała liczbę stron zapisanych w danym dniu, robiła ostateczne poprawki. Czytała wówczas tekst na głos, by usłyszeć, jak brzmi, by przekonać się, co w nim zgrzyta.

Otworzyła lodówkę. Wyciągnęła z niej słoik śledzi wiejskich w oleju, kilka ugotowanych ziemniaków w łupinkach, które pozostały z wczorajszego obiadu, ogórki konserwowe, zieloną i białą cebulę, kapary, koperkę i majonez. Pokroiła wszystkie składniki, wymieszała, posypała świeżo zmielonym pieprzem i dodała łyżkę majonezu. Przełożyła do czystego półmiska, udekorowała pasemkami ogórków i koperkiem. Przykryła srebrną folią i wstawiła do lodówki.

W chińskim dzbanku zaparzyła zieloną herbatę, do której ostatnio coraz bardziej się przekonywała. Tomasz też. Mówił, że go wycisza i łagodzi jesienne skurcze żołądka, które miewał

od lat. Rozłożyła sztuce i zielone talerze na zielonych podkładkach, ustawiła czarki do herbaty. Na obracającej się desce postawiła półmisek z sałatką śledziową i czajniczek z herbatą.

— Jedzonko — zawołała.

— Tak wcześniej? — zdziwił się Tomasz. — Przecież dopiero trzynasta i niedawno jedliśmy śniadanie.

— Jak zobaczysz, co zrobiłam, nabierzesz ochoty na regularne odżywianie się.

— O, coś nowego, zielonego, jak się nazywa?

— „Zielono mi w głowie i kapary w niej rosną”.

— Za długo.

— Za dużo słów?

— Sama mówisz, że tytuł musi być krótki. Czyli najlepiej trzy lub góra cztery wyrazy, a w twojej nazwie jest sześć, nie licząc przyimków.

— Jedz, nie wymądrzaj się. Tak właśnie będzie się ta sałatka od dziś nazywać i koniec.

— A kiedy zrobisz śledzie w „majerankowym chruśniaku”?

— Jak będę w nastroju majerankowym, teraz jestem w kaporowym.

— Mniam, mniam — pochwalił Tomasz — herbatka też zielona.

Spojrzał na zamyśloną Emilię. Wyciągnął rękę, by pogłaskać jej policzek, ale cofnęła głowę.

— Co się dzieje, Emi?

- Nic.
- Jak to nic, przecież widzę.
- Nic się nie dzieje, tylko myślę, że niektóre słowa stają się ciałem.
- A konkretnie?
- Przecież mówię konkretnie, słowa materializują się, spełniają, jakby wypowiedziane w złej chwili.
- To świetnie, jeśli posiadasz taką moc, zaraz ci podpowiem, które słowo warto zamienić w konkret — próbował żartować.
- Nie kpij, Tomaszu — powiedziała poważnie — tylko nie kpij, bo może to ta chwila, w której dzieją się cuda.
- Tym lepiej dla chwili, nie będę materializował niczego złego, samo dobro.
- Nie jestem w nastroju do żartów, przecież widzisz.
- Próbował złapać ją za rękę, kiedy odchodziła od stołu, i przytulić do siebie, ale odsunęła się, wyrwała ostro, ucinając chwilę mogącą przynieść im ten rodzaj bliskości, który dawał ukojenie.
- Po dziesięciu latach potrafili być ze sobą blisko, zasypiać w swoich ramionach, przytulać się, a także kochać. Nie napadali na siebie z dzikością młodzieńczej żądzy, ale ciągle potrafili dawać sobie dużo przyjemności i rozkoszy, bo znali swoje ciała i upodobania, dbali o siebie nawzajem, niespiesznie, z rozmysłem.

Emilia nieraz myślała, że powinna była spotkać Tomasza trzydzieści lat wcześniej, kiedy wierzyła w małżeństwo, jego święty sakrament i namiętność ciała. Tomasz i teraz był jak młody bóg, o którym marzyła w przeszłości. Gdyby wtedy spotkała Tomasza, dotrzymałaby obietnicy.

— Ludzie mówią, że jeśli nie dotrzymuje się obietnic, to aniołowie gubią skrzydła.

— Co ludzie mówią? — zapytał Tomasz.

— Nic, nic, coś mi się kołacze po głowie, jakieś zdanie z irysem, źródlaną wodą, czarnym chlebem i skrzydłami, może to jakiś wiersz do mnie frunie — powiedziała, wycofując się w zacisze swojego gabinetu.

Kilka lat temu pisała powieść, składającą się z sześciu historii o pierwszej miłości.

Jedna z nich nosiła tytuł *Do rana tak blisko*.

Emilia długo zastanawiała się nad początkiem, brakowało jej pierwszego zdania. Nie potrafiła wyobrazić sobie głównej bohaterki. Jednego z jesiennych dni, może wrześniowych, może październikowych, pełnych słońca i złotych liści, wyszła po gazetę; była dziesiąta, babie lato fruwało w powietrzu. Kupiła gazetę i otworzyła ją zaraz po wyjściu z kiosku.

Wtedy kątem oka zauważyła, że z osiedlowej kaplicy wyszła dziewczyna, przeszła na drugą stronę ulicy, usiadła na ławce na przystanku autobusowym, plecak szurnęła w drugi jego



koniec, nogi podciągnęła pod brodę i zasmucona patrzyła przed siebie. Szczupła, wysoka, z wyskubanymi rudymi włosami.

– To ona – pomyślała Emilia, to bohaterka mojej opowieści, to Ola.

Wróciła do domu i od razu napisała:

„Spraw, Panie, abym stała się kamieniem, abym przestała być dobra, abym wyzbyła się tej dobroci, która jeszcze jest we mnie. Spraw, Panie, abym wyzbyła się strachu. Tak długo się nim karmię, że powinno mi się znudzić. Dobry Panie, wystarczy, że Ty jesteś dobry. Uczynź ze mnie kamień, gładki lub chropawy, wszystko jedno, ale kamień, który można kopnąć, wyrzucić i nie będzie to miało dla niego żadnego znaczenia. Niech stanę się kamieniem, którego nie można rozłupać, podzielić na części. Niech stanę się bezwzględna i nieczuła. Tak nieczuła, że nawet kamienowana innymi kamieniami nie poczuję bólu — modliła się Ola w małej i pustej osiedlowej kaplicy”.

Każdego z bohaterów powieści Emilia obdarzała jakąś swoją cechą. Teraz zastanawiała się, ile w niej było Oli. Kiedy pisała *Do rana tak blisko*, rzeczywiście modliła się, by świat ją mniej bolał, odpychała od siebie nadwrażliwość, która bardzo przeszkadzała żyć, choć pomagała pisać wiersze. Chciała być twarda, dzielnie pokonywać przeszkody, których codzienność jej nie szczędziła. Chciała być asertywna, mówić „nie”, kiedy

nie miałyby ochoty lub potrzeby spełniać próśb wampirów energetycznych.

Powtarzała sobie wtedy wiersz Wisławy Szymborskiej *Rozmowa z kamieniem*. Tak właśnie trzeba iść przez życie, myślała, bo inaczej zginie się marnie, a „wykorzystywacze” zawsze znajdują się w pobliżu.

„Pukam do drzwi kamienia — to ja wpuść mnie. Nie mam drzwi — mówi kamień” — powtarzała Emilia po cichu. Nie mam drzwi, nie zaufam w nadmiarze, nie dam się nabrać, będę twarda jak kamień.

Ola, ta z powieści, molestowana przez kochanka matki, zrozumiała tę gorzką prawdę, mając kilkanaście lat. Miała nadzieję, że jeśli będzie twarda jak kamień, zwiększy swoje szanse na życie według własnego, szlachetnego wzorca. Modlitwa Oli mogła być w tamtym czasie modlitwą Emilii, która potrzebowała wówczas w życiu tego samego: nie dać się nabrać, wykorzystać, nie powiełać popełnionych błędów.

Oli się udało, spotkała kogoś, kto ją oswoił. Emilii nie za bardzo, jakby doświadczenie niczego jej nie nauczyło. Niby wiedziała, co powinna robić, by nie dać się zwieść, a jednak eksperymentowała, jakby chciała raz jeszcze uwierzyć. Do swoich bohaterów miała dystans, do siebie go straciła, nie potrafiła zobaczyć, że znalazła się wtedy w rękach dwojga ludzi, którzy ją osaczyli, mając swą wyjątkowo trudną sytuacją życiową i upatrując w niej zbawienia.

Ciekawe, że wszyscy patrzący z boku widzieli dokładnie to, czego ona nie widziała wcale. Myślała, że spełnia misję, i miała się własną szlachetnością. Nie widziała, że za serdeczność, którą otrzymuje i która była jej wtedy bardzo potrzebna, płaci za dużo, podobnie jak kobiety kochające za bardzo.

Wspominała teraz tę należącą do przeszłości historię, skacząc od wątku do wątku. Obrazy z przeszłości pojawiały się na chwilę, by zabłysnąć drobiazgiem i równie szybko zniknąć.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

Zachowałam się wtedy jak nawiedzona literatka — pomyślała — taka, która coś napisze, a potem nakręca się własnym tekstem.

Książka dobrze się sprzedawała, a Emilia zastanawiała się, czy modlitwa, napisana tak spontanicznie, korespondująca z jej życiem, poruszała tylko ją czy także czytelników. Była wyjątkowo usatysfakcjonowana, jeśli ktoś dzielił się swoimi wrażeniami po lekturze książki.

Czy zostałam ukarana za tę bluźnierczą modlitwę? — zastanawiała się Emilia. — Czy sama doprowadziłam do sytuacji, w której zaczynam kamienieć?

Jeśli tak się stało — myślała — jeśli to choroba wynikająca z buntu mojego ciała, jeśli system produkujący przeciwciała, kieruje je przeciwko własnym komórkom, to znaczy, że wpadłam w sidła autoagresji.

Była zadowolona z takiej konstatacji. Jakby odkryła, na czym stoi.

Nie wiedziała tylko, co zrobić z tym odkryciem. Jak się uratować, jak odkręcić czary, którymi sprowadziła na siebie chorobę.

– Czy znów muszę być dzielnym chłopcem, jak mój ojciec? Czy taka jest moja karma? Tomaszu, błagam, powiedz mi. – Emilia nie zdziwiła się, że wypowiada te słowa na głos.

Z SZUFLADY EMILII (4)

<http://emily-foxy.blog.onet.pl>

## GERTRUDA STEIN - RÓŻA JEST RÓŻĄ JEST RÓŻĄ JEST RÓŻĄ

Była mistrzynią autokreacji, dzięki czemu jej życie stało się legendą. Mogłaby ze słów Emily Dickinson „Mózg — rozleglejszy jest niż Niebo” zrobić sobie znak rozpoznawczy. Wolą jednak wymyślać własne, przekonana o geniuszu porównywalnym jedynie z geniuszem Picassa.

„Być geniuszem to nie przejmować się niczym innym, bo to zajmuje bardzo dużo czasu” — napisała. Żaden artysta, jej zdaniem, nie pragnie uwag krytycznych, potrzebne mu jest wyłącznie uznanie. Mówiła dobrze tylko o autorach, którzy

przychylnie pisali o jej pracy lub robili coś konkretnego dla rozwoju jej kariery.

Gertruda Stein przez całe życie pisała coś, co uchodzi dziś za modernistyczne arcydzieło i stanowi bardziej pomnik niż rzecz do czytania. Większość osób interesujących się literaturą nie przeczytała jednak dziewięćsetdwudziestopięciostronicowej *The Making of Americans* w całości, choć wielu starało się coś na jej temat powiedzieć, ponieważ dzieło, ni to powieść, ni to medytacja, było znane tylko z tego, że jest znane. Myśli Stein są tam tak bardzo skomplikowane, że nie sposób znaleźć klucz, wedle którego można byłoby je przekazać.

Swoją metodę pisarską nazywała metodą nalegania. Zdania powtarzała wielokrotnie, modyfikując je za każdym razem. Szokowała czytelników i nie zrażała się szydercami. Zwolennicy twierdzą, że dała literaturze nowy wymiar i że los dzieł wybitnych taki właśnie jest, że nikt ich nie czyta. Przeciwnicy nazywali jej sposób pisania nieprzytomnym bełkotem.

Janet Malcolm stwierdziła w książce *Dwa życia*, że Stein „doprowadza się do stanu, w którym wyraźnie nie odróżnia pisarstwa od wypróżniania się”. Ale też podkreśliła, że „każdy pisarz, który przyjrzy się zdaniom Stein, musi poczuć zażenowanie spowodowane beztrząsą przewidywalnością swojego języka”. Trudno dziś sprecyzować wpływ, jaki wywarła na pisarstwo XX wieku.

Kto dodawał Gertrudzie Stein pewności siebie?

Kto pomagał jej tkwić w samouielbieniu?

Na słynnym zdjęciu Man Raya z 1922 roku uwiecznione zostały Gertruda Stein i Alicja Toklas, w mieszkaniu przy rue de

Fleurus 27. Panie siedzą po obu stronach stolika do kawy, przed kominkiem. Siedzą jak mąż i żona.

Gertruda — potężna, zamaszysta, o inteligentnej twarzy, z włosami zaczesanymi do tyłu, podobnie jak na portrecie Picasa, rozparta wygodnie w głębokim fotelu. Alicja — chuda, sztywna, z krótkimi włosami i równo przyciętą grzywką, przycupnęła na skraju krzesła, jakby za chwilę miała wstać i przynieść coś Gertrudzie. Podział prac w ich domu był taki, że jedna robiła wszystko, a druga nic.

Alicja nienagannie pełniła rolę żony u boku genialnej pisarki. Opiekowała się nią wzorowo, była najwierniejszym cerberem strzegącym dostępu do swojej pani, kapłanki tak zwanych nowych artystów, kubistów i futurystów, od której się uzależniła z wzajemnością. Kobiety przeżyły razem blisko czterdzieści lat, tworząc najprawdopodobniej związek sadomasochistyczny, w którym niekoniecznie Alicja była gnębicielką, choć postrzegano ją jako surową, bezwzględną i oschłą.

Ich dom był magnesem dla artystów. Bywali tam wszyscy, którzy potem stali się wielcy i sławni: Picasso, Matisse, Apollinaire, Mondrian, Proust, Hemingway. Sława Gertrudy Stein i jej paryskiego salonu dotarła do Ameryki i każdy początkujący pisarz starał się dostać list polecający, otwierający mu drzwi do domu przy rue de Fleurus.

Gertruda zaczyna kolekcjonować obrazy i ludzi. Staje się mentorem młodych twórców, ich swoistym guru.

Analizuje ludzi, pisząc ich portrety. Każdy, kto odwiedza jej salon, chciałby być sportretowany. Zdaniem Gertrudy pisarze,

z natury egocentrycy, interesują się bardzo wszystkim, co się o nich mówi, jakby to mogło im pomóc w zrozumieniu siebie. Nie oburzają się na Gertrudę, z wyjątkiem Hemingwaya. Być może rozumieją, że pisanie jest pisaniem jest pisaniem jest pisaniem, jak róża jest różą jest różą jest różą.

Kiedy któryś z dociekliwych studentów podał w wątpliwość to zdanie pełne powtórzeń, Stein wyjaśniła, że ma świadomość tego, że nie stosuje się niepotrzebnie powtórzeń, niemniej jednak od tej chwili „róża w angielskiej poezji nabiera czerwieni po raz pierwszy od stu lat”.

Słynne „Róża jest różą jest różą jest różą” Gertruda umieściła na papierze listowym, serwetkach i wielu innych rzeczach. Stanie się ono, jak byśmy dziś powiedzieli — logo pisarki.

Alicja założyła wydawnictwo, by w nakładzie pięciuset egzemplarzy wydawać trudne w odbiorze książki przyjaciółki. W ciągu pięciu lat wydała cztery tomy jej prozy. Gertrudzie sprawiało ogromną radość sprawdzanie, czy jej książki są w księgarniach. Czy to wtedy postanowiła napisać *Autobiografię Alicji B. Toklas*? Pisała tę książkę zaledwie sześć tygodni, w czasie słonecznej jesieni 1932 roku, językiem prostym, kolo-kwialnym, bez ambicji nowatorskich, dla czytelników lubiących tradycyjne opowieści.

Być może był to rodzaj żartu z jej strony. A może postanowiła w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat napisać bestseller, skoro eksperymentalna twórczość nie przyniosła jej oczekiwanego rozgłosu? Jeśli tak było, jeśli przypuszczała, że ta nieskomplikowana rzecz rozślawi ją na cały świat, może to tylko dowodzić

geniuszu, który przypisuje sobie w tej książce.

Nie było problemu z wydaniem *Autobiografii...*, kupiło ją wydawnictwo amerykańskie. Tym razem Stein nie korzystała z wydawnictwa Alicji. Obszerne fragmenty tej książki zostały też opublikowane w znanym miesięczniku literackim i również dzięki temu Stein stała się sławna, a nawet, jak mawiała, bogata. Co prawda, na brak pieniędzy nigdy nie narzekała, ponieważ otrzymywała je regularnie od brata Michaela, który przejął interes rodzinny po zmarłym ojcu.

Było to rzeczywiście genialne pociągnięcie z punktu widzenia budowania nie tylko własnego wizerunku. Przemawiając w książce głosem swojej partnerki, sprytnie i inteligentnie uchyliła się od odpowiedzialności za pisanie o sobie w najlepszych słowach, patrzenie na innych jako na osoby żyjące ku jej uciechu lub irytacji i wreszcie za kreowanie rzeczywistości po swojej myśli. Czytelnicy wierzyli jej wersji wydarzeń, faktów bowiem nie znali. Słowa uleciały, bohaterowie książki pomarli, pismo pozostało i teraz myślimy, że było tak, jak sobie to Gertruda Stein wymyśliła.

Oczywiście są dziś krytycy, historycy, naukowcy, próbujący zburzyć tę legendę, tyle że nikt ich nie słucha prócz zamkniętego kręgu specjalistów interesujących się twórczością i życiem Stein.

„Życie jest dziwne — pisała Stein — nigdy doprawdy nie wiadomo, z której strony nadejdzie szczęście”.



## ROZDZIAŁ V

### TEATR

Życ własnym życiem — tego sobie Emilia życzyła najbardziej. Nie życiem będącym spełnieniem oczekiwań matki, nie życiem spełniającym oczekiwania męża, tylko własnym. Gdyby ją wtedy zapytać, co to znaczy, chyba nie znalazłaby precyzyjnych słów. Może podałyby konkretne przykłady z codzienności.

W chwilę potem poczułaby się winna, że w ogóle ma jakieś pragnienia, więc odkurzyłaby od nowa mieszkanie albo wyprała sznurówki wszystkich butów, albo wyczyściła srebrne sztucce, których nie używała. Na pewno nie usiadłaby z książką i nie poprosiła, by mąż w tym czasie poszedł z dziećmi na spacer. Wykradała czas dla siebie, w tajemnicy, by nie narazić się na krzywe spojrzenia matki, dla której jedynym dozwolonym odpoczynkiem był sen. W nocy oczywiście.

W teatrze poczuła, że żyje.

Rozpierała ją radość i energia. Już chociażby z tego powodu, że zaczynała pracę od uśmiechów i kawy. Do jej obowiązków należało czytanie nadesłanych sztuk i opiniowanie ich,

wyszukiwanie repertuaru, konsultacje z aktorami podczas prób czytanych, redagowanie programu teatralnego, a to z kolei oznaczało rozmowy z reżyserem, scenografem, kompozytorem, wizyty w pracowniach teatralnych. Miała wrażenie, że się bawi, zaspokajając ciekawość małej dziewczynki. Wszystko bowiem sprawiało jej przyjemność.

Zdziwiła się, kiedy otrzymała pierwszą pensję, choć przecież podpisała umowę. Była prawie dwukrotnie wyższa od tej w szkole. Z jednej strony rozpierała ją duma, z drugiej dręczyła obawa, że nie zasłużyła. Potrafiła organizować czas i cenić wartość każdej godziny, więc wyniki jej pracy szybko przybierały konkretny kształt oryginalnie zredagowanego programu literackiego, ciekawych ulotek. W ich projektowaniu duży udział miał także plastyk, z którym dobrze się dogadywała.

Dawniej do domu przynosiła stosy klasówek do poprawienia, teraz wracała z kilkoma maszynopisami sztuk teatralnych. Do teatru dojeżdżała autobusem i tramwajem, czas podróży wykorzystując na lekturę tekstów. Do domu wracała wieczorem tylko przed premierą, w pozostałe dni mogła dowolnie dysponować czasem, tak więc nie sprawdziły się gderania Romana i obawy, że dzieci będą chodzić samopas, w dodatku głodne i brudne.

W teatrze poczuła, że jest kobietą i ma ciało kobiety. Dopóki pracowała w szkole, była „ciałem pedagogicznym”, oderwanym od płci, najbrzydszym z wszystkich ciał, jak by powiedział

Gombrowicz, a na co dzień potwierdzał jej mąż.

W teatrze odkryła, że ma nogi, piersi, biodra, usta, oczy. Wszystko razem i każdą część z osobna.

Zacząła się ubierać z rozmachem, fantazyjnie, kolorowo, jak pracujące tam aktorki. Zrzuciła klasyczną garsonkę, bluzki z kołnierzykiem zapinane pod samą szyję, przestała wiązać włosy w koński ogon i rozpuszczała je luźno, pozwalając im podskakiwać na plecach. Nauczyła się sztuczek dyskretnego makiażu.

Przyjemność sprawiały jej spojrzenia kolegów, komplementy dyrektora, nawet te, na które dziś oburzyłyby się wszystkie kobiety, nie tylko feministki. Wtedy nie czuła zniewagi, frywolności, przeciwnie, nabierała pewności siebie i przekonania, że milczeniem, brakiem czułości i dotyku pozwalała się mężowi krzywdzić przez wiele lat.

Był to oczywiście specyficzny rodzaj krzywdy. Wtedy nie zdawała sobie sprawy, że była upokarzana i traktowana przedmiotowo, jak śrubka w skrzypiącym mechanizmie, od którego wymaga się prawidłowego funkcjonowania, mimo że leży odłogiem, więc z konieczności jest mniej podatny do użytku.

Budziły się w niej zmysły, po cichu zaczynała odkrywać prawo do realizowania pragnień, na które długo jeszcze nie dawała sobie przyzwolenia. Była przecież żoną, cóż z tego, że niechcianą, nie pożądaną. Gdyby o tym powiedziała, czy ktoś

by uwierzył? Mimo uszu puszczała uwagi kolegów w stylu: „ależ szczęściarz z twojego męża”.

Zawstydziła się, kiedy podczas próby generalnej kierownik pracowni plastycznej, Jacek, usiadł obok i przez kilka minut serdecznym palcem rysował na jej dłoni delikatne esy-floresy. Sprawilo jej to ogromną przyjemność, niespodziewaną, i szybko doprowadziło do uniesienia, wręcz orgazmu tak gwałtownego i intensywnego, jakiego nie przeżyła nigdy z Romanem.

Nie zdradziła się ani jednym mrugnięciem, najmniejszym miauknięciem. Wykorzystała okazję, by bez podejrzeń odsunąć się od plastyka, który nie był świadom, czym Emilię obdarował. Od tej pory starała się, by nie przebywać w pobliżu Jacka, mężczyzny koło czterdziestki, którego żona pracowała jako księgowka w tym samym teatrze.

Tęskniła jednak za tamtą chwilą, tamtym doznaniem. Marzyła nie tyle o konkretnym mężczyźnie, który dostarczył jej erotycznych emocji, ale o samych emocjach. Nieraz fantazjowała, że to samo spotka ją w pociągu albo w kinie, dokąd co miesiąc wybierała się samotnie. Nigdy więcej jednak nie przeżyła czegoś podobnego.

Po latach zrozumiała, że zabijała dojrzałe pragnienia w podobny sposób, jak radzono nastolatkom rozładowywać napięcia seksualne poprzez intensywne uprawianie sportu. Organizowała sobie dzień od świtu do nocy, a wieczorem była tak

zmęczona, że szybko zasypiała w wielkim łóżku, bez męskiego ramienia, przytulenia, nie zdążywszy nawet pomarzyć o tym, co było udziałem większości jej koleżanek z teatru, które miały chłopaków, kochanków, mężów.

Obserwowała je po weekendzie, rozleniwione, zaspokojone.

— Dziewczyny, co wy dzisiaj takie połamane? — pytała nieświadoma rzeczy.

— Cała noc seksu, rozumiesz, no nie? — odpowiedziała kiedyś Anita, grająca z powodzeniem Barbie w sztuce Emilii.

Emilia na znak zrozumienia wzniosła oczy do góry, dzięki czemu nie pokazała, że nic nie rozumie. Była pewna, że to przechwałki. Podobnie się czuła, kiedy zapytała koleżankę rozwiedzioną pół roku temu, czy brakuje jej męża.

Koleżanka przytaknęła, zamyśliła się, smutno. Emilia nawet pożałowała tego pytania, pewna, że usłyszy małżeńską odyseję. Tymczasem dziewczyna powiedziała krótko: — Brakuje mi tylko seksu z nim.

— Seksu? — Emilia nie ukrywała zdziwienia, bo to była ostatnia rzecz, na którą by wpadła.

— Tak, seksu, no wiesz, jak przez dziesięć lat miało się seks rano, wieczorem, a czasem i w południe, to teraz czuje się brak, to normalne.

Dla Emilii to było nienormalne. Swoją rolę w życiu spełniła, prokreacja się dokonała, a reszta byłaby rozpustą. Nieraz Roman jej to sugerował, kiedy próbowała się do niego przytulać,

nigdy oczywiście nie wprost, bo mówienie wprost w ich domu ograniczało się już tylko do finansów.

Była kobietą tuż po trzydziestce, więc nieprzyzwoicie młodą, matką dziewczynek w wieku szkolnym i przedszkolnym. Wtedy była młodsza od starszej córki, Małgorzaty, aktorki, która za mąż wychodziła w wieku trzydziestu dwóch lat, uważając, że to i tak za wcześnie. Czasem Emilia to sobie przypominała, niezmiennie myśląc, że ona w wieku Małgorzaty miała już dziesięcioletnią córkę. Nie mówiła tego jednak głośno, bynajmniej nie miała zamiaru wypominać córce cokolwiek.

Często, nawet po wielu latach, kiedy już nie pracowała w teatrze, przypominała sobie rozmowę z kierowniczką muzyczną, Elwirą, starszą panią po sześćdziesiątce, zawsze elegancką, zadbaną, mogącą świecić przykładem nawet dla młodych.

Elwira kupiła modne buty, czarne lakierki z prawdziwej skóry, sznurowane trzewiczki ponad kostkę. Prezentowała je każdemu, opowiadając przy okazji, w którym sklepie je kupowała i jak się targowała, żeby obniżyć ich zawrotną cenę. Były to już czasy, kiedy nowe nadchodziło także do sklepów. Emilia nie wyobrażała sobie, jak mogłaby wejść do eleganckiego sklepu i targować się jak na bazarze.

— Właściwie to za buty zapłaciłam tyle, ile kosztowały, ale sprzedawca dołożył mi gratis torebkę, więc to tak, jakbym zapłaciła mniej — chwaliła się Elwira.

Torebka też była elegancka, lakierowana, wprawdzie bardziej odpowiednia na wieczór, ale Elwira potrafiła tak wszystko dobrać, że w całości grało także w dzień.

Emilia przysłuchiwała się opowieściom koleżanek z miną na tyle dziwną, że w pewnej chwili Elwira powiedziała:

— Posępna jesteś, weź sobie kochanka, świat od razu wyda ci się piękniejszy.

— Kochanka? Przecież jestem mężatką.

— No właśnie, dlatego mówię — weź kochanka, bynajmniej nie każę ci zrezygnować z męża.

— I myślisz, że to byłoby w porządku? Przecież kochanek oznacza zdradę.

— Zdradę czego?

— Zdradę męża, obietnicy, zdradę siebie.

— Na jakim ty świecie żyjesz? Zamierzasz się katować niespełnieniem? Czy mając kochanka, krzywdziłabyś męża? Czy zależy mu na wyłączności? Pomyśl, co on straci, a co ty zyskasz. Przecież nie każę ci się zakochiwać, odbierać komuś innemu męża. Mówię o kochanku, kimś, kogo pragniesz, pożadasz i z kim spełniasz swoje fantazje, No, możesz go trochę lubić, skoro u ciebie bez tego ani rusz.

Emilia patrzyła na Elwirę z niedowierzaniem. Nie mieściło jej się w głowie, że można tak zwyczajnie mieć męża i kochanka. A gdzie uczciwość małżeńska? Gdzie romantyczne ideały?

— I ty tak robisz, Elwiro? — zapytała wówczas nieśmiało, pewna, że w wieku Elwiry nie myśli się już ani trochę o uciechach ciała.

— Skąd ten wyrzut w słowie „robisz”? Oczywiście, że mam kochanka. Jak wiesz, jestem leciwą wdową, więc w moim wieku trudniej o męża, ale na kochanka mnie jeszcze stać, i to jakiego! Młodszego, dużo młodszego. Nie uwierzyłybyś, co on mi każe w łóżku robić!

Emilia musiała mieć wówczas minę mniszki, która poświęciła życie Bogu i od tej pory tylko o nim marzy, z nim tylko przeżywa erotyczne uniesienia podczas długich modlitw, tym dłuższych, im dalszych od fizycznych spełnień. Rozmowa z Elwirą była dla niej ciosem. Sprowadzała jej myślenie na inne tory, otwierała na sprawy, o których do tej pory z nikim nie rozmawiała. Pod tym względem była całkowicie zasznurowana emocjonalnie.

Kiedyś Małgorzata tak to określiła: — Mama, jesteś zasznurowana na maksa, otwórz się, popuść trochę, w takim pancerczu nie można żyć, luzik, mama, luzik. A jak nie, to na terapię.

Nie pamiętała, czego dotyczyła ta rozmowa, na pewno nie seksu, bo choć z córkami miała otwarte i szczerze relacje, to jednak w sposób bezpośredni nie rozmawiała z nimi o tych sprawach. Nigdy nikomu nie zwierzała się z intymności, toteż rozmowa z Elwirą była pociągająca w dwójnasób.



— Ja ci się nie każę puszczać, ja ci każę żyć, mówię tylko o tym, byś się kochała szczęśliwie z kochankiem i nie zadręczała z tego powodu nielojalnością wobec męża, bo lojalność, moja droga, to coś zupełnie innego — pouczała Elwira.

— Lojalność, czyli co? — Emilia próbowała zweryfikować wartości i priorytety.

— Lojalność jest wtedy, kiedy cała stoisz po stronie osoby, którą kochasz lub z którą się przyjaźnisz. Lojalność jest wtedy, kiedy dobrze życzysz, pomagasz, bierzesz w obronę w razie potrzeby, nie gardzisz, nie zapierasz się, nie kłamiesz, nie odtrącasz. Lojalność jest wtedy, kiedy patrzysz w tym samym kierunku, choćbyś nawet szła inną ścieżką. Lojalność jest jak szlachectwo — zobowiązuje.

— Mówisz o miłości, Elwiro — poprawiła koleżankę.

— O, nie, kochana, miłość to dużo więcej.

Emilia w tym dniu nie czytała sztuk teatralnych w autobusie ani tramwaju. Próbowala pojąć, czy jest lojalna wobec Romana i czy Roman jest lojalny wobec niej. Robiła bilans małżeńskich dokonań. Do tej pory nie myślała o małżeństwie w kategoriach bilansu, teraz też czuła się niewygodnie z uprawianiem buchalterii, liczeniem zysków i strat.

Nie dotyczyło to oczywiście pieniędzy, bo tutaj zawsze byli zgodni. Do wspólnej skrzyneczki Roman wkładał pensję, Emilia swoją. Pieniędźmi gospodarowała Emilia, w porozumieniu

z Romanem ustalała większe zakupy spoza codziennej listy wydatków. Nawet kiedy była na urlopie wychowawczym, dokładała swój zarobiony grosz, ten z czterech godzin zajęć, jakie prowadziła w świetlicy środowiskowej, by nie utracić ciągłości pracy, czy ten z korepetycji, których udzielała przez cztery godziny w tygodniu.

Nigdy nie była na utrzymaniu męża, nawet w czasie studiów, kiedy dostawała stypendium i dorabiała w popularnych wówczas spółdzielniach studenckich.

W drugim i trzecim roku małżeństwa jej dochód dorównywał nawet dochodowi męża. Teraz zdecydowanie go przekraczał. Przy rozwodzie wyszło na jaw, że zarobki Romana były o wiele wyższe niż te, o których Emilia wiedziała oficjalnie. Co z nimi robił, nie wiedziała. Być może ciulał.

Czy była lojalna wobec Romana? W jej odczuciu była, zaw sze, ale do tego wniosku doszła znacznie później. Ufała mu. Kiedy mówił, że pracował do wieczora, wierzyła, nie dzwoniła, nie kontrolowała. Kiedy robiła pranie, prosiła, by sam sprawdził kieszenie. Kiedy zdecydował się na doktorat, wsparła go, nawet wykonywała dla niego część mrówczej pracy, wykradała te chwile sobie. Kiedy wyjeżdżał na sobotę i niedzielę, bo profesor organizował dodatkowe seminarium, przytakiwała ze zrozumieniem.

Raz postąpiła niegodnie, jak ocenił Roman, który lubił oceniać. Napisała esej o ulubionej poetce i wysłała go do promotora Romana, nie pytając męża o zgodę. Zrobiła to spontanicznie,

to prawda, bez większego namysłu. Nie знаła jednak nikogo, komu mogłaby taką pracę zaprezentować z zapytaniem, czy ma ona sens. Oczywiście, mogła najpierw pokazać Romanowi, on by ją ocenił. Nie zrobiła tego. Nie przyszło jej to do głowy. Czy ze strachu, czy ze wstydu, nie wiedziała. Łatwiej pokazać swoją szufladę obcej osobie, bo krytyka wówczas mniej boli.

Nie przypuszczała w najśmielszych marzeniach, że profesor zachwyci się tekstem, że napisze do niej list. Mało tego, pochwali ją na seminarium, przed Romanem i innymi doktorantami. Tego było za wiele. Wrócił wściekły. Jak śmiała zachować się tak niegodnie! Żeby on się od obcych ludzi dowiadywał, co żona wyrabia za jego plecami? Wstyd i hańba. Przyznała mu rację. Przeprosiła. Nie powinna była stawiać go w niezręcznej sytuacji.

Kiedy profesor zaproponował jej robienie doktoratu na nowym seminarium, które właśnie powoływał do życia, zdecydowanie odmówiła. Nie pozwoliła się przekonać. Podała dostatecznie dużo argumentów: dzieci, dom, praca w teatrze, a także i ten, że nie ma w sobie zadatku na naukowca, nie ma też wygórowanych ambicji. Nie wspominała tylko, że Roman musiałby wyrazić zgodę, bo to by oznaczało dla niego dodatkowe obowiązki, nie mówiąc już o specyficznym pojętej rywalizacji.

Profesor był zawiedziony decyzją, Roman zachwycony i tym razem nie miał pretensji, że odmówiła bez konsultacji z nim.

Po prostu podjęła jedynie słuszną decyzję, tak powiedział i pochwalił Emilię przed jej matką, co było bardzo ważne, ponieważ teściowa Romana patrzyła w niego jak w obrazek.

Emilia wyciągała z zakamarków głowy i pamięci rozmaite drobiazgi.

Gdy była na drugim roku studiów, poprosiła Romana raz o pomoc z angielskiego. Dla niego to był drobiazg, znał angielski. Poprosiła go, bo wieczorem, kiedy teściowie od nich wyszli, przypomniła sobie o niewykonanych ćwiczeniach. Zdążyła posprzątać, pozmywać i kiedy wzięła gazetę do ręki, siadając w fotelu, przypomniła sobie o angielskim.

Odłożyła gazetę i wstała z fotela. Roman wtedy natychmiast zajął fotel i włączył telewizor. Usiadła przy biurku i zaczęła mozolić się nad ćwiczeniami. W telewizji leciał film, który też by z chęcią zobaczyła. Podeszła więc do Romana i poprosiła.

— Pomożesz? Ty wszystko potrafisz... — przymiliła się.

— Nie przeszkadzaj — powiedział — przecież widzisz, że oglądam. — I jakby tego było mało, dodał: — Ja się sam uczyłem. — Jak będziesz szła na łatwiznę, nigdy niczego nie osiągniesz.

Zawstydziła się, przełknęła łzy, zacisnęła usta, ćwiczenia zrobiła samodzielnie, co trwało dość długo, więc filmu nie zobaczyła.

Leżąc w łóżku, przerabiała tę scenę od nowa. Czemu nie powiedziała mu, że jest egoistą, czemu nie wykrzyczała, że

gościła jego rodziców obiadem, podwieczorkiem, kolacją, w każdą sobotę lub niedzielę, zamiast pojechać w góry z koleżankami, korzystając z uroków studenckiego życia. Musiałyby zburzyć zwyczaj. Sama go wymyśliła. Rodzice Romana byli starzy, lubiła ich, szczególnie teścia, do którego przyłgnęła jak do ojca.

Pocieszała się czasem takim obrazem: teściowie wracają wieczorem do domu, odwiedza ich sąsiadka, a oni chwalą synową, że taka robotna, potrafi gotować, starszych uszanuje. Chciała zasłużyć na ich uczucia, więc zabiegała o nie. Nie byli przecież przychylni temu małżeństwu, bo Roman nie wżenił się w bogatą rodzinę.

Emilia była córką wdowy, cóż z tego, że po górniku, który zginął tragicznie w kopalni. Jak się później dowiedziała, ten fakt nie był bez znaczenia dla teściowej, która wy kalkulowała, że to lepsze, niż gdyby zwyczajnie umarł, bo za tragiczny wypadek otrzymuje się odszkodowanie.

Zdarzało się, że widziała, jak teść wkłada Romanowi do ręki, ukradkiem, zwitek banknotów. Naiwnie myślała, że po to, aby zrobić z nich użytek dla rodziny. Nie dała po sobie poznać, że wie.

Przerabiała tę scenę od nowa. Widziała rozpromienionego teścia, który mówi: — Kochane dzieci, macie, zaoszczędziłem, idźcie przehulać razem albo kupcie sobie nową kanapę, bo stara się zapada. Albo inaczej: widziała męża, który mówi: —

Zapraszam cię na kolację, zobacz, ojciec nam funduje, podziękujmy mu razem.

Było inaczej. To znaczy – nic nie było. Machała ręką, zapominała, milczała. Bała się posądzenia o małostkowość, wścibstwo, wreszcie tego, by Roman nie wypomnił, że jej matka nic nie daje. W myślach wiedziała, co odpowiedzieć, gdyby jej to zarzucił, wiedziała, jak odpyskować i wziąć matkę oraz siebie w obronę. Kiedy to się jednak stało, patrzyła jak skamieniała.

Dopiero potem docierało do niej, że oto spełnia się wyobrażone, a jej brakuje słów z oburzenia i zaskoczenia. Wolała płakać w kącie i nie poniżać się pyskowaniem. Siedząc pomiędzy sedesem a pralką, uspokajała się obrazami, w których jest zamożna, rzuca Romanowi pieniądze w twarz i odchodzi.

Dopiero niedawno, kiedy ruch feministyczny przybrał formę upominania się o równy status mężczyzn i kobiet, tudzież podliczania wartości pracy kobiet siedzących w domu i nie pracujących, a tylko wychowujących dzieci i prowadzących dom, podsumowała swój wkład w małżeński budżet. Czarno na białym, z ołówkiem w ręku. Marna to była dla niej satysfakcja, ponieważ z wyliczeń wynikało, że to Roman powinien jej wypłacać dywidendy lub ufundować dożywotnią emeryturę za pracę ponad normę, bo na dwóch etatach.

Tymczasem jednak teatr rozerotyżował ją na tyle, że zaczęła marzyć o Romanie, mężu. Nabierała pewności, że wina jest po

jej stronie, bo nie zachęcała go, nie potrafiła kusić skutecznie. Postanowiła naprawić relacje, póki nie jest za późno. Nieraz mówił, co mu się podoba w kobietach. Chciała być taką kobietą. Rozwieszała w łazience pończochy z koronką, ładne komplety bielizny. Miała nadzieję, że zauważy.

Wreszcie założyła wieczorem zwiewny peniuar. Nie zauważył. Usiadła obok niego, przytuliła się, dotykała go, całowała. Sprowokowała go wreszcie. Kiedy leżał na niej i wykonywał niezgrabne ruchy, ukradkiem zerkał na telewizor. Poczula, że dygoczą mu plecy. Przez sekundę miała nadzieję, że z emocji, ale zorientowała się, że ze śmiechu. Śmiech był reakcją na to, co zobaczył w telewizji. Tłumił go, więc napięcie w nim szybko opadło.

– Z tobą to tak zawsze, nie pomożesz człowiekowi – powiedział obrażony.

Spróbowała mu pomóc, doprowadziła do ponownego wzrodu. Leżał z rękami za głową, zerkał na telewizor i czekał. Usiadła na nim, zakołysała biodrami intensywnie. Wreszcie się udało. Sapnął dwa razy, przetarł czoło i zsunął ją z siebie. Nareszcie mógł spokojnie oglądać film. Zasnęła. Kiedy otworzyła oczy, telewizor jeszcze brzęczał, Roman stał pod oknem, w świetle księżycy, nagi, i onanizował się. Przeszła do sypialni. Nie wiedziała, czy ją zauważył. Jeśli tak, byłaby to następna sytuacja, o której nigdy nie rozmawiali.

Usprawiedliwiała go na różne sposoby, obwiniała się o nieatrakcyjność. Nigdy nie zapytała wprost, dlaczego mu się nie podoba. W dwa miesiące później powiedziała: — Jestem w ciąży, Romanie.

— Żartujesz, chyba zwariowałaś. Masz pewność? — wrzasnął.

Milczała.

— Jesteś czy nie?

Otworzył okno, wyszedł na balkon szóstego piętra. Zapalił. Chwycił się oburącz barierek.

— Jesteś czy nie? Bo jak jesteś, to wyskakuję.

— Mam nadzieję, że nie jestem — wyszeptała i wybiegła do łazienki.

Łkała, siedząc tym razem między wanną a sedesem. Nie zajął do niej. Nie zapytała, dlaczego tak się zachował. Nie miała odwagi zapytać, jakby się obawiała usłyszeć najgorsze. Nie wróciła nigdy do tej rozmowy. Wolała mieć się wyobrażeniami.

Przerabiała tę scenę wielokrotnie w wyobraźni, operowała argumentami nie do zbitcia, celnymi ripostami, była odważna, pewna siebie, zadowolona, że wygrywała w tym pojedynku na argumenty, obnażające niedojrzałość i nieodpowiedzialność Romana. Nasyciwszy się własnymi wizjami, powracała do biurka, na którym czekały ją same przyjemności. W tym świecie wszystko zależało tylko od niej. Bardziej niż w teatrze, gdzie efekt końcowy, premiera, był owocem pracy zespołowej.



To wszystko działo się jeszcze przed romansem z Jackiem i szaleństwem z Filipem. Jacek. Filip. Jacka nie chciałyby spotkać. Ilekroć wyobrażała sobie takie spotkanie, nie wiedziała, co mówić, jakby wszystko zostało spełnione w splecionych ciałach, które nasyciwszy się, stały się obce. Nie wspominała tych uniesień z tęsknotą. Raczej ze zdziwieniem, że w ogóle były. Jakby przez tamten krótki czas ich ciała grały własne role. Jakby kostiumy warunkowały jakość przedstawienia. Nie było kostiumów, nie było ciał. Nie było ciał, umarły tęsknoty.

O spotkaniu z Filipem śniła i marzyła, choć wołała się do tego nie przyznawać. Bała się konfrontacji po kilkunastu latach od ostatniego spotkania na moście w Avignonie. Czuła, że mogłaby nie unieść roli, do której wymyślała coraz to nowe rekwizyty i kostiumy. Filip dał jej Alana. Alan dał jej poczucie godności. Kolejne macierzyńskie spełnienie. Kolejną trudną rolę, z której nie wyszła zwycięsko. A jeśli wyszła, to o tym nie wiedziała. Musiałaby zobaczyć ich obu razem.

Nie wiem, powtarzała, nie wiem, czybym to uniosła. Czy miałabym odwagę im obu spojrzeć w oczy, myślała, kuląc się, wzdychając, jakby miała w sobie kłębek drutu kolczastego.

Wołała czytać, śnić, gotować brokuły, uciekać „od czegoś”.

Z SZUFLADY EMILII (5)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

### MOJA SIOSTRA, ANNA S. (1)

Zrozumiałam ją w środku nocy, kiedy pisałam esej na temat jej twórczości, o znaczącym tytule *Maraton z samą sobą*. Prezydent Wojciech Jaruzelski i pierwszy sekretarz PZPR Mieczysław Rakowski próbowali urynkować gospodarkę, znieść kartki żywnościowe, pozostawić dotowane tylko trzy artykuły spożywcze: zwykły chleb, chude mleko i chudy biały ser. Trwały debaty, ważyły się losy kraju, a ja rozprawiałam o konfesyjnych wierszach Anne Sexton. Ani mi w głowie było wpadanie w zakupowy szal, myślałam sobie: Kochani ludożerco, przecież i tak nie zrobię zapasów na zapas, nie wykupię wszystkich makaronów, mydła i sznurowadeł. Zadawałam sobie setki naiwnych pytań i na żadne z nich nie miałam odpowiedzi. Złościłam się na każde swoje „nie wiem” i „nie rozumiem”.

I wtedy Anne Sexton wyszeptła do mnie:

Tam w środku, wewnątrz mnie jest zwierzę,  
zaciska mi szybko serce  
wielki krab.  
Lekarze bostońscy  
o mało nie wyrwali sobie rąk.  
Próbowali skalpelami,  
igłami, trującymi gazami i innymi sposobami.  
Krab wciąż pozostaje.  
Ogromnie cięży.

Próbuję go zapomnieć — załatwiam swoje sprawy,  
gotuję brukselkę, otwieram i zamykam książki,  
myję zęby i zawiązuję buty...  
Próbowałam się modlić.  
Ale wraz z modlitwą ucisk kraba wzrastał  
i ból się powiększał.  
Raz zdarzył mi się sen,  
prawdopodobnie był to sen,  
śniło mi się, że krab  
jest po prostu moim nieuświadomionym Bogiem.  
Lecz któż ja jestem, aby wierzyć w sny?

Tłum. Z. Joachimiak

Byłam jej wdzięczna za każde „nie wiem” i za przyznanie się do marzenia, które stawało się także moją obsesją. Ja również chciałam wyfrunąć ze swojej głowy, bo czułam, że tylko takie szaleństwo pozwoliłoby mi wziąć urlop od siebie. Nazywałam te swoje chciejstwa banalnie i zupełnie niepoetycko: chciałam bowiem wyjść z siebie i stanąć obok. Innymi słowy: popatrzeć z boku, nabrać dystansu, zobaczyć problemy w ich właściwym wymiarze. Ale to Anne znalazła sformułowanie, które od tamtej pory mi towarzyszy: wyfrunąć ze swojej głowy.

Nie lubiła, kiedy krytycy nazywali jej poezję konfesyjną, bo w ten sposób zawężali jej twórczość do jednej dykcji, do określonego nurtu literackiego, wtlaczali ją w sztywne ramki jakiejś konkretnej szkoły. Woląa mówić o sobie „bajarka” (ang. *storyteller*).

To prawda: Anne Sexton potrafiła opowiadać w różnych tonacjach: od spokojnego, choć pełnego dramatyzmu szeptu po wyciszony krzyk, pełen rozpacz czy bezsilności. Konfesyjność

zawierała się w śmiałych tematach, dla których tabu nie istniało.

Gdyby nie „krab”, który oplatał i zaciskał serce, gdyby nie ból, który ten ucisk powodował, życie byłoby do zniesienia. Myślałam podobnie, choć w mojej świadomości nie było kraba, był kłębek drutu kolczastego, który ranił podobnie, przy każdym ruchu. Próbowałam i ja walczyć ze swoim krabem-kłębkiem, bez pomocy lekarzy, ale za to stosując podobne środki odurzająco-zastępcze. Chciałam zabić kraba rutyną codziennych czynności. Upiec ciasteczka, odkurzyć dywany, przeczytać gazetę, otworzyć drzwi, umyć się, uśmiechnąć, ugotować brukselkę.

Ha! U Anne Sexton w wierszu nie ma brukselki, są brokuły, ale kto z nas wiedział wtedy, co to brokuły? Długo ich przecież nie było na polskich straganach. Tłumacz, Zbigniew Joachimiak, zamiennie dał brukselkę, tę przynajmniej można było kupić w warzywniaku czy zobaczyć w ogródku. Dziś, ilekroć gotuję brokuły, myślę o Anne Sexton.

Nie śmieszają mnie już moje czy innych naiwne pytania. Ilekroć je stawiam, tylekroć mi się wydaje, że jeszcze nie wszystko stracone i że „moi dawni bogowie nie przewracali się jak kręgle”. Anne Sexton nie wykraczała poza jednostkowe doświadczenia, a pytania stawiane światu były jej własnymi pytaniami i nieważne, że inni przed nią stawiali je już wielokrotnie.

## ROZDZIAŁ VI

### TOMASZ

Od rana żwawo podśpiewywała w kółko ten sam fragment, w końcu Tomasz powiedział: — Emi, zwariowałaś, posłuchaj, co śpiewasz. Uparłaś się, by sobie robić na złość?

Powtórzyła tylko słowa, bez melodii:

Panie mój  
Uczyń, bym był z kamienia  
Bym z kamienia był  
I pozwól mi, pozwól mi spróbować jeszcze raz  
Jeszcze raz.

— No co, pośpiewać sobie nie można od rana?

— Można, tylko dlaczego akurat tak modlitewnie i pesymistycznie?

— Tu nie ma pesymizmu, przecież śpiewam: „pozwól mi spróbować jeszcze raz, jeszcze raz”.

— Dobrze wiesz, o czym mówię. Przecież mogłabyś zaśpiewać: „Jak dobrze wstać skoro świt, jutrzeńki blask duszkiem pić”?

Zaniemówiła na chwilę, słysząc, jak Tomasz śpiewa, ale spodobało jej się, więc szybko zaśpiewała następny kawałek: „Obiecał mi poranek szczęście dziś i szczęście dziś musi przyjść”.

Tomasz też się rozochocił, śpiewał dalej i sam siebie nie poznawał, bo posądziłby siebie o wszystko, tylko nie o śpiew i taniec. „Nie zmaci mej radości żaden cień, wschodzące słońce śmieje się, co za dzień”.

Rozbawili się na całego. Śpiewali na zmianę, wynajdując kawałki popularnej niegdyś piosenki. Przerzucili się też na bieżący modny repertuar, ale tu pamiętali tylko pojedyncze wersy refrenu. Tomasz trzymał w ręku łyżkę cedzakową, Emilia złapała drewniany tłuczek do mięsa, przedmioty imitujące mikrofony.

- „Pokaż, na co cię stać, ajajajaj”.
- „Pokonaj siebie, pokonaj siebie”.
- „Bo dzisiaj, łajdibidibidibaj”.

Tomasz wyginał się w paragraf, potrząsał długimi włosami, wykrzywił usta, przewracał oczami. Emilia była wszechstronniejsza, raz wpadała w rolę solistki, raz chórkę, w którym pojękiwała wymownie, raz tancerki wyrzucającej ręce w górę, potrząsającej biustem i wypinającej tyłek. Machnęła nogą, wysoko, Tomasz zajęczał z podziwu, więc by pokazać, na co ją stać, machnęła raz jeszcze, naśladując baletnicę. Nogę oparła o kant stołu, Tomasz zaczął bić brawo i udawać, że gra na trąbce.

I wtedy Emilia wrzasnęła: — Zdejmij mi tę nogę ze stołu!

Tomasz zatrąbił głośniejszym, dośpiewując: „pokonaj siebie, pokonaj siebie”.

— Przestań wariować i zdejmij mi tę nogę ze stołu! — wrzasnęła ponownie.

Tomasz odłożył cedzak i wtedy zobaczył, że Emilia zbladła, twarz jej stężała, a na czoło wyszły krople potu.

— Ale co się stało, Emi?

— Gównno! — krzyknęła.

Nie wiedział, w którą stronę ruszyć jej bosą nogę, bo atlasowy pantofel zdążył się z niej zsunąć i leżał na ziemi.

— Opuść nogę na dół, stań obiema na podłodze.

— Nie mogę, złapał mnie skurcz w biodrze, nie mogę tej nogi ruszyć ani w dół, ani w bok.

— Spróbuj.

— Ale z ciebie wariat! Czy można się zesrać na hasło: spróbuj?!

— Emi, na Boga, nie wiem, czy żartujesz, czy naprawdę nie możesz nic zrobić.

— Pomóż mi, nie żartuję, ani trochę.

— Jak mam to zrobić, skoro cię trzymam?

— To mnie puść, a chwyć nogę.

Odwrócił Emilię i jej ręce oparł o ścianę. Zaczął masować prawe biodro i powoli zniżał nogę, a kiedy już obiema stała na podłodze, zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku. Rozplakała się. Gładził jej głowę.

— Nie udawałaś? — zapytał, skrywając uśmiech płaczący się w kącik ust i oczu.

— Jak możesz! — oburzyła się. — To były jedne z dłuższych sekund w moim życiu. Myślałam, że tak już zostanę, nagle

poczułam, że skamieniałam od pasa w dół, stężałam, no i ten ból, dziesięć razy silniejszy niż skurcz mięśni w łydce.

– Wyglądałaś bardzo atrakcyjnie.

– Przestań. Teraz mnie wszystko boli. Wyglądałam jak bocian, prawda?

– O tak, bardzo przystojny bocian, ćwiczący kung-fu przed randką z bocianową.

Położył się obok, przytulił i schował nos pomiędzy jej uchem a barkiem. Pocałował skraj ucha, potem ramię. Sunął ustami wzdłuż ramienia, potem całował każdy palec u ręki, dotknął prawej piersi, sutki się napreżyły. Miauknął z podziwem.

– Och, Emi, jakie ty masz piersi, niejedna dwudziestolatka mogłaby ci zazdrościć.

Przytuliła go, pogłaskała przyjacielskim gestem. Tomasz spojrzał niepewnie, badając, czy może posunąć się dalej w pieszczotach. Zobaczył łzy w kąciakach jej oczu, prawa powieka drżała.

– Jestem z tobą, na dobre i na złe, nie bój się, nie bój.

Całował jej dłoń od wewnętrznej strony.

Nie rozmawiali o tym przez ostatnie dni, ale termin pobytu w szpitalu wreszcie nadszedł. Emilia już od wieczora chodziła po domu zdenerwowana i mimo że starała się ukryć napięcie, każdy drobiazg mógł stać się pretekstem do wybuchu irytacji czy wręcz jawnej złości. Tomasz schodził jej z drogi; im



bardziej schodził, tym bardziej ona mu wchodziła, jakby specjalnie.

Wiedział, że nie ma w tym celowej złośliwości, jest natomiast strach przed niewiadomym. Emilia bała się wszystkiego, badań, wspólnej sali, dzielonej z co najmniej czterema, a może i pięcioma kobietami, obawiała się także i tych wesołych pacjentek, którymi pocieszała ją Profesorka. Nie było w klinice szansy na jednoosobowy pokój.

Torba stała spakowana w przedpokoju. Emilia miała wprawę w pakowaniu potrzebnych rzeczy, bo często wyjeżdżała na spotkania autorskie.

W małej walizce na kółkach gromadziła wszystko, co pozwoliłoby jej przetrwać, nawet gdyby musiała spać w namiocie, co było oczywiście niemożliwe, bo cenila wygodę i traper-skie życie bynajmniej jej nie odpowiadało.

Najwięcej miejsca w bagażu zajmowały książki oraz małe skoroszyty z notatkami.

Do szpitala zabierała też laptop. Nie upewniała się, czy będzie mogła z niego korzystać, bo nie wyobrażała sobie życia bez niego. Laptop był dla niej jak pluszowy miś dla malucha przed zasypianiem, tym bardziej niezbędny, im bardziej stresujące okoliczności i miejsce.

— Już czas, musisz wstać. — Tomasz podniósł się z łóżka, podając jej rękę. — Pojedziesz samochodem czy zamówimy taksówkę? — zapytał, zerkając na zegarek.

– Taksówkę, samochód musiałby zostać na szpitalnym parkingu, tam nie ma miejsc dla pacjentów.

– Kocham cię, Emi.

– Ja też cię kocham, Tomaszu.

Zamówił taksówkę. Dojechali pod samo wejście. Emilia nie pozwoliła mu się odprowadzić. Uznał, że kaprysi, bo przecież po to jechał, by jej pomóc, choćby we wniesieniu torby do pokoju.

– Nie takie rzeczy w swoim życiu dźwigałam — zakończyła sprzeczkę. — Jechałeś ze mną tylko po to, by mi w drodze było różniej. Jak się zaloguję na miejscu, to zadzwonię i podam ci numer pokoju, jutro mnie odwiedzisz.

Tomasz wiedział, że jej nie przekona. Emilia upierała się najbardziej w nic nie znaczących drobiazgach. Przytulił ją, mówiąc sakramentalne „uważaj na siebie”.

Nie odwróci się — pomyślał — nie spojrzy, nie pomacha, taka ona jest.

Czekał, patrzył. Jeszcze dwa kroki, jeszcze jeden krok, ostatnia szansa.

Odwróciła się.

Ogarnęła wzrokiem jego sylwetkę, spojrzała w górę, na drzewa.

Nie pomachała.

– Emi, pomachaj — wyszeptał.

Nie pomachała, nie uśmiechnęła się. Prawdopodobnie nie zobaczyła też jego machania.

Wrócił do taksówki. Nagle poczuł się bardzo pojedynczy.

— Żał tak żonę w szpitalu zostawić — zagadnął taksówkarz.

Tomasz nie miał na nic ochoty, więc się nie odezwał.

— Moja żona też tu leżała, czekała na miejsce pięć miesięcy, tak trudno się dostać do tej kliniki. Ludzie z całej Polski się tu leczą. Ponoć dobrzy lekarze, szczególnie ta Profesorka, taka przystojna brunetka. Chodzą u niej wszyscy jak w zegarku, i lekarze, i studenci. Choroba, z którą żona się męczyła prawie dwa lata, wreszcie tutaj została wyleczona. — Taksówkarz zerkał w lusterko, by zobaczyć, czy Tomasz go słucha. — Z tymi chorobami to kanał, niby nic, a koniec świata, niby kilka kroków, a okazuje się, że to rak, i kto by pomyślał, że z takiego małego gówienka taki potwór wyrasta, mówię panu, kanał, ale może pana żony to nie dotyczy... — Zawiesił głos pytająco i znów spojrzał w lusterko.

— Nie mam żony — powiedział Tomasz.

— To może dlatego nie chciała pana zabrać ta kobieta ze sobą. Co się ma biedaczka tłumaczyć, mąż czy nie mąż. Bo teraz, to jak pan mężem nie jesteś, nic panu nie powiedzą, ochrona danych osobowych.

— Co też pan mówi, przecież szpital to nie klasztor.

— Wiem, co mówię, panie, żony kuzynka do szpitala poszła, a rozwódką była, miała już drugiego faceta, bez ślubu rzecz

jasna, no i ona chciała wyjść za niego, nawet bardzo, a on, że nie, bo po co, teraz młodzi bez ślubu żyją w jednym mieszkaniu, to na co im ślub. A tu nagle się okazuje, że nikt się niczego dowiedzieć nie może, ani ten jej facet, bo nie mąż, a najbliższa rodzina daleko. Niby wpisała tego swojego faceta jako tego, co można mu informację przekazać, ale i tak był problem, podejrzanie na niego patrzyli. — No i szpital ich połączył. Nawet się baba, to znaczy, żony kuzynka, upierać nie musiała, bo tak się facet wkur... to znaczy wkurzył, że sam datę ustalił w urzędzie. I co? Teraz mu mogli naskoczyć. Szkoda, że niedługo w tym małżeństwie trwali, ona szybko umarła, a on teraz legalny wdowiec. No i tak się ten świat, panie, kręci, jak już do baby się dorwiesz, zobaczysz, że może ci z nią życie dobrze płynąć, to ciach, takie gównno cię dopada. I życia nima, finito. Szkoda kobitki było, bo dobra, urodziwa i niebiedna, czyli trzy w jednym, jak to się mówi. Tej pana też by szkoda było, widać, że kobieta z charakterkiem. Może dlatego pan taki smutny, że nie żona, bo z kochanką niełatwo, wiem, co mówię, bo próbowałem, i nic, panie, same kłopoty. Może i dobrze, że nic, dwie baby, dwa kłopoty, dwa w jednym, jak to się mówi.

Tomasz przez chwilę miał ochotę przerwać ten monolog, włączyć się do rozmowy, zawsze rozmawiał z taksówkarzami. Teraz jednak był zupełnie bez energii, i to bynajmniej nie z

powodu wysłuchiwanie historii nie znanych mu ludzi, ale dlatego, że bez Emilii poczuł się jak bez prawej ręki.

Wróci do domu i co?

Włączy komputer, będzie kończył projekt. Nie lubił pracować, kiedy był sam.

Wprawdzie kiedy byli razem, to i tak każde pracowało u siebie, cichutko, cały dzień, z przerwą na kawę czy obiad. I o to właśnie im chodziło, by być osobno, każde w swojej dziupli, i bardzo razem, czuć obecność drugiego za ścianą.

Była pierwszą kobietą w jego prawie sześćdziesięcioletnim życiu, która nic od niego nie chciała i pozwalała mu żyć tak, jak lubił, właściwie samotnie, choć nie pojedynczo. Nazywała go starym hippisem. Hippisowanie było oczywiście odległą przeszłością, ale kiedy się zakosztowało takiego życia w młodości, pełnego nie tyle beztroski, ile niezawracania sobie głowy przyszłością, budowaniem, nową kanapą, pokojem z kuchnią, dwoma pokojami, trzema, kafelkami w kuchni, to trudno było z niego zrezygnować.

Była żona wypominała mu później niepraktyczność, nieżyłciowość, brak męskiej godności i ojcowskiej odpowiedzialności. Miała zapewne rację. Swoją. Ożenił się młodo. Być może z miłości albo z namiętności, albo z czegoś, co było namiętnością i się wypaliło, a na budowanie wyższych poziomów potrzeba było deklaracji, zobowiązań.

Ona chciała, on nie widział przeszkód. Musiałby powiedzieć zdecydowane „nie”, zbuntować się, odejść. Nie był w nastroju

do nędznych buntów, za którymi nie stała piękna ideologia. Nie potrafił się klócić, bo kłótnia oznaczałaby utratę energii na rzeczy niewarte zachodu, zakłócałaby harmonię słonecznego czy deszczowego dnia, w którym można było kontemplować chmury na niebie, jak wędrujący bohater Stachury, suszący chusteczki do nosa na wietrze, z okna pędzącego pociągu.

Na ślub się nie spóźnił, choć byłaby taka możliwość, gdyby kumpel, z którym pił piwo, miał ochotę na następne. Kumpel się śpieszył, a drugiego Tomasz po drodze nie spotkał. Powiedział więc sakramentalne „tak”, choć mu się to wydało bardzo śmieszne i nadęte. Uparł się, że do ceremonii nie założy skórzanych butów i pójdzie w trampkach. W drodze kompromisu zgodził się założyć nowe. Także marynarkę do dżinsów, co było już jawnym gwałtem i zamachem na jego styl życia, nie miał jednak szansy na sprzeciw, osaczony przez rodzinę panny młodej i urzędnika ze złotym łańcuchem na szyi.

Potem był już spokój. Miał dach nad głową i ciepły obiad. Pracował na etacie, wybierał jednak takie etaty, żeby pracę mógł zaczynać o świcie i kończyć wczesnym popołudniem, aby potem mieć dużo czasu dla siebie. Było mu wszystko jedno, gdzie pracuje i co robi. Jego życie było gdzie indziej: w filozoficznych książkach, ciekawych powieściach, wędrownkach po górach, tych najwyższych także, łącznie z Himalajami. Szkół żadnych nie ukończył, choć wszystkie zaczynał. Świat był zbyt

ciekawym, terminy zbyt rygorystyczne jak na jego poczucie wolności. Poza tym szkoda mu było czasu na bzdury i papierki.

Investował w siebie, jak można byłoby dziś powiedzieć, choć czasy, w których to robił, nazywały go leserem, obibokiem, pracownikiem nie budującym świetlanej przyszłości — ani swojej, ani zakładu pracy. Potem przyszło kolejne „nowe”, co dało mu szansę studiowania religii świata i technik medytacyjnych zen.

Nie mógł się wylegitymować ukwieconymi pieczęcią dyplomami, co jak się później okazało, było jednak przeszkodą w pracy zawodowej. Stanowiska zajmowali ludzie z dyplomami szkół wieczorowych, szerokimi plecami i ostrymi łokciami. Nie znosili mądrzejszych od siebie, szczególnie tych, którzy nie mogli udokumentować czarno na białym swojej fachowości.

Żona dawała mu wolną rękę, póki zarabiał pieniądze. Jeśli zaczynało ich brakować, musiał brać urlop bezpłatny i wyjeżdżać do pracy na Zachód, gdzie zbierał winogrona, pił wino i poznawał ludzi. Pieniądze oddawał żonie. Tak naprawdę nie były mu potrzebne, bo nie zamierzał wic gniazdka z glazurą w środku. Grał na różnych instrumentach w metrach Europy. Z powodzeniem malował portrety na Montmartrze lub pejzaże w Prowansji.

Nie zdradzał żony, dopóki z nią był, dopóki ich związek trwał i nie powiedzieli sobie wprost, że go nie ma. Po kilkunastu

latach małżeństwa urodził się syn, Kacper. Wtedy przez półtora roku nigdzie nie wyjeżdżał. Opiekował się nim po przyjściu z pracy aż do wieczora, karmił go, przewijał, prał pieluszki w pralce „Frانيا”, bez wyżymaczki, wychodził na spacer. Kiedy Kacper miał półtora roku, wsadził go do plecaka i wyjechał w góry.

Żona wywalczyła większe mieszkanie. Jej wymagania rosły, jego możliwości słabły. W ten sposób zorientował się, że nic ich nie łączy. Dopóki jednak ona nie zdecydowała się na separację od stołu i łóża, on nie odważył się na żaden radykalny krok. Chciał przecież tylko spokoju, takiego choćby, jaki miał z synem w górach.

Po decyzji żony nie miał się gdzie wyprowadzić, więc właściwie niewiele się zmieniło, poza tym że dali sobie prawo do życia na obrzeżach małżeństwa. Jak się okazało, życie Tomasza zaowocowało wówczas niebywałą erupcją twórczą. Najpierw pokazał komuś szkice swojej matki, potem swoje; tryskał pomysłami, które można było wykorzystywać w powstających agencjach reklamowych. Pragmatyzm agencji szybko mu się jednak znudził i Tomasz zaczął podążać własną ścieżką.

Zafascynowany fotografią i grafiką komputerową, rozwinął w tej dziedzinie skrzydła. Na własny tylko użytek, ponieważ coraz częściej przekonywał się, że pracować w grupie nie potrafi, a na forsowanie swoich talentów nie miał odpowiedniej siły przebiccia.



Tomasz taki właśnie był, co szybko zauważyła Emilia. Potrafił się zaangażować w pracę, dopóki była ona na etapie koncepcji i indywidualnego wykonania, praktyczne gospodarowanie nimi już go nie obchodziło. On zrobił swoje i w głowie miał następną wizję. Musiałby spotkać marszanda, który zająłby się jego dziełami i sprzedawał je z zyskiem dla obu. Do tego głowy nie miał.

Dlatego właśnie stał się genialnym artystą niezależnym, czyli takim, na którym nikomu nie zależało. Nikomu prócz Emilii. Tyle że Emilii zależało na nim, na Tomaszu jako osobie. Nie mogła stać się jego menedżerem, wystarczyło, że była nim dla siebie samej. Tomasz zadowalał się tym, co miał. Nagrodami przyznawanymi przez prestiżowe, choć wirtualne galerie świata, projektami, które sprzedawał od czasu do czasu, co wystarczało mu na skromne życie. Jeśli bowiem o codzienność chodzi, był minimalistą. Było to było, nie było to nie problem.

Emilia nie żądała futer ani telewizora z ekranem na cały pokój. Gdyby takiego potrzebowała, kupiłaby sobie sama. Nie miała mu za złe prawie niczego. Może dlatego, że swoje w życiu już przeszła, wycierpiała i nabierała dystansu nie tyle do świata, ile do małych spraw i małych ludzi. Małość i karłowatość jej nie interesowały. Liczyły się tylko format duszy i wrażliwość. Także łagodność i dobroć. W Tomaszu to znajdowała, tak jej się przynajmniej wydawało.

Poza tym w Tomaszu znajdowała to, czego do tej pory nie znalazła w żadnym mężczyźnie. Tomasz był cały po jej stronie. Nieraz w żartach powtarzała: — Największą zaletą Tomasza jest to, że patrzy na mnie z miłością i jest po mojej stronie, że mi nie zazdrości niczego. Poza tym ma do mnie cierpliwość.

Bała się tylko jego kłamstw.

Do czasu poznania Tomasza myślała, że prawdziwa miłość wyklucza kłamstwo, teraz weryfikowała swoje poglądy. Tomasz bowiem kłamał bez sensu, niepotrzebnie, w sprawach najczęściej nieistotnych, choć okazywało się, że kłamstwo nieistotne pociągało za sobą następne nieistotne i wspólnie zaczynały tworzyć całkiem istotny koktajl, wyglądający na spisek. Tak to nazywała, choć słowo „spisek” nie było bynajmniej adekwatne do jego podstawowego znaczenia. Po co — tego Emilia próbowała dociec za wszelką cenę, by zrozumieć Tomasza, znaleźć źródło tego kłamliwego reagowania na coś, co w rzeczywistości nie wymagało tyle zachodu.

Kierowana wiedzą, ale też własnym doświadczeniem, źródeł szukała w jego dzieciństwie. Mówił, że było wspaniałe, ale nie do końca w to wierzyła. W sytuacjach, kiedy ktoś rozprawił o dzieciństwie sielskim i anielskim, od razu przypominała sobie jednego ze swoich uczniów, który recytował bez zająknięcia i nawet bez pytania: — Mam wspaniałych rodziców, kocham moich rodziców, ojciec jest dla mnie wzorem, mama

jest najpiękniejsza i najmądrzejsza. Po roku okazało się, że ma wspaniałych tyranów, którzy go wytresowali do tego stopnia, że wyrwany ze snu o północy wiedział, co ma mówić.

Po dwóch latach bliskości i przyjaźni Emilia posklejała strzępy informacji o rodzinie Tomasza. Dzieciństwo spędził z matką, ojczymem i dziadkami w prawdziwym pałacu, którego część pomieszczeń została zamieniona na biura Państwowego Gospodarstwa Rolnego i mieszkania przysługujące pracownikom pełniącym funkcje kierownicze. Ojca nie pamiętał. Rozstał się on z żoną po trzech latach małżeństwa, założył drugą rodzinę. Kiedy Tomasz był nastolatkiem, zaprosił go na wakacje i kupił mu rower. Tomasz wytrzymał tam tydzień. Nie było mu źle, ale tęsknił za matką, ojczymem, pałacem, w którym mieszkali, ogrodem, w którym bawiła się cała nastoletnia wieś. Ojczyma wspominał serdecznie, matkę kochał z daleka, szanował i podziwiał za to, że nigdy się ze sobą nie nudziła. — Tylko nudni ludzie sami się ze sobą nudzą — powtarzał.

Choć jednak, wcześniej przeciał pępowinę. Wyfrunął najpierw do szkół z internatem, a potem na wakacje autostopowe, które tak mu się spodobały, że zdecydowanie je przedłużył, co być może zadecydowało na długie lata o jego sposobie pojmowania wolności. Emilia sugerowała, że był to rodzaj młodzieńczego buntu. Tomasz zaprzeczał, twierdząc, że nie musiał

się buntować, ponieważ nikt mu niczego nie zabraniał. Nie sępił pieniędzy od matki ani ojczyma. Ojciec płacił alimenty tylko do czasu ukończenia przez Tomasza osiemnastu lat. Od tej pory zarabiał na siebie w sposób, który nie stał w sprzeczności z jego hippisowskimi zapędami.

Pierwsze kłamstwo, które Emilia odkryła, dotyczyło rabarbaru. Niby nic nie znacząca sprawa, a jednak zainicjowała ciąg rozmów, wyjaśnień, nawet obietnic. Prosiła Tomasza, by kupił rabarbar w kiosku obok domu. Dopiero wieczorem przypomniała sobie o tym, kiedy zobaczyła leżące w lodówce ciasto, przygotowane na tarte.

— Gdzie położyłeś rabarbar? — zapytała z nadzieją, że skoro go nie widzi nigdzie na wierzchu, to może Tomasz go już obrał i pokroił.

— O, widzisz, rabarbar... nie było rabarbaru.

— Nie było? W sezonie rabarbarowym nie było rabarbaru?

— Nie było rabarbaru — powtórzył. — Przecież gdyby był, tobym kupił.

— Skoro nie było w kiosku, to mogłeś pójść kawalek dalej, do sklepiku przy „Żabce”.

— Byłem w sklepiku i nie było — odezwał się tym samym beznamiętnym tonem, siedząc przy komputerze.

— Skoro nie było w sklepiku, to mogłeś pójść jeszcze kilka metrów dalej, na targ, tam by już na pewno był.

– Nie było na targu, gdyby był, tobym kupił – podniósł nieco głos, nie odrywając oczu od ekranu komputera.

Bardzo ją zirytowały te odpowiedzi, najbardziej zaś ich pozorna beznamietność.

– Jeśli ze mną rozmawiasz, to oderwij się od komputera, przecież nie pracujesz, więc możesz to zrobić. Nie powiedziałeś, że nie przyniosłeś rabarbaru, mogłabym nie zagniatać ciasta. Może po prostu zapomniałeś i nigdzie nie byłeś.

Odwrócił się, ale na nią nie patrzył, zapalił papierosa, choć nie pozwalała mu na palenie w mieszkaniu.

– Z czego ty robisz problem, Emilio? – powiedział zbyt głośno jak na jego przyzwyczajenia. – Przecież to tylko głupi rabarbar, a ty walczysz jak lwica.

– Tu nie chodzi o rabarbar, tylko o to, że mnie okłamałeś, mogłeś po prostu powiedzieć, że zapomniałeś i kupisz jutro.

– Nie okłamałem – powiedział, zaciągając się papierosem szybciej i głębiej niż zwykle.

– Okłamałeś, bo gdybyś się tyle nachodził za tym rabarbarem, tobyś o tym natychmiast opowiedział, by się pochwalić.

– Nie okłamałem, tylko zapomniałem powiedzieć, że nie było, już nie pamiętam dlaczego zapomniałem, widocznie siedziałeś przy biurku, nie chciałem ci przeszkadzać.

— Kłamiesz, tylko nie wiem dlaczego, czy ze strachu, czy z tchórzostwa, czy z lenistwa, nie rozumiem tego, przecież nie musisz kłamać — upierała się.

— Emi, błagam, to jakaś paranoja, robisz aferę z powodu idiotycznego rabarbaru, dziewczyno, nie było rabarbaru nigdzie, nigdzie nie dowieźli rabarbaru, bo nie było go na giełdzie.

Pokłócili się naprawdę, nie odzywali się do siebie przez co najmniej godzinę, po której Tomasz przyszedł i powiedział: — Słoneczko, przepraszam, moja wina, powinienem od razu powiedzieć, że nie było rabarbaru. Naprawdę nie warto sobie psuć wieczoru, głupi rabarbar, jutro ci przyniosę i posiekam go tak, że sobie to siekanie zapamięta do końca życia.

Rozbawiła ją ta personifikacja, a przeprosiny były tak wdzięczne, że nie mogła dalej się bocyć. Miała ochotę przeprosić Tomasza i właściwie to zrobiła.

— Tomaszu, zareagowałam histerycznie, to prawda, przepraszam, ale widzisz, obiecałam sobie, że już nigdy nie będę tłumić złości, że na bieżąco będę wyjaśniać wszystkie drobiazgi, by się nie nagromadziły, jak kiedyś.

Przytulił ją, pogłaskał.

Wszystko byłoby dobrze i „głupi rabarbar” poszedłby od razu w niepamięć, gdyby w następnym dniu Emilia nie wstąpiła do kiosku po koperek.

Kupiwszy koperek, zauważyła rabarbar i powiedziała: — O, dziś pan ma rabarbar.

— Codziennie mam rabarbar, droga pani, rabarbaru ci u mnie dostatek, czego jak czego, ale tego nie brakuje od tygodnia, przywiozłem dużą partię i nawet się martwiłem, że może nie będzie schodził, ale kobitki pieką ciasto na potęgę, a niektóre to nawet kompoty gotują, jak za dawnych czasów.

— Jest pan pewien, że wczoraj też pan miał rabarbar?

— No jasne, jeszcze tak źle ze mną nie jest.

Wróciła do domu wściekła.

— Facet ma od tygodnia rabarbar, kłamałeś! — krzyknęła.

— Jak może mieć od tygodnia, skoro wczoraj nie miał — powiedział, zapalając papierosa. — Jak chcesz, pójdziemy razem, zobaczymy, co powie, jak mnie zobaczy, zaraz sobie przypomni, że nie miał — powiedział Tomasz spokojnie.

I wtedy Emilia pomyślała, że ma problem.

Nagadała sobie, nagadała, a rezultat tego gadania był taki, że stała się bardziej czujna. Nie było jej z tym dobrze, więc czasem zapominała o wystawianiu czujek.

Nie warto sprawdzać, szpiegować, węszyć, świat jest piękny. Jak to się ma do pieprzonego rabarbaru? A pieprzony rabarbar do wieczności?

Niepokój, raz zasiany, czasem powracał, bez powodu. Ze strachu przed rozczarowaniem nie zabawiała się w detektywa i nie śledziła.

Zbyt długo trwająca cisza powodowała, że Emilia miała czasem pomysły nie znoszące sprzeciwu, jak to nazywał Tomasz.

— Za trzy dni wyjeżdżamy do Wiednia — powiedziała, wróciwszy z całodniowego siedzenia w bibliotece.

Tomasz nie zareagował. Była umęczona szperaniem w czasopismach wydanych pięćdziesiąt lat temu. Poprosiła o przygotowanie kąpeli z pianą i kiedy leżała w wannie, Tomasz wszedł do niej z dwiema filiżankami herbaty, by porozmawiać.

— Dlaczego jedziemy do Wiednia? — zapytał.

— Nie cieszysz się? Miałam nadzieję, że zrobię ci miłą niespodziankę, przecież ty lubisz podróżować i zwiedzać.

— Emi, po co Wiedeń?

— Jak to po co? Choćby po to, by zobaczyć Klimta.

— Przecież widziałaś.

— No więc dobrze, mam kaprys zobaczyć Klimta, wypić kawę w wiedeńskiej kawiarni, zjeść kawałek tortu czekoladowego Sachera i kanapkę u Trzebiatowskiego.

— OK, ty masz kaprys. A może ja już nie lubię podróżować, nie przyszło ci to do głowy?

— W porządku, odwołam, jeszcze to mogę zrobić — powiedziała naburmuszona.

— Nie odwołuj, pojedę.

Nie pojechał.



Na dzień przed wyjazdem powiedział, że musi jechać do Torunia w sprawie niecierpiącej zwłoki, ważnej zawodowo. Był tak przekonujący, że Emilia uwierzyła. Po dwóch miesiącach odkryła, że nie wyjechał nigdzie, siedział w domu, choć telefonując do niej, rzekomo z drogi, a potem toruńskiej Starówki, opowiadał, że pada deszcz. Ten szczegół zapamiętała. Tym razem też szedł w zaparte i kłamał, przysięgał. Znalazła jednak niezbity dowód jego kłamstwa; nie dała za wygraną, zmusiła go do przyznania się. Rozplakał się jak chłopczyk.

Próbowała pojąć, dlaczego zdecydował się na mistyfikację, choć przecież mógł ją przekonać, by pojechała sama. Tłumaczył, że zrobił to ze strachu, z lenistwa, by nie robić jej przykrości, by nie narazić się na podejrzenia, że oddała się od niej. Przyjęła każdy z tych argumentów, lecz dalej nie rozumiała, dlaczego wołał zużyć tyle energii na stworzenie kolejnego kłamstwa niż na wytłumaczenie jej, by nie angażowała go w niespodzianki, które niekoniecznie będą dla niego przyjemnością.

Powiedziała wtedy, że trzeciego razu już nie zniesie.

Jak do tej pory, nie było trzeciego razu. Albo Emilia straciła czujność. Albo zamieniła ją na wiersze, które znów zaczęły do niej przyfruwać.

Najważniejsze to wyfrunąć ze swojej głowy, wziąć sobie czasem urlop od siebie, domu, Tomasza, kota, kwiatów na

balkonie — myślała. Czytała wiersze Anne Sexton i odnajdywała w nich swoje drzazgi.

Powtarzała sobie: Anne jest moją siostrą w metaforze, ale ja się nie poddam jak ona, mam jeszcze czas wiosłować ku Bogu, najpierw muszę opowiedzieć kilka historii. Poza tym choruję na coś bardzo konkretnego, mam z czym walczyć. Anne po kolejnej wariacji, jak to nazywała, po kolejnym pobycie w szpitalu psychiatrycznym marzyła o konkretnej chorobie, z którą potrafiłaby walczyć, by pokazać, że potrafi być dzielna.

Z SZUFLADY EMILII (6)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

### MOJA SIOSTRA, ANNE S. (2)

Myślę o Anne Sexton w różnych chwilach. Dopadają mnie słowa z jej wierszy, z listów pisanych do przyjaciół i zamieniają się w skrzeczenie mojej codzienności.

Utożsamiam się z jej problemami, z życiem, które wrzeszczało w jej głowie, jak zresztą wrzeszczy w głowie każdego wrażliwego człowieka. Czuję wysiłek, który wkładała w to, by pokonać ostatni dystans, zwyciężyć w maratonie z samą sobą, w pojedynku z życiem. Ta amerykańska poetka, urodzona w 1928 roku, jest mi bliska także wtedy, gdy szuka nadziei w

miłości oraz w Bogu. Kiedy jest przepojona miłością, wówczas dostrzega drobiazgi, znajduje radość w słońcu, w śniegu, śpiewie ptaków, dostrzega swoje ręce, paznokcie, nogi.

Zagęszcza wówczas poezję realiami i rekwizytami codzienności. Kiedy się modli, wychodzi z emocjonalnego chaosu i jednoczy swoje podzielone królestwo, jakby chciała siebie przekonać, że nie tylko po to przyszliśmy na świat, by sobie w nim radzić, ale też by poznawać dobro i zło.

Anne Sexton i Sylwii Plath tak naprawdę łączyć będzie tylko samobójcza śmierć, a nie sposób odczuwania rzeczywistości. Spędziły wprawdzie ze sobą wiele godzin, dyskutując nad filozofią i formą samobójstwa, ale to nie Sexton będzie pisała o śmierci i upajała się nią, jak Plath, Wojacek i tylu innych poetów samobójców. Ona z największym dystansem oceni sytuację, gdy napisze w liście do A. Clark, psychiatry z Kalifornii: „Samobójstwo jest formą masturbacji! Zabicie samego siebie jest jedynie sposobem na uniknięcie bólu, wbrew wszystkim moim interesującym pomysłom na ten temat”.

Twórczość poetki jest dramatycznym zapisem wyścigu ze stale narastającą rezygnacją, jest walką. To nie ze śmiercią jednak będzie Anne prowadzić spory i wojować, ale z życiem.

Trzydziestojednoletnia poetka pisała w liście do przyjaciela, W.D. Snodgrassa: „Tym, co wydaje się mnie ratować, jest poezja. Kolejny wiersz jest zawsze TYM czymś — pytaniem, lękiem.

Czuję, że jedyna prawda o mnie to dobry wiersz czy linijka. Poza tym to maska [...]. Poezja i tylko poezja ratuje moje życie”.

Anne Sexton jednak przegrała maraton z samą sobą, ze swoją schorowaną duszą — 4 października 1974 roku. Zabiła siebie i swoje wiersze.

Te nie napisane. Nie poddała się łatwo.

Od przeszło dwudziestu lat spotykam się z Anne Sexton w jej wierszach i w smutku. Myślę, że gdyby żyła, przytuliłaby się do mnie, zapytała o moje dzieci, o wnuka, o Paryż, Klimta, Wiedeń, zapach skoszonych łąk, która pachnie nawet na Śląsku.

Może razem gotowałybyśmy brokuły?

Brokuły, nie brukselkę.

## ROZDZIAŁ VII

### SZPITAL—PRZYJĘCIE

Nie oglądaj się teraz, nie oglądaj się — powtarzała, odliczając schody, po których dochodziła do drzwi prowadzących na oddział dermatologiczny. — Pięć, siedem, sześć — liczyła, naśladując Wojtusia.

Dotknęła mosiężnej klamki i odwróciła się.

Deszcz siarki i ognia nie spadł na nią ani na miasto, które być może było Sodomą i Gomorą. Nie zamieniła się w słup soli, jak żona Lota. Nie skamieniała od razu.

To nie takie proste, nie spotka mnie nic od razu. Trzeba się uczyć cierpienia powoli, po ziarenku, po kamyku, po kilka herbat dziennie. Ból będzie się sączył po trochu — powtarzała, jak w wierszu, który kiedyś napisała, a który z wielkim powodzeniem śpiewała Ela, przyjaciółka Cesarii Evory i Emilii, himalaistka, tłumaczka, a w wolnym czasie pieśniarka z gitarą.

Łzy więzły jej w gardle.

Rozrzewniła się nad sobą.

Teraz potrzebowała przytulenia Tomasza, ale odtrąciła go i już nie przywołała, a on nie przybiegnie bez jej skinienia, bo zawsze domyśla się nie tego, co trzeba.

Tomasz stał przy otwartych drzwiach taksówki. Patrzył, czekał. Byłoby mu smutno, gdyby się nie odwróciła. Pomachał. Nie odmachala, spojrzała w górę, na czubki drzew, gdzieniegdzie powiewające ostatnimi liśćmi.

Ten wysoki mężczyzna jest ze mną od prawie dziesięciu lat, ręka w rękę, oddech w oddech, na dobre i na złe, jak powiedział.

Ten mężczyzna, ten chłopiec, ten stary hippis, ta Kraina Łagodności, jak nazywała go inna przyjaciółka Emilii, aktorka teatralna, Bogumiła, która dopiero po skończeniu siedemdziesięciu lat zaczęła grać ważne role w ambitnych filmach, zdobywających nagrody na festiwalach. Także w popularnych serialach, które z kolei dawały jej tak zwaną rozpoznawalność, nie mówiąc o pieniądzach.

Kiedyś Emilia delikatnie zasugerowała: — Może powinnaś zrezygnować z serialowych głów, przynajmniej z *M jak morderstwo* lub chociaż z *Kopciuszka*.

— O nie, kochana, nie po to dożyłam ponad osiemdziesięciu lat, między nami mówiąc, abym teraz zrezygnowała z czegokolwiek. To dla mnie wielka przyjemność, jestem wśród ludzi i mam swoje pięć minut, co w moim wieku przelicza się na sekundy.

— Jeszcze trochę i zaczniesz reklamować proszek do prania — oburzała się w żartach.

— Powiem ci, kochana Emilio, że na to właśnie liczę! Na udział w reklamie. Nie proszku oczywiście, bo to banalne.

— No, przyznaj się, co sobie wymarzyłaś.

— Chciałabym reklamować pampersy dla staruszków — powiedziała Bogumiła poważnie.

Emilia parsknęła śmiechem.

— Tu się nie ma co śmiać. Wyobraź sobie taką reklamę: stara aktorka mówi umęczonym głosem o tym, że ma problem, nie trzyma moczu, to się jakoś fachowo nazywa w języku medycznym. A druga pokazuje jej pampersa. Ta stara się dziwi, ale wypróbowała i radośnie potem obwieszcza, że teraz świat odzyskał dla niej barwy, wszystko może, nawet przez pięć godzin próbować te same ujęcia, bo ma pampersy i problem z głowy.

— Dla mnie bomba — powiedziała Emilia, zdumiona, ale i pełna podziwu dla Bogumiły, kreatorki marketingowej rzeczywistości.

— Tylko co na to twoi koledzy po fachu?

— To ja ci powiem, kochana, posrają się z zazdrości. Nie gram w reklamie, mówi jeden z drugim. Nie gram w sitcomach. To ja się pytam: dostałeś propozycję i odmówiłeś? Nie dostali, to oczywiście, tylko tak się zarzekają z zazdrości. Więc powiem ci, że nie mam skrupułów i zagram wszystko, byle tylko dali, nawet modłę się o to.

Emilia uwielbiała Bogumiłę.

Zbliżały się do siebie ostrożnie, przez długie lata patrzyły na siebie bardzo oficjalnie. Emilia podziwiała Bogumiłę za wiele ról. Bogumiła szczyciła się tym, że w *Tangu* zagrała kolejno rolę Ali, najmłodszej, potem matkę Artura, Eleonorę, ze średniego pokolenia, i wreszcie babcie, Eugenię.

Decydującym momentem w ich relacjach był ten, kiedy Bogumiła grała rolę umierającej staruszki w małoobsadowej sztuce szwedzkiej autorki. Podczas premiery Emilia nie potrafiła powstrzymać łez. Za Emilią poszli inni i kiedy na scenie na parę sekund zapanowała cisza, na widowni dało się słyszeć jedno wielkie chlipanie i wycieranie nosów.

Podczas bankietu Emilia podeszła do Bogumiły wzruszona.

— I jak? — uprzedziła jej słowa Bogumiła, która jak każda aktorka oczekiwała pochwał, tyle że ona tego nie ukrywała.

— Pokazałaś mi lepszą stronę mojej matki, dziękuję, Bogumiło.

Przytuliły się do siebie z serdecznością inną niż do tej pory, zawiązując tym samym węzeł uczuć, jakich Emilia nigdy w relacjach z matką nie doświadczyła. Może dlatego że za bardzo z nią walczyła albo za bardzo jej ulegała dla tak zwanego świętego spokoju, który był oczywiście wzajemnym mamieniem się i nic dobrego z niego dla nikogo nie wynikało.

Emilia od tej pory chciała dać Bogumile wszystko, czego nie dała matce, czy to w ramach wyrównywania rachunków, czy



też z lęku przed całkowitym podporządkowaniem swojego życia wzorom rodzicielki. Bogumiłę pokochała radośnie. Najbardziej lubiła w niej poczucie humoru i sposób, w jaki godziła się ze starością. Szybko jednak się przekonała, że Bogumiła nie jest matką i nie zastąpi jej w niczym matki. Miała zupełnie inne potrzeby i żadnych żądań, może tylko czasem małe prośby.

— Jesteś bardzo uczynna, ale nie trać czasu na uczynki, które nie są tego warte — strofowała ją delikatnie. — Zamówię taksówkę, kochana, poradzę sobie, a ty znajdź czas kiedy indziej, by pójść ze mną do teatru albo kawiarni.

— Zakupy? Ależ szkoda twojego czasu, zakupy zrobię przez internet, a razem możemy pojechać do parku na Muchowcu, dawno tam nie byłam. Ze świętej pamięci mężem — rozmarzała się jechaliśmy, za przeproszeniem, w krzaki, by tam uczyć się ról, leżąc na leżakach i patrząc w chmury albo drepcząc pomiędzy drzewami.

Od śmierci matki upłynęło wiele lat, a Emilia ciągle wyrzucała sobie, że nie chciała pamiętać jej dobrych stron. Rozpamiętywała przede wszystkim złe sytuacje i słowa, które wracały do niej z zaświatów jak zza kulis, odbijały się teatralnym szepcieniem i na powrót raniły, choć inaczej niż wtedy, kiedy matka żyła.

To dlatego że nie chciała zrozumieć mojej inności — rozmyślała, co znów brzmiało jak usprawiedliwianie się.

To dlatego że każdy przejaw mojego indywidualizmu traktowała jako zamach na lepszą przyszłość, którą dla mnie wyśniła, a którą odrzucałam bez tłumaczeń, widząc w niej nie swoje, a tylko jej marzenia.

Za życia matki złość zamieniała się w Emilię we wściekłość, ból wynikający z poczucia niesprawiedliwości w bunt posunięty do absurdu, ponieważ jego konsekwencje godziły bardziej w nią niż w matkę.

Dzisiaj wspomnienia nie powodowały zwijania się w kłębek ze złości, a raczej powolne rozwijanie motka. Czowała, że tak się dzieje dzięki Bogumile.

Dziś Emilia wiedziała, że jest taki rodzaj myślenia, patrzenia, samotności, którego nie można z nikim dzielić, nawet z Tomaszem. Choćby nie wiem jak się starać. Cieszyła się więc, że nie jest pojedyncza, choć bywa samotna. Z dnia na dzień coraz wyraźniej rozumiała, jak pułkownik Aureliano Buendía, że sekretem harmonijnej starości jest szczerzy pakt z samotnością. Paktowała, a jakże, tyle że nie do końca szczerze, szczególnie wobec samej siebie.

Zdziwiła się, że rozmyśla o Bogumile, o matce, o Tomaszu, stojąc w kolejce do rejestracji, a potem wypełniając oświadczenia, zgody na zabiegi oraz specjalny druk upoważniający konkretną osobę do otrzymywania informacji na temat jej

zdrowia. Bez wahania podała nazwisko i telefon Tomasza, dopiero w chwilę potem zastanowiła się, czy nie powinna podać nazwiska starszej córki.

Wyrzuciła jednak tę myśl, jako zupełnie bzdurną. Dzieciom nie warto zawracać głowy, przecież przyjechała tutaj na krótko, by poddać się serii badań, kilka dni, tydzień, więcej nie wytrzyma, to pewne — tłumaczyła sobie.

Nie wiadomo czemu wszyscy w szpitalu wydali się Emilii nad wyraz uprzejmi, od recepcjonistki począwszy, poprzez szatniarkę, odbierającą od niej ubrania, na pielęgniarce wprowadzającej do sali skończywszy.

Wszyscy uprzejmi, podejrzenie nienaganni, uśmiechnięci, jakby się zmówili, ciekawe, czy na sali też tak będzie, jak obiecywała Profesorka — rozmyślała, idąc długim korytarzem, z salami po obu stronach.

Nie czuła charakterystycznego dla szpitala zapachu środków odkażających. Inna rzecz, że w szpitalu była ostatnio, gdy rodziła Alana, dwadzieścia dwa lata temu.

Jako nastolatka leżała kilka tygodni w szpitalu zakaźnym, sześć albo siedem. Bez możliwości odwiedzania. Chorowała na żółtaczkę pokarmową, po której po raz pierwszy doświadczyła najprawdziwszej w świecie depresji, tyle że nikt jej wtedy nie zdiagnozował, bo i o depresji niewiele się mówiło. Tłumaczyła sobie, że ma chandrę, ale jak na chandrę za długo to trwało,

bo aż kilka miesięcy, w czasie których popadła w wielką szarość i mgłę.

To od tej pory boi się mgły i nie cierpi szarego koloru, nawet w zestawieniu z czerwienią, co skądinąd może być interesujące. Raz spróbowała. Wtedy kiedy pracowała w teatrze. Sprawiała sobie długą szarą suknię z francuskimi cięciami, rozpinaną z przodu, pod którą mogła wkładać czerwony trykot. Zakładała też czerwone rajstopy z gęstego elastylu i buty na płaskim obcasie. Suknię rozpiła tuż powyżej kolana.

Kiedyś zobaczyła ją w tym stroju wybitna kostiumolożka, Basia, autorka kostiumów do ponad stu filmów, polskich i obcych, a także do wielu spektakli teatralnych.

— Wspaniale, rewelacja — powiedziała. — Niby szara myszka, prawie mniszka, a tu nagle ciach nóżką i po oczach czerwienią, po oczach, prawie perwersja, bardzo dobrze.

Przyjęła komplement z uśmiechem i zadowoleniem, tym większym, że wiele osób go słyszało. Nie była to jednak jej ulubiona sukienka. Chodziła w niej przez jeden sezon, a potem zrezygnowała. Pytana dlaczego, odpowiadała, że czuła się w niej jak szary kolor, którego nawet czerwień nie była w stanie rozweselić.

Niedawno, bo już po wstępnej diagnozie Profesorki, poszła na film pod tytułem *Mgła*. Filmowym horrorem chciała zabić swój horror. Wyszła zdruzgotana. Powtarzała sobie po cichu

słowa wiersza Anne Sexton, powtarzała niedokładnie, parafrazując na własny użytek.

Kiedy doszła do słów: „Jest nadzieja, po prostu jest, Bóg rozdaje mleko, a ja trzymam kubek”, zgromiła siebie. Po cholere mi mleko? Po cholere kubek? Przecież nie cierpię mleka! Jaka nadzieja? Jaki Bóg? Tam nie było Boga, który by „zatrzasnął drzwi, otwierał okno”. Religia nie jest wartością. Ludzie wierzący, mianujący się religijnymi, nie są w filmie dobrzy, nie ma w nich za grosz humanitaryzmu. To oni jednak wygrywiają. Czy dlatego że nie posługują się rozumem, którym ich Bóg obdarował, lecz jedynie ślełą wiarą?

Weszła do sali.

Zanim zorientowała się, że są w niej cztery łózka zamiast sześciu, których się spodziewała, ucieszyła się z wolnego pod oknem, po lewej stronie, nie ze względu na okno, bardziej na kontakt, do którego będzie mogła podłączyć laptop, gdy wyczerpie się bateria.

MP-3, słuchawki na uszy, płytki z najpiękniejszymi ariami świata, z Mozartem i włoskimi przebojami z lat sześćdziesiątych, laptop i jakoś się przeżyje w tym tłoku.

Powiesiła ręcznik na poręczy łózka. Do blaszanej szafki schowała kosmetyczkę, książki i gazety. W szufladzie ułożyła sztucce, deserowy talerzyk, nektarynki. Na wierzchu postawiła

ulubiony kubek z misiem w okularach, stukającym w klawisze maszyny do pisania, który dostała w prezencie od Jany, koleżanki z Niemiec.

Jeszcze nic się nie zaczęło, a już czuła się wyczerpana. Może tymi myślami ciężkiego kalibru, wspominkami, gadaniem do siebie, układaniem w głowie okrągłych zdań, jakby tylko czekających na zapisanie.

Miała na sobie cienki bordowy dres, który ożywiał jej bladeść. Patrząc na pacjentki w szlafrokach seledynowych, żółtych i różowych, pochwaliła siebie za dobry wybór.

W rogu przy oknie leżała dziewczyna zwinięta w kłębek. Głowę miała owiniętą batystową chustą. Na sąsiednim łóżku młoda matka męczyła się odciąganiem pokarmu i przelewaniem go do słoika. Po drugiej stronie sali spała tęga kobieta o bielutkich włosach.

Nikt się nie odzywał, każdy był zajęty sobą.

Do sali weszła pielęgniarzka. Spojrzała na Emilię, potem w notatki.

— Pani pójdzie ze mną do zabiegowego — skinęła głową.

— O, nowa paniusia przyszła, kiedy Kazia spała. — Tęga kobieta otworzyła oczy. — Kazia jestem — wyciągnęła rękę do przechodzącej obok jej łóżka Emilii. — Kazia z Dąbrowy, a pani?

— Emilia.

— Skąd Emilia?

– Z Katowic.

– Pod oknem leży zakutana Monisia, obok niej Elunia, ta, co ściąga. Muszę Emilce przedstawić wszystkie pacjentki, bo one same z siebie rozmowne nie są.

– Pani Kaziu, potem pani dopełni tych formalności, pani nie zatrzymuje pacjentki, bo do zabiegowego idzie, do Profesorki.

– I oto sprawiedliwość. Ledwo przyszła, już do Profesorki wołają, a ja tydzień czekam i Profesorka Kazi nie woła. Pani szepnie za Kazią słówko, może się ulituje – poprosiła.

– Na co pani Profesorka, niedługo pani pójdzie do domu.

– Do domu? Teraz, jak tu przyszła taka miła paniusia? Siostryczko, w domu ludzie umierają, a tutaj zawsze coś ciekawego się dzieje.

Emilia uśmiechnęła się do pani Kazi i wyszła za pielęgniarką. Usiadła na krześle przed zabiegowym, gdzie było kilka osób, i czekała na swoją kolej, obserwując mężczyznę, który miarowym krokiem przemierzał korytarz.

Zauważyła poruszenie, pacjenci wierzili się na krzesłach, kiedy drzwi gabinetu się otwierały i wywoływana była następna osoba.

– Emilia Derwin – usłyszała. Podniosła się gwałtownie, serce jej załomotało. Weszła do sali i od razu poczuła spojrzenia kilkunastu studentów w białych fartuchach, stojących z

jednej i drugiej strony Profesorki. Pomyślała, że już widziała taką scenę, tylko gdzie? W jakimś filmie w stylu *Matriksa*?

— Proszę się rozebrać i pokazać chore miejsca. Emilia podniosła do góry trykotową bluzę, pokazując tylko prawy bok.

— Nie bać się, podejść bliżej, patrzeć, uczyć się — zachęcała Profesorka. — To już następna faza po zapalnej, w której doszło do zwłóknienia skóry, objawiającego się pogrubieniem i stwardnieniem. Najpierw były rumieniowe plamy z tendencją do obwodowego rozszerzania się. Tutaj już rumień zaniknął od środka, wyraźnie zastąpiła go pogrubiała część barwy kości słoniowej, jeszcze otoczona obwódką zapalną. Część stwardniała nie wykazuje tendencji do ustępowania i z czasem staje się atroficzna, następuje utrata gruczołów potowych połączona z hipo- lub hiperpigmentacją.

— Jaki to rodzaj skleroderмии? Morphea? — zapytał student.

— Prawdopodobnie morphea, ale nie wykluczamy układowej, w której, jak państwo wiecie, poza zmianami skórnymi dochodzi również do zajęcia narządów wewnętrznych, mięśni oraz układu kostnego. Pacjentka przejdzie wstępne badania, także na obecność przeciwciał, wtedy postawimy szczegółową diagnozę. Czy ma pani jakieś nowe zmiany na skórze? — Profesorka nagle zwróciła się do pobladłej Emilii. — Źle się pani czuje?



– Ależ skąd, świetnie, w życiu lepiej się nie czułam — odparła z przekąsem, opuszczając lekko spodnie i pokazując płamę na prawej stronie brzucha, potem na prawej nodze.

– Poczucie humoru pani nie opuszcza, więc dobrze, tak trzymać, jest pani w rękach kwiatu polskiej dermatologii, nic pani nie grozi.

– Dobrego — dodała Emilia, co Profesorka skwitowała tylko delikatnym uśmiechem.

– Proszę spojrzeć, na brzuchu jest świeża plama, w okresie czynnym, co oznacza, że porcelanowy środek otacza sinofioletowa obwódka, *lilac ring*. Za jakiś czas kolory się zmienia i miejsce stwardnieje. Mamy już obraz histopatologiczny pobranego wycinka, a teraz pacjentka przejdzie wszelkie możliwe prześwietlenia, a także kapilaroskopię. Jak państwo wiecie, nie istnieje żaden pojedynczy test, za pomocą którego można z całą pewnością rozpoznać tę chorobę. Podobnie jak w toczniu, wykonuje się badanie na obecność przeciwciał przeciwjądrowych, które wykrywa się u około połowy pacjentów, może też wystąpić niedokrwistość i podwyższone OB. Jakież pytania?

– Czy pacjentka ma objawy Raynauda i czy stwierdzono zakażenie krętkiem *Borrelia burgdorferi*!

– Pacjentka dopiero dziś została przyjęta do kliniki, te badania są już zlecone, na wyniki *Borrelia*, jak i przeciwciała przeciwjądrowe trzeba będzie poczekać dwa tygodnie. Proszę następnego pacjenta.

– Chciałam o coś zapytać, pani profesor – Emilia postanowiła wykorzystać okazję, by uzyskać odpowiedź na pytania, które do tej pory zadawała tylko sobie i na które nie znalazła informacji w dostępnych źródłach.

– Proszę, słucham – powiedziała Profesorka, lekko zniecierpliwiona jej dociekliwością, której doświadczała nie po raz pierwszy.

– To jest choroba autoimmunologiczna, przeciwiała, ten mój oręż w walce, jak piszą w książkach, są skierowane przeciwko własnym komórkom, czyli dzieje się takie „ja kontra ja”. Czy to możliwe, abym sama na siebie sprowadziła tę chorobę? Aby nastąpił taki specyficzny bunt ciała jako reakcja na jakiś uraz, bardziej psychiczny niż fizyczny?

Emilia poczuła na sobie wszystkie spojrzenia, ostre, świdrujące, zniecierpliwione, jakby popełniła towarzyską gafę, jakby zbyt śmiało wybiegła przed szereg.

– Ani etiologia, ani patogenezę choroby nie są znane. Być może pewną rolę odgrywają szkodliwe geny, być może wirusy mogą u osób podatnych wyzwolić procesy chorobowe, których pani doświadcza, być może jakąś rolę odgrywają zaburzenia ze strony układu nerwowego, może są i inne „wyzwalacze” tej choroby. Nie sądzę jednak, by czynniki psychiczne odgrywały tu zdecydowaną rolę, choć kto wie, kto wie. W każdym bądź

razie na pewno nie jest tak, że ktoś sam na siebie coś sprowadził, a teraz się spręży i to odegna. Pani próbuje myśleć magicznie, a cudów nie ma, proszę pani.

— No tak, cudów nie ma — uśmiechnęła się Emilia, zapinając bluzę. — Niby nie ma — dodała, wychodząc.

— Choć kto wie, kto wie — szepnął któryś ze studentów, a cała grupa gruchnęła śmiechem, co Emilia także przyjęła z rozbawieniem.

Było prawie południe, salowe pchały wózki z jedzeniem. Pani Kazia już stała w drzwiach pokoju ze swoim talerzem. Odstawiła zupę na stół i poprosiła o kromkę chleba, po czym, mlaskając, głośno dawała wyraz zadowoleniu z obiadu.

— Jak dobrze, że Kazia przezorna, a przezorny zawsze ubezpieczony, więc Kazia ma dodatkową kromeczkę w szufladzie.

— Po co się tak pani chlebem opycha, pani Kaziu, jak pani chce, może pani zjeść moją zupę, bo ja poczekam na drugie danie — powiedziała Ela.

— Elunia się nie wygłupia, tylko zupę zajada, bo dobra, z czego będzie pokarm miała, co to, na anoreczkę chce wyglądać? Mąż nie będzie miał pociechy, prawdziwa kobieta powinna wszystko mieć jak się patrzy, i tyłek, i biust, i brzuch, bo baba bez brzucha to jak garnek bez ucha, no nie, pani Emilko?

— Pani Kaziu, ja tam chętnie zjem zupę, aby się pani dalej podobać. Ale jem bez chleba, więc proszę, może pani zjeść tę

kromkę — Emilia podała pani Kazi talerzyk z chlebem. — Ale po co pani chowa, chleba tu pod dostatkiem.

— A jak się Kazi w nocy jeść zachce, to co zrobi? Lepiej mieć zapas, od przybytku głowa nie boli.

Do pokoju weszła salowa, usiadła na brzegu łóżka Moniki z talerzem wypełnionym jednolitą papką. Monika ciągle leżała odwrócona twarzą do ściany, zwinięta w kłębek, z rękami wtulonymi pod kołdrę.

— Pani Moniko, obiadek, pani wstanie, usiądzie — powiedziała, klepiąc ją delikatnie po ramieniu.

Monika poruszyła się, a potem powoli podniosła okutaną w chustę głowę. Usiadła na łóżku, spuściła nogi, stopami próbując trafić w czerwone kaptcie z pomponem. Dłonie wcisnęła pod pachy.

— Temperatura w sam raz, nie boi się, będę karmiła powoli.

Emilia spojrzała najpierw na czerwone pompony i pomyślała, że fajne, też w dzieciństwie takie miała. Potem na łyżkę, a właściwie łyżeczkę, wędrującą do ust Moniki, ułożonych w wąską szparę, do której łyżeczka wchodziła z trudem. Usta Moniki ułożone były tak, jakby miała zamiar gwizdać, nie byłoby to jednak możliwe, ponieważ twarz była sztywna, ma lutka, ściągnięta, gładka, jak twarz wykutej w marmurze rzeźby z ostro wyprofilowanym nosem. Z lewego kącika popłynęła papka. Salowa zgarnęła ją, by z powrotem wepchnąć w otwór.

Monika siedziała sztywno. Miała cerę bladożółtą, błyszczącą. Wyglądała jak świetnie zakonserwowana mumia młodej

kapłanki odkryta po latach. Patrzyła niby wprost na Emilię, choć bardziej poza nią, jakby tam widziała świat giętki, pomarszczony, pełen fałd, niedoskonałości, czyli prawdziwego życia, a nie masek kuszących tajemnicą na karnawałowym balu.

Z SZUFLADY EMILII (7)

<http://emily-foxy.blog.onet.pl>

### ŁÓŻKA TWÓRCÓW

Miejsce do snu, wypoczynku, pracy. Do uprawiania seksu, przytulania się, drzemania. Łoże miłości i boleści. Łoże poczęcia, życia i śmierci. Oaza bezpieczeństwa, własny kąt. Mażeńskie łoże. Madejowe łoże, ogniste, zbójnikowe, nabite gwoździami i nożami; madejowe łoże, niewygodne, twarde jak kamień. Głowa łożka i nogi łożka. Przykuty do łożka, czyli zmuszony do leżenia w nim, obłożnie chory. Królewskie łoże. Szpitalne łoże.

### Łóżko do pisania Zofii Chądzyńskiej

Wracalam prosto z pralni do domu, wrywałam z kontaktu telefon, jakbym rozbrajała bombę — i do łożka. Widać to był instynkt. Tylko tłumaczenia (w przyszłości) robiłam na maszynie, poza tym wszystko, co w życiu napisałam, napisałam w łożku.

Pisałam i darłam, pisałam i darłam, obok łóżka powstawała zaśmiecona plaża, ale pewnego dnia w głowie zaczęłam słyszeć jakiś rytm [...]. Co wieczór nabierałam rozpędu, czytając poprzednie rozdziały. W jakiś sposób uczyłam się zawodu. Biegłam do łóżka, do książki, jakbym biegła do najdroższego kochanka.

Nocą budziły mnie zwroty, całe zdania, zapalałam światło, notowałam je — nazajutrz nie pasowały do niczego. Pewnie tak właśnie powinno być.

Cytowany fragment pochodzi ze wspomnieniowej książki Zofii Chądzyńskiej pod tytułem *Co mi zostało z tych lat*.

Nie zamierzała zostać pisarką. Pierwszą swoją książkę *Ślepi bez lasek* napisała pod wpływem Jeana Reverzy'ego, lyońskiego lekarza i pisarza.

Jego książki uznała za listy do niej skierowane. Czytała je z namaszczeniem, po kilka stron dziennie, by na dłużej starczyło. Spotkali się tylko raz w życiu, rozmawiali przez dziesięć minut, potem pisali ciężkie gatunkowo listy („ja o obsesji śmierci, on o tragedii życia”). Część tej korespondencji była w wiele lat po samobójczej śmierci Reverzy'ego przedrukowana w „Literaturze na Świecie”.

Zofia Chądzyńska przetłumaczyła dwie jego książki. Tłumaczką stała się jednak dzięki Julio Cortázarowi, którego polskim czytelnikom podarowała niemal w całości.

Nigdy jej nie poznałam, nigdy jej nie zobaczyłam, ale kiedy mówiła do mnie w słuchawce telefonu, wyobrażałam ją sobie

siedzącą pod oknem, w fotelu, i czułam się mniej pojedyncza (dlaczego w fotelu, a nie w łóżku?).

Jej koty przebiegały mi drogę. Jej psa odnajdowałam w swoim, choć nie miał na imię Drab. Czasami myślałam, że tę wspomnieniową książkę napisała dla mnie. Jak Jean Reverzy pisał dla niej, mimo że jej wówczas nie znał. I to też nieważne, że wtedy o mnie nie słyszała. Koincydencje — powiedziałyby.

## Kobieta zaklęta w ból — Frida Kahlo

Najpierw polio, potem wypadek. Jechała autobusem, w który uderzył rozpędzony tramwaj. Cudem ocalała. Przeszła ponad trzydzieści operacji (kręgosłup złamany w dwóch miejscach, miednica w trzech, noga w jedenastu). Ból dręczył ją do końca życia. Musiała nosić gorset ortopedyczny, który ważył dwadzieścia kilogramów. Ile czasu spędziła w szpitalnym łóżku, a ile w innych łóżkach?

Wymalowała swoją autobiografię w autoportretach.

Frida Kahlo (1907-1954), surrealistyczna malarka meksykańska, żona Diego Rivery. Autorka pięćdziesięciu dwóch autoportretów, na których uwieczniła swój ból: krew, łzy, ciernie, strzały, zmasakrowane ciało. Najokrutniejszy to *Złamana kolumna*. Ciało z dziesiątkami wbitych gwoździ, obwiązane bandażami. W środku otwartego ciała widać stalową kolumnę, połamaną. Z oczu płyną łzy, mrozące tych, którzy patrzą.

— Maluję siebie, bo jestem samotna. Jestem tematem, którzy znam najlepiej — mówiła.

Inny przerażający obraz *Bez nadziei* — Frida leży na łóżku, wymiotuje wszystkim: kawalkiem mięsa, rybą, czaszką, całym życiem.

Z filmu pod tytułem *Frida* pamiętam łóżko, które wędrowało wraz z wypięknioną, leżącą w nim Fridą.

### Łóżko-tratwa Colette

Sidonie-Gabrielle Colette, znana pod pseudonimem Colette, miała apetyt na życie, największy zaś na miłość. Kiedy jej świat po raz kolejny się walił, wyznała przyjaciółce: „Nie pozostaje mi nic innego, jak udowodnić, że nigdy nie robiłam niczego dla korzyści i że kierowało mną jedno nieodparte uczucie: miłość”.

Colette żyła zawsze w biegu, intensywnie, ale kiedy unieruchomił ją artretyzm, musiała wyrzec się aktywności i spędzać czas w „pułapce na myszy”, jak nazywała swój czerwony pokój, który Sandra Petrignani opisuje w książce *Domy pisarek*, nazywając go „pokojem czerwonym jak pokój kokoty, duszący swym kobiecym ekstremizmem, nadmiarem kobiecości, jakby to był pokój transwestyty z jego groteskową deformacją piękna i uczuć”.

Jej łóżko, nazywane łóżem boleści i „tratwą”, otoczone było różnymi przedmiotami. Na oparciu wisiały dwie laski, którymi „dokonywała połowów z tratwy”, przyciągając to, co było jej w danym momencie potrzebne. Nad łóżkiem przymocowana była lampa, dzięki której mogła pisać i czytać. Pisywała jedynie na niebieskim papierze, wiecznym piórem marki Parker. W nogach łóżka stał telewizor.



Colette unikała środków przeciwbólowych, nawet aspiryny, by nic nie przyćmiło jej umysłu. Siedząc w łóżku, przyjmowała wizyty pisarzy, dziennikarzy i wielbicieli. Nie żaliła się na swój los, próbowała raczej zgłębiać fenomen tego, co ją spotykało. Świadkowie twierdzą, że do końca emanowała ciepłem, urokiem, spokojnym smutkiem kobiety, która nie chciała się zestarzeć i z uporem nie nosiła okularów. Zbierała kolorowe szklane kulki. Z Trumanem Capote'em potrafiła o nich rozmawiać godzinami, tłumacząc mu sztukę dawnej krytalografii. Podarowała mu fasetowany bakarat, bez żadnego pęcherzyka powietrza, z białą różą w środku. Kiedy protestował, że nie może go przyjąć, tłumaczyła, że tylko ofiarowywanie tego, na czym nam zależy, ma sens.

## ROZDZIAŁ VIII

### SZPITAL — MONIKA

Miała krótko ostrzyżone włosy, sterczące, sztywne, gęste. Tworzyły zgrabną fryzurę „na języka”. Emilia wpatrywała się w jej głowę, spacerując po szpitalnym korytarzu i oczekując swojej kolejki do badania zwanego kapilaroskopią. Monika siedziała pod drzwiami gabinetu, tym razem bez chustki na głowie, dłonie jednak ciągle trzymała schowane w rękawach. Skulona, obejmowała siebie, jakby chciała się ogrzać własnym ciepłem.

Emilia przeciwnie: bluzę od dresu miała rozpiętą, a pod nią tylko cienką trykotową koszulkę. Stopy bez skarpet, wsunięte w atlasowe klapki.

— Jak patrzę na ciebie, to mi się robi jeszcze bardziej zimno — powiedziała Monika, która wydawałoby się, nie zwracała na nikogo uwagi, zapatrzona w przestrzeń korytarza.

— Poczekaj, poczekaj, wpadniesz w okres menopauzalny, to też ci będzie ciągle za ciepło — zażartowała Emilia.

— Cha cha, nie zdążę — Monika roześmiała się prawie radośnie. — I wiesz, co ci powiem, a powiem ci, bo teraz dopiero wszystko do mnie dociera: głupie są te baby, które na siłę

przedłużają młodość. Ja bym chciała doświadczyć tych wszystkich uderzeń gorąca. Czy to nie fajnie wiedzieć, jak to jest?

— Dlaczego uważasz, że nie zdążysz?

— Widzę, co się ze mną dzieje. Byłam tutaj rok temu, o tej samej porze, leżałam ponad miesiąc, a teraz żadna z pielęgniarek mnie nie rozpoznała.

— Nie rozpoznały cię, bo mają za dużo pacjentów i nie mogą wszystkich spamiętać — Emilia podawała racjonalne powody.

— Pociaszasz mnie... Schudłam piętnaście kilogramów, mój przelyk zamienia się w kamień. Zauważyłaś, że jem tylko papki, bo nic innego mi nie przejdzie. Z coraz większym trudem mówię i oddycham, a to znaczy, że moje płuca też kamienieją, zresztą nie tylko płuca.

— Monika Jaworska — wywołała ją pielęgniarka.

— Jak wrócę, to coś ci pokażę — niezgrabnie pomachała do Emilii ręką, której palce były zsiniałe, a skóra na zewnętrznej stronie dłoni naciągnięta, zabarwiona na żółto, bez jednej bruzdy. Przypominała dłoń marmurowej rzeźby, której opuszki palców wykruszył czas. Palce były ponadto przykurczone, dziwnie szpiczaste.

Monika mówiła powoli i niewyraźnie, za to mądrze. Słowa z trudem wydostawały się z cienkich ust, twarz pozostawała nieruchoma. Żyły w niej tylko długi i haczykowaty nos oraz głęboko osadzone oczy. Jeśli w Monice było jeszcze coś ciepłego, to usadowiło się w oczach. Tylko one zdradzały emocje.

Emilia wyciągnęła telefon z kieszeni bordowego dresu. Był nastawiony na wibracje, by nie zakłócać szpitalnych rytmów.

— To nie tak — zaczęła się tłumaczyć — teraz nie mam czasu wyjaśniać, bo zaraz wchodzę na badanie, potem do ciebie zadzwonię, nie złość się, kochana, nie chciałam nikogo martwić, nic specjalnego się nie dzieje, po prostu w moim wieku trzeba się oddać do generalnego przeglądu i tyle. Po co mam biegać po przychodniach, skoro mogę zrobić badania kompleksowe w klinice...

— Nie zamierzałam nikogo okłamywać, to tylko kilka dni i wracam, o co ta cała heca, Gosiu — przekonywała.

Schowała telefon do kieszeni. Kiedy wróciła na salę po kapilaroskopii, w czasie której lekarka pocieszała ją, że nie widzi żadnych zmian, Monika leżała na łóżku, skulona, odwrócona twarzą do ściany. Ela przeglądała kolorową gazetę o życiu gwiazd popularnych seriali, a pani Kazia zajadała suchą kromkę chleba, wygrzebaną z blaszanej szafki.

Usiadła na łóżku, podłożywszy sobie poduszkę pod plecy, i włączyła laptop. Wystukała odpowiednie kody i połączyła się z internetem. Odebrała codzienną partię poczty. Nie miała ochoty odpowiadać na otrzymane listy. Po raz pierwszy też usunęła wszystkie zawierające prośbę o przysłanie autografu, i to koniecznie na zdjęciu. Nie była na tyle naiwna, by myśleć, że

gwałtownie przybyło jej czytelników. Prawdziwym czytelnikom zależało na podpisaniu książki. Nigdy nie wysyłała fotografii, jeśli już, to zakładki do książek z podpisem.

Była pewna, że osoby podające się za tak zwane fanki i fanów to bynajmniej nie wierni czytelnicy, tylko widzowie telewizyjnego serialu, w którym jej starsza córka, Małgorzata, grała główną rolę. Emilia oglądała serial pobieżnie, co Małgorzata miała jej za złe. Wyławiała tylko sekwencje z córką, wcielającą się w postać Sary, dziennikarki z ambicjami, redaktorki naczelnej pisma dla kobiet, próbującej pogodzić życie zawodowe z prywatnym. Resztę filmu pomijała, czytając w tym czasie gazetę.

Serial był polską podróbką filmu o diable, co ubiera się u Prądy, wymieszanym z telenowelą brazylijską: efektowne stroje, bogate wnętrza, dobre samochody, miłości, romanse, ładne twarze, zgrabne figury, intrygi, no i kulisy dziennikarstwa rodem z show biznesu. Jednym słowem — rzecz o świecie, który zwariował i chce być *glamour*.

Sara była trzydziestokilkuletnią singielką. W wieku dwiętnastu lat urodziła córkę z krótkotrwałego związku ze starszym o piętnaście lat Francuzem polskiego pochodzenia.

Było to jej tajemnicą, obwarowaną obopólnymi umowami, z których najważniejszą była ta, by Sara uchodziła za zmarłą i tym samym nie miała żadnego kontaktu z córką.

Wszystko zmierzało ku temu, że matka i córka odnajdą się po latach.

Małgorzata (Sara) szybko stała się ulubienicą tabloidów. Była rozpoznawalna na ulicy, co przynajmniej na początku głaskało jej próżność. Próbując utrzymać pozycję ambitnej aktorki, grała także w Teatrze Śląskim, gdzie kiedyś zaczynała karierę — i dzięki temu na spektakl z jej udziałem bilety były wyprzedawane co najmniej na dwa miesiące naprzód.

Emilia podziwiała córkę najbardziej za to, że popularność nie uderzyła jej do głowy. Była ciągle jej mądrą Gosią, potrafiącą zachować dystans do codzienności i obronić, jak mawiała, ten „swoją kawalek podłogi”. Nie spotykały się często, to prawda, ale znajdowały czas na telefoniczne pogaduchy, które bynajmniej nie ograniczały się do pytań o samopoczucie i plany na najbliższe dni.

Emilia nie powiedziała nikomu o zamierzonym pobycie w szpitalu, dlatego Małgorzata, dowiedziawszy się o wszystkim od Tomasza, który, o dziwo, nie potrafił skłamać, zadzwoniła do niej z pretensją. Tak, Małgorzata miała rację, teraz Emilia zaczęła patrzeć na wszystko z punktu widzenia córki, która hołdowała zasadzie, że ważnymi sprawami trzeba się dzielić z bliskimi, jak również na bieżąco wyjaśniać nieporozumienia. Ta zasada od zawsze obowiązywała w ich domu, pomagała tworzyć prawdziwą rodzinę, więc teraz nie było dla Emilii usprawiedliwienia, żadnego, nawet i tego, że nie chciała nikogo martwić.

Znów odezwał się telefon. Usłyszała głos Doroty:

– Mama, ja rozumiem, że nie powiedziałaś nic Małgosi, ale że mnie nie pisałaś słówka, tego pojąć nie potrafię. Dlaczego? Skoro tak się kamuflujesz, to znaczy, że to coś groźnego, więc zaraz do ciebie przyjeżdżam i wszystko mi wyśpiewasz jak na spowiedzi, koniec tej samowolki.

– Dorotko, proszę, nie przyjeżdżaj, to nie jest dobre miejsce na rozmowę. Wróce, to pogadamy.

– Alanowi też nie powiedziałaś?

– Alanowi? Po co? Miałabym dzwonić do Paryża i go niepokoić? Jeszcze nie zwariowałam.

– Mogłaś mu wysłać mejla.

– Nie wysłałam.

– No dobrze, bo już się bałam, że to jego bardziej kochasz niż nas.

Roześmiały się obie, jak w czasach, kiedy mieszkali wszyscy razem i Emilia często utwierdzała dzieci, że kocha je tak samo bardzo, tylko każde inaczej, bo każde z nich jest inne.

– Dorotko, umówmy się, że jeśli nie wyjdę stąd do końca tygodnia, to wtedy przyjedziesz, wcześniej nie ma sensu. A o wynikach badań porozmawiamy, jak będą.

– Jak ci tam, mama? Smutno? Potrzeba ci kompotu albo rosolu z makaronem? Bo do szpitala się wozi kompoty, no nie? Mogę ugotować, choć w życiu tego nie robiłam.

– Wszystko mam. Wiesz, że piję wodę, herbatę i kawę, nie żartuj z tym kompotem. Niczego mi nie trzeba, mam laptop, możesz wysłać fotkę Wojtusia z dzisiaj. Albo cokolwiek innego. Tylko nie dzwoń do Alana, proszę.

– Nic by mu się nie stało, gdyby się trochę pomartwił, może by przyjechał na święta, nie sądzisz?

– Tak sobie myślę, Dorotko, że pojedę do niego przed świętami i może razem wrócimy, co ty na to?

– Pojedziesz? A mówiłaś, że nigdy nie pojedziesz, bo nie masz potrzeby spotykać się z Filipem.

– A teraz sobie myślę, że powinnam zweryfikować potrzeby, nie sądzisz?

– Znasz nasze z Małgosią stanowisko na ten temat. Dalej nie rozumiemy, dlaczego nie możesz wybaczyć Alanowi, że pojechał na studia do Francji. I do Filipa. Przecież to jego ojciec! Mama! Czego ty się boisz? Nie widzisz, że stanęłaś pomiędzy nami a Alanem? Jak tylko wyjdiesz ze szpitala, zwołuję zebranie na szczycie, trzeba to wszystko odgruzować, tak nie może być. Zgadzasz się ze mną?

– Dorotko, masz rację! We wszystkim albo prawie wszystkim.

– OK, to posiedź jeszcze w tym szpitalu, bo widzę, że przywraca ci właściwą opcję i racjonalne spojrzenie na sprawy. No to pa, pa, pa, biegnę po Wojtusia, kocham cię, mamuś.



– Kocham cię, Dorotko – powiedziała Emilia szeptem, czego już nie usłyszała córka, bo szybko się rozłączyła, ale usłyszała pani Kazia.

Próbowała zagadać, jednak Emilia założyła słuchawki na uszy i na migi pokazała, że nie słyszy. Pielęgniarka jeszcze dwa razy wywoływała ją na kolejne badania, także przypomniała o zastrzyku w pokoju zabiegowym. Ponieważ próba penicylina okazała się dodatnia, więc zlecono dożylnie antybiotyk o nazwie Ceftriaxone (ceftriakson) w dużej dawce, dwa razy dziennie, oraz witaminę B<sub>6</sub> domięśniowo. Na lewej dłoni miała zamocowany wenflon.

Pielęgniarka podłączyła do niego dużą strzykawkę i powoli wciskała żółtawy płyn. Emilia poczuła zimno najpierw w stopach, potem w rękach, na plecach, jakby mroźny wiatr owionął niespodziewanie nagie ciało. Pot zrosił jej czoło, w żołądku poczuła skurcz. Próbowała wziąć głębszy oddech i powiedzieć, że jest jej niedobrze lub słabo. Nie wiedziała, jak nazwać stan, w którym się znalazła, słowa umykały z głowy jedno za drugim, prawie tak szybko, jak obraz już do połowy opróżnionej strzykawki. Słyszała jakieś głosy z oddali, nawoływania, tupot wielu nóg. Było jej błogo, jak przy zasypianiu w ulubionej pozycji, z głową na poduszce wyprofilowanej odpowiednio pod karkiem, z lekką kołdrą opatulającą nogi.

Kiedy się ocknęła, leżała na kozetce pod oknem, obok stali lekarz i pielęgniarka. Patrzyli jej prosto w oczy, próbując z nich

wyczytać przyczyny omdlenia. Pielęgniarka odkładała na bok aparat do mierzenia ciśnienia.

– Zimno mi — powiedziała Emilia.

– Co się dzieje, pani Emilio? — zapytał lekarz.

– No właśnie, nie wiem, co się dzieje — powtarzała nieskładnie.

– Już pani brała ten antybiotyk dzisiaj, prawda? I nic się pani nie działo?

– Działo, ale dotrwałam do końca tej wielkiej strzykawki. Potem poleżałam trochę i było lepiej.

– Dlaczego pani od razu nie powiedziała?

– Bo chciałam wytrwać i nie dziwaczyć.

– Lepiej niech pani dziwaczy i nie szarżuje, bo to ze szkodą dla pani.

Pielęgniarka odprowadziła Emilię do łóżka, przykryła kołdrą. Emilia podciągnęła kołdrę pod szyję i odwróciwszy się na lewy bok, ten lepszy, patrzyła na salę. Monika siedziała sztywno na brzegu łóżka, obok Eli siedział mąż i podsuwał jej kawałki obranego ze skórki jabłka. Tylko pani Kazia dreptała po pokoju, komentując omdlenie Emilii: — Te młode to dzisiaj takie słabe, takie słabe, ledwo strzykawkę większą zobaczą i już fik. Dobrze, że pani nie upadła, że te dwie siostry podtrzymały. A mówiłam, trzeba chlebek jeść, a nie tylko frykasy. Jak Emilia zechce, to Kazia jej da kromeczkę z szufladki.

– Bledziutka jesteś — powiedział Tomasz, który właśnie wszedł do sali.

— Oj, nie marudź, tylko chodź ze mną na kawę do baru.

Emilia spojrzała na Monikę, która ciągle siedziała na brzegu łóżka.

— Może chcesz sobie sprawdzić pocztę w necie, to proszę — pokazała na laptop.

— Nie, co ty, a kto by do mnie pisał? Ale chętnie wejdę na forum, mogę?

Emilia postawiła laptop na stoliku pod ścianą.

— Chodź, tu jest dobry zasięg.

— Dlaczego leżałaś? — zapytał Tomasz, kiedy schodzili na dół do baru, w którym można było wypić kawę, zjeść grillowane kanapki, a nawet obiadowe dania.

— Przecież jestem w szpitalu, a w szpitalu się leży.

— Emi, jak cię znam, to powinnaś albo pisać, albo czytać.

— Trudno mi się skupić, ciągle przerywają, wołają na badania, na zastrzyki. O widzisz, nie mogę brać ani penicyliny, ani tego drugiego antybiotyku, na pierwszy jestem uczulona, po drugim też coś mi się dzieje, więc prawdopodobnie przejdę na kurację tabletkami i wrócę szybciej do domu. — Tak myślę, bo badania zakończą się jutro, a tabletki mogę łykać w domu, tylko antybiotyk dożylny muszę dostawać pod kontrolą fachowców. — A poza tym postanowiłam pojechać do Paryża, by odwiedzić Alana i Filipa.

- Co się stało?
- Zrozumiałam, że powinnam, już czas wystawić głowę z piasku, nie sądzisz?
- Czyli zamierzasz pojechać na kontrolę?
- Zwariowałam. Po prostu chcę na własne oczy zobaczyć, jak się ma mój syn, jak tam mieszka, jak patrzy na ojca, a ojciec na niego, chcę wiedzieć, jak wygląda w tamtym otoczeniu.
- Boję się, Emi.
- Czego? Nieraz sama podróżowałam.
- Nie tego, że sama, tylko że tam, gdzie będzie Filip. Wiem, ile dla ciebie znaczył i wiem, że boli cię ucieczka Alana.
- Dobrze mnie zdiagnozowałaś, więc wyjaśniam szczegółowo: mój żar do Filipa to przeszłość, tego się nie obawiaj. Po prostu chcę na własne oczy zobaczyć, dlaczego Alan nas zostawił.
- Co ty pleciesz? Nie zostawił was, wybrał tylko studia w Paryżu, powinnaś się cieszyć, że cię stać na ich finansowanie. Poza tym Alan przyjeżdża, dzwoni, pisze.
- Przyjeżdża? Ciekawe. Kiedy był ostatnio? Ponad rok temu, ciągle znajduje powód, by nie przyjechać.
- Może się boi, że go nie akceptujesz.
- Przecież akceptuję. Nie mam wyjścia.
- No właśnie, tego się boi, że nie masz wyjścia, więc to nie ma nic wspólnego z akceptacją.
- Zgodziłam się, wysłałam mu pieniądze. Ciągle pytam, kiedy przyjedzie, a on mi nawet jednej fotki stamtąd nie przysłał, mimo

że wysłałam mu aparat cyfrowy, pamiętasz? Ani jednej fotki, nic, nic, gdyby chociaż wieżę Eiffla albo barki na Sekwanie, ale nic. Dlaczego? Że mnie nie przysyła, to jeszcze pół biedy, ale dziewczynkom, to znaczy siostronom też nie przysyła.

— Skąd wiesz, może ci nie mówiły?

— Powiedziałyby... Mam nadzieję.

— Wy też do niego nie pojechałyście. Żadna. A przecież zapraszał.

— Dorotka ma Wojtusia, a Małgosia ciągle nagrywa i jeszcze teatr, na nic nie mają czasu.

— Może Alan to widzi inaczej. Może boi się, że jak przyjedzie, to będziecie mu wiercić dziurę w brzuchu, by wrócił i tu podjął studia. Może chce sobie oszczędzić nerwów, woli więc schować głowę w piasek jak ty.

Emilia spojrzała na niego groźnie.

— Czasami chowasz — poprawił się.

Milczeli chwilę. Tomasz głaskał ją po rękę, odgarniał jej włosy z czoła. Chciało jej się płakać, ale przelykała łzy, by nie narażać się na słowa pocieszenia, które w tej sytuacji tylko by ją zirytowały. Była rozszalona i potrzebowała teraz własnego kąta, a nie stolika w szpitalnym barze, w którym zapach kawy mieszał się z zapachem smażonej ryby i frytek.

— Idziemy stąd — powiedziała nagle — mam pomysł.

Podziemnym korytarzem wyprowadziła Tomasza do wejścia głównego, przeszli obok portierni i wyszli na zewnątrz. Świeciło słońce, czarne ptaszyska obsiadły trawnik pod murem, za którym mieściły się budynki Akademii Muzycznej.

— Emi, zmarzniesz, jest naprawdę mroźno, to nie pora na spacer.

— Toteż nie zamierzam spacerować, musimy tylko wyjść z terenu szpitala na główną ulicę.

— Tak po prostu?

— No jasne, przecież mój dres wygląda całkiem nieszpitalnie, mam skarpety i mokasyny, ani trochę nie wyglądam na uciekinierkę, prawda?

— O matko — jęknął Tomasz — chyba nie zamierzasz wyjść na miasto i przedelfilować przed portiernią przy głównym wejściu.

— Nie marudź, tylko daj mi szalik.

Złożyła mięciutki szalik na pól i owinęła nim szyję, tak jak to zwykli robić Francuzi. Podeszła do portiera i zapytała, jak długo szłoby się stąd pieszo do dworca. Portier powiedział, że nie dłużej niż piętnaście minut, i pokazał kierunek. Uśmiechnęła się, podziękowała, złapała Tomasza za rękę i pociągnęła za sobą. Skręciła w prawo, na światłach przeszli na drugą stronę ulicy Francuskiej. Minęli sklep spożywczy na rogu, potem z materiałami biurowymi i stanęli przed palarnią kawy, której zapach poczuli już wcześniej.

Był to mały sklepik, z różnymi gatunkami kawy, którą palono na miejscu, z owsianymi ciasteczkami, herbatami na

wagę, także wybornymi konfiturami i porcelanowymi serwisami. Przy witrynie stał okrągły stolik z dwoma giętymi krzesłami, a pod ścianą jeszcze dwa. W kącie stojący wieszak i kosz na parasole. Lubiała tę palarnię, bo przypominała jej malutkie bistra w Paryżu. Zawsze zastanawiała się, dlaczego jej właściciele nie plajtują i jak to im się opłaca.

Usiadła przy oknie. Lubiała obserwować ulicę.

— I co teraz? — zapytał bezradnie.

— Jak to co? Zamów dwie czekoladowe kawy z ekspresu i posiedzimy przy nich chwilkę.

Tomasz stanął przy kontuarze. Przyglądała mu się ukradkiem. Wysoki, przygarbiony, z ręką w lewej kieszeni, jak chłopczyk, który uciekł z przedszkola na wagary. Wyszperał drobne z kieszeni kurtki w kolorze khaki.

Zawsze nosi pieniądze w kieszeniach — pomyślała — nigdy go nie oduczę. A właściwie to po co miałabym oduczać?

— Ładnie się uśmiechasz — powiedział, stawiając filiżanki z kawą i jak zwykle rozlewając dwie krople na stolik.

— Kocham cię, Emi, i bardzo tęsknię. Brakuje mi ciebie, dopiero dwa dni, a już chodzę po mieszkaniu z kąta w kąt. Dziś rano zrobiłem dwie filiżanki kawy i chciałem ci przynieść. Postawiłem obie na swoim biurku, z jednej i drugiej strony, i wypilem pod rząd. W nocy kładę głowę na twojej poduszce

i budzę się po kilka razy, bo nie słyszę twojego oddechu.

— Tomaszku, ale wolny jesteś teraz jak ten motylek i nikt cię nie denerwuje, nikt nie marudzi, nikt nie brzdęka, nie każe sprzątać sypialni i łazienki.

— No jasne, jestem wolny jak motylek, ten wkurwiony motylek, mogę sobie nawet ubranie posolić.

— Możesz je nawet pokoperkować, Kochany.

— Powtórz to jeszcze raz.

— Pokoperkować.

— Dalej.

— Kochany. Kochany Tomaszku, Kochany przeze mnie. — Emilia spojrzała mu prosto w oczy, dopijając kawę. — Koniec wagarów, wracam do szpitala, ale nie bój się, jeszcze ja ci życie umilę, niech no tylko wrócę z tego zesłania, a potem z Paryża.

Emilia przeszła na drugą stronę ulicy, nie pozwoliła Tomaszowi się odprowadzić. Tym razem pomachała mu, gdy wchodziła w bramę, bo wiedziała, że na pewno stoi i patrzy. Wbiegła na górę.

Monika siedziała nadal przy komputerze. — Dorzuciłam ci do „ulubionych” forum, z którego korzystam. Tam jest świetna grupa wsparcia, może ci się nie przyda, ale na wszelki wypadek podaję ci kontakt z ludźmi podobnie chorymi.

— Obiecałaś mi coś pokazać, Moniko.

— Aha, chodź do okna.

Monika stanęła bokiem przed wysokim oknem. Emilia naprzeciw niej.



– Pomóż mi podnieść bluzę. Bola mnie stawy w łokciach.

– Tak po prostu mam ci podnieść bluzę i koszulkę?

– Tak po prostu.

Emilia poczuła się nieswojo. Monika świdrowała ją wzrokiem, tak jej się wydawało. Ujęła bluzę z jednej i drugiej strony, delikatnie, w dwa palce, z obawą, jakby za chwilę miał z brzucha Moniki wyskoczyć co najmniej rogaty diabeł.

– Śmiało! – Monika wyraźnie bawiła się niepokojem Emilii.

Obie się roześmiały, choć twarz Moniki nie drgnęła. Śmiały się jej oczy i kąciki ust, z których po prawej stronie wypłynęła strużka śliny.

Emilia podniosła bluzę i zobaczyła ciało jednolicie gładkie, napięte, błyszczące. Sutki i niewielka część tkanki gruczołowej pozostały nie zmienione, reszta była jak zakuta w marmur.

– Dotknij, nie bój się.

– Twarde i gładkie.

– Uszczypnij mnie.

– Nie da się, żadnej fałdki, nic, ani trochę.

– Stuknij.

– Twarde jak skała.

– Stuknij mocniej.

– Co ty?

– To nie boli.

Emilia opuściła bluzę.

Twarz Moniki była nadal sztywna, ale oczy odżyły.

— Powiem wam — odwróciła się nagle do sali — bo łatwiej się mówi komuś, kogo się nie zna... Straciłam dziecko, na własne życzenie. Miało siedem tygodni. Potem zrozumiałam swój błąd i wpadłam w rozpacz. Długo rozpaczałam, potem zdecydowałam się na bardzo chcianą ciążę. I nie zachodziłam, ani razu. Leczyłam się i rozpaczałam, rozpaczałam i leczyłam. Po drodze się puszczałam na prawo i lewo, by dać sobie jakąkolwiek szansę. Nic z tego. Więc zostałam ukarana. Już nie mam siły rozpaczać, dlatego bogowie zamieniają mnie w skałę. Jak Niobe. Oto cała historia. Proste jak drut.

— Jakby tak było, to Kazi by już dawno nie było, bo Kazia na własne życzenie dwa razy traciła, też ci się przyznam, bo nad grobem stoję i nie ma co oszukiwać, nawet obcych.

— Moniko, dziecko kochane — wzruszyła się Emilia.

— Nie jestem dzieckiem, mam czterdzieści lat.

— Jesteś dziewczynką, skrzywdzoną i krzywdzącą siebie dziewczynką. Moniko, to wszystko można odwrócić, tylko musisz o tym rozmawiać, pójść na terapię. Albo przynajmniej czytać odpowiednie książki, powiem ci jakie. — Emilia miała ochotę przytulić Monikę, ale bała się wykonać jakikolwiek gest, więc zastępowała gesty słowami, rzucanymi w amoku, nerwowo, z przejęciem.

Ela siedziała na łóżku, znów odciągała pokarm i płakała. Czy z żalu nad Moniką, czy nad sobą, czy z bólu, czy z tęsknoty — nikt nie zapytał.

Odstawiła odciągacz i butelkę, do jednej czwartej wypełnioną mlekiem. Zatelefonowała do męża, by przyjechał i dał małeństwo. Wysmarkała nos.

Monika patrzyła ponad dachy brudnego miasta, nad którymi górował dach Akademii Muzycznej. Emilia oparła się o poduszki, założyła słuchawki, przymknęła oczy, wsłuchując się w słowa poetyckiej piosenki: „Camille Claudel, Camille Claudel wspaniała, to ta Camille, niezwykły talent miała...”.

Z SZUFLADY EMILII (8)

<http://emily-foxy.blog.onet.pl>

### CAMILLE CLAUDEL WSPANIAŁA

Ojciec ją uwielbiał, podziwiał, wspierał jej talent.

Matka była pełna niechęci, którą po latach zamieniła w nienawiść. Wierzyła jedynie w geniusz syna, Paula, poety, łagodnie traktowała też drugą córkę, Louise, uzdolnioną muzycznie. Ręce Camille, ubabrane w glinie, budziły w niej wstręt tym większy, im bardziej ojciec podziwiał gliniane stwory córki. To on pokazał je rzeźbiarzowi Alfredowi Boucherowi, który namówił go, aby pozwolił Camille kształcić się w Paryżu. Dzięki

poparciu Bouchera i Paula Dubois Camille została przyjęta do Académie Colarossi, jednej z niewielu otwartych dla kobiet.

Wkrótce została asystentką słynnego już Augusta Rodina. Miała wówczas dziewiętnaście lat, Rodin czterdzieści trzy. Była uzdolniona ponad miarę, pracowita, pełna pomysłów, dzikiej żywiołowości. Pracowała jak najsilniejsi mężczyźni, obrabiając bloki marmuru. Nocami pomagała Rodinowi wykańczać rzeźby. Równocześnie tworzyła swoje. Wniosła w życie Rodina ogień, rozumiała jego twórcze rozterki, więc Rodin powierzał jej trudne zadania — rzeźbienie rąk i stóp. Tylko ją pytał o zdanie i tylko jej wierzył. Wkrótce przerosła mistrza, co nie mogło jej ujść bezkarnie. Oficjalnie jako artystka pozostawała ciągle w jego cieniu.

Uwiecznił ją w wielu rzeźbach. Będąc w nieformalnym związku z byłą modelką (mieli syna, rówieśnika Camille), dbał o opinię, więc związek z Camille utrzymywał w tajemnicy. Dla Camille Rodin był pierwszą namiętnością, toteż z trudem godziła się na rolę kochanki w wynajętych pokojach, z trudem zносиła jego nieślubną żonę i miłostki z modelkami.

Wreszcie opuściła pracownię Rodina. Czy uświadomiła sobie wartość swojej pracy? Czy zrozumiała, że jest niedocenioną artystką, która już nie chce nic zawdzięczać tchórzliwemu, egoistycznemu i niewiernemu kochankowi? Czy zorientowała się, że tkwi w destrukcyjnym związku, kocha za bardzo i nigdy nie zostanie panią Rodin? Może fakt, że Rodin zmusił ją do aborcji, przelał czarę goryczy?

Zaczyna walczyć o siebie, broni swojej twórczej osobowości z dziką przesadą małej skrzywdzonej dziewczynki. Nosi dziwaczne suknie, fryzury z kolorowymi wstążkami, piórami i tworzy genialne rzeźby, którymi Rodin zachwyca się skrycie. Owszem, pomaga jej, nie na tyle jednak, by uchodziła za niezależną rzeźbiarkę, a nie uczennicę słynnego mistrza. Camille skazuje się na towarzyską banicję, obnosząc swoją dumę, wolność artystki, a przede wszystkim miłość, z której nie potrafiła się wyzwolić.

Jej rzeźba *Wiek dojrzały*, bardzo osobista, wstrząsnęła Rodinem, co i tak niczego nie zmieniło w ich relacjach. Bo choć byli jak „dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi”, Camille Claudel-niestety-kobieta nie mogła przerosnąć mistrza, nie w tamtych czasach, może nie mogłaby i w dzisiejszych.

*Wiek dojrzały* to historia ich miłości, albo raczej jej miłości — upokorzonej, szalonej, skazanej na cierpienie. Trzy postaci: młoda kobieta błagająca mężczyznę, który chroni się w ramionach starej kobiety.

Ta dziewczyna to młodość  
którą mi zabrałeś Ta starucha to przyszłość  
której nie chcesz dzielić ze mną Moja starość samotna  
Mam dwadzieścia parę lat Tyleż rzeźb na koncie  
bose stopy i ręce które krwawią Nic poza tym  
Nie stać mnie już nawet na modelkę  
Wynajmuję więc siebie Płacę za to sobą  
Dedykuję ci tryptyk nazwij go jak zechcesz  
Trzy razy Camille lub Trzy razy Nikt

— pisze Renata Putzlacher w wierszu *Camille Claudel do Augusta Rodin, dedykując mu tryptyk*.

Dopóki żył ojciec, miała w nim obrońcę.

Zaledwie w tydzień po jego śmierci brat, Paul Claudel, poeta, zwany chrześcijańskim, dyplomata w Chinach, Niemczech, Japonii, ambasador w Stanach Zjednoczonych, zdecydował, że trzeba ją zamknąć w azylu dla obłąkanych, by nie przynosiła wstydu rodzinie, mieszkając tylko w towarzystwie kotów na Wyspie Świętego Ludwika, niszcząc swoje ciało, zakute w gipsowe i marmurowe odlewy. Matka z ulgą mu przyklasnęła. Nie odwiedziła córki nigdy. Będący u szczytu sławy i powodzenia brat zrobił to czternaście razy. Nic dziwnego, jak na poetę głoszącego tajemnice wiary i prawdę religii, która jego zdaniem tkwiła nie poza życiem, ale w nim, gdzie ścierały się namiętności.

Camille Claudel spędziła w azylu trzydzieści lat.

Ma swoją salę w Muzeum Rodina. Była geniuszem. Geniusz jest, niestety, rodzaju męskiego.

Trzy razy Camille. Trzy razy Nikt.

Camillus — znaczy urodzony z wolnych rodziców.

## ROZDZIAŁ IX

### JACEK

Dzień w szpitalu zaczynał się przed szóstą mierzeniem temperatury. Potem można było jeszcze trochę podrzemać, z czego korzystały pani Kazia i Ela. Monika spała w pozycji półsiedzącej, więc nie wiadomo było, czy śpi, czy tylko leży z zamkniętymi oczyma.

Emilia wykorzystywała rano do przeglądania wiadomości na portalach internetowych. Wpisywała też posty do bloga, który prowadziła od dwóch lat, zamieszczając w nim czasem coś ze swojej „kontrolowanej prywatności”, czyli wizerunku wykreowanego dla czytelników.

Był to więc rodzaj fikcji literackiej, w której przemyślała czasem swoje myśli i przeżycia. Czytelnicy na ogół byli przekonani, że wszystko, co pisze, jest prawdą, nie brali pod uwagę tego, że choćby najintymniejszy dziennik jest kreacją i sam fakt pisania stwarza nową jakość, będącą z konieczności oszustwem, jak to nazywała Zadie Smith. Tyle że oszukiwało się przede wszystkim siebie samego.

Robiła też notatki w zeszycie z kolorowymi kartkami, zapisywała pomysły. Czasem, zaglądając do notatek, odkrywała,

że utrafiła w sedno, często jednak dopisywała inne słowa, jakby bardziej precyzyjne.

Emilia powtarzała sobie po cichu: — Nie jestem maszynką do pisania, tak samo jak wróbelkiem do ćwierkania. Nie produkuję książek tylko dlatego, że kolejny tytuł na pewno się sprzeda.

Traktowała siebie jak pisarkę solidnie wykonującą zawód, a nie spełniającą „dziejową misję”.

Mijał kolejny dzień jej pobytu w szpitalu. Tęskniła za swoim biurkiem i ciszą domu, za Tomaszem, który potrafił być, jakby go nie było. Przypomniała sobie o kolejnym liście od Edy. Na poprzedni nie odpisała. Ich korespondencja była nieregularna, być może dlatego, że Eda nie posługiwała się internetem, a być może dlatego, że na nieregularności polegał jej urok.

Tym razem Eda pisała:

*Emilio Kochana,*

*pisze do Ciebie ktoś na wskroś współczesny. Czy wiesz, że trzymam w ręku coś, co się nazywa telefonem komórkowym? Na razie tylko trzymam, oglądam, czasem nacisnę jakiś przycisk, ale z lękiem, bo nie wiem, co z niego wyskoczy Zlikwidowałam na prośbę syna telefon stacjonarny i kupiłam dwa mobilne, dla siebie i Bazylka. Przekonał mnie. Problem tylko na tym polega, że muszę się nauczyć dzwonić i odbierać, więc już od kilku dni się wzdragam i drzę.*



*Ciągle próbuję nie zgubić się, nie zatracić, by sprostać temu, co śmiertelnie proste. Ale też chcę, by mnie poniosło w boskie rejony, gdzie słowo w rzeczy samej jest. Nasycone.*

*Bo tutaj — tylko świat kudłaty jak Twój Tomasz, zielony i wietrzny. Bo tutaj tylko pragnienie to samo: być kochaną. Może lepiej tak w niespełnieniu, jak myślisz?*

*Najtrudniejsze są rzeczy zwyczajne: malowanie mieszkania, ustawienie lampy. W świecie pełnym produktów i ofert czuję się bezradna. Drobne zakupy pociągają za sobą mnóstwo decyzji. Czy można ciągle dawać krew? Powiedz.*

*Podaję szalone wysiłki, by być jak inni. Bo wykluczają i będę podwójnie wykluczona, przez siebie i przez nich. Życie jest dla tych z telefonami, komputerami, telewizorami, samochodami. Życie jest gdzie indziej, zawsze gdzie indziej. Może tam, gdzie nie zasłania się ciemnej strony księżycy i nie mamy nocą.*

*Emilio najdroższa, moje życie głodne i drżące. Nie daj się zimie. Powiedz ciepłe słowo, tak tęsknię za człowiekiem. Niech Cię Pan pochwyty, kiedy nie widzi Tomasz.*

*Eda Twoja*

Emilia uśmiechnęła się do ostatniego zdania. Już podczas czytania odpowiadała Edzie, pisała w głowie swój list, który był zawsze przeciwieństwem tego, co otrzymywała od Edy. Wychodziła naprzeciw jej oczekiwaniom, co nie znaczy, że była

nieszczera. Tyle tylko że nie chciała Edy obarczać swoimi problemami. Była przecież dzielną Emilią, potrafiącą sobie radzić z przeciwnościami losu, z wydawcami, z domem, z dziećmi, z zarabianiem pieniędzy, była Emilią, której się udaje. Wszystko. Wszystko, czego zapragnie i nie zapragnie.

Emilia wiedziała, że jest się takim, jak postrzegają cię ludzie, a nie takim, jak sądzisz o sobie sam. Tę prawdę zapamiętała jeszcze z czasów licealnych, kiedy przejęła się powieścią o granicy, której przekroczyć nie można, bo poza nią dzieje się krzywda drugiemu. Prawdę o sobie zatrzymywała dla siebie. Może jakąś jej część przeznaczała dla Tomasza, może dla dzieci. Dla Edy też jakąś część, tę pełną życzliwości i wrażliwości, tę, która pozwala współodczuwać.

Otworzyła laptop i napisała:

*Edo Kochana, w obłokach bujająca, w wiersze zagmatwana,*

*piszę do Ciebie z łoża boleści, hi, hi.*

*Nic złego się nie dzieje, tyle że oddałam się do przeglądu technicznego, co w moim wieku jest czynnością rutynową. Swoje auto też oddaję w wyznaczonym terminie, dzięki czemu śmiga i nie skrzeczy. Ja też nie zamierzam skrzeczeć, bo śmigać zamierzam, jak i porozrabiać jeszcze na tym świecie.*

*Będę tutaj kilka dni zaledwie, a potem powrócę do obowiązków.*

*Przedtem jednak wybiorę się w podróż, pojedę odwiedzić jedyne go syna. Pozwoliłam mu odlecieć, jak wiesz, bo te dzieci nasze takie już są, że byle podrosną, patrzą, by gołębnik opuścić, o własnych siłach fruwać. My też takie byliśmy, pamiętasz? Pamiętasz „tę naszą młodość z kości i krwi”, te skrzydła drągiem przetręcane? Te nogi podstawiane? Kopniaki wymierzane?*

*Chcę, Edo, nie czynić drugiemu, co mnie było niemiłe. Skrzywdzeni i poniżeni krzywdzą i poniżają, to prawda, ale skoro o tym wiem, to warto przerwać łańcuszek, co — mam nadzieję — już zrobiłam, choć na pewno nie do końca i nie w pełni świadomie. Tak więc, Edo, ruszam bryłę z posad świata. Nie zamierzam nosić pokutnych worków ani oczu zasłaniać na to, czego się boję, a co mnie dotyczy.*

*Wsiadam w samolot i frufrufrunę do Alana. Także Filipa, jego ojca, którego dawno nie widziałam, bo były we mnie żal, zawziętość, ból, wszystko to zwielokrotnione latami samotności, fałszywie pojmowanej dumy, ale nie wszystko stracone, Edo. Niech no tylko stąd wyjdę, a ucieknę w przestworza, wyląduję miękko i wtedy, mówię Ci, cały świat będzie mój, a Paryż w szczególności. Najwyższy czas wybaczyć sobie i innym.*

*Nadziei pełna, Emilia wierna,  
wierna Tobie, Edo, także*

Emilia wystukała list szybko, bez zastanowienia, jak w amoku, jakby się obawiała, że jeśli zwolni, to skasuje i list, i postanowienie podróży. Skopiowała dokument na pendrive'a, który zamierzała dać Tomaszowi, jak tylko przyjdzie, z prośbą, by wydrukował i natychmiast wysłał pocztą.

Postanowienie wyjazdu było w niej tak silne, że choć siedziała na szpitalnym łóżku, czuła już niepokój przed podróżą. Weszła do internetu i zaczęła sprawdzać połączenia z Paryżem. Już miała kliknąć i zarezerwować bilet, ale uświadomiła sobie, że nie powinna tego robić, dopóki nie wie, kiedy zostanie wypisana ze szpitala. Teraz czekała na wizytę lekarzy, by zapytać wprost. Próbowwała napisać mejla do Alana, ale kasowała każde zdanie, bo wydawało jej się fałszywe. W końcu napisała krótko: „Kochany Alanie, może jeszcze dziś po południu napiszę, kiedy do Ciebie przyjadę. Stęskniłam się. Kocham Cię. Mama”.

W ciągu pół godziny miała odpowiedź: „Mamuś, naprawdę? Co się stało? Już zaczynam sprzątać pokój na Twój przyjazd. Lovjam Cię. Alan”.

Odpisała: „Nie sprzątaj, chcę zobaczyć ten bałagan. A poza tym przyjadę na kilka dni i zaklepię sobie pokój w hotelu. Mama”.

Alan odpisał: „W jakim hotelu? Filip powiedział, że zwa-riowałaś. Alan”.

Odpisała szybko: „Powiedz tacie, to znaczy Filipowi, żeby nie był taki troskliwy. Over. Mama”.

Tego ostatniego mejla pożałowała tuż po wysłaniu. Był nie tyle złośliwy, ile zaczepny, a przecież nie po to miała zamiar pojechać, by siać niepokój, wręcz przeciwnie. No tak, ale z Filipem tak właśnie wyglądały wszystkie ostatnie lata. Tak, czyli zaczepnie. I co gorsza, te zaczepki pochodziły zawsze od niej. Każdy pretekst był dobry, by znaleźć miejsce do ukłucia, choć tyle lat minęło. Ciekawe, że nigdy nie miała żalu do Jacka. O nic. Może za to on miał do niej.

Jacek był zupełnie nieważny w jej życiu, choć przecież pamiętała go, wszystko pamiętała, bo nie zapomina się pierwszego mężczyzny dającego rozkosz, o jakiej nie śniła. Czasami zastanawiała się, czy poznałaby Filipa, gdyby wcześniej nie знаła Jacka. Już nieraz się przekonała, że wydarzenia w jej życiu się zazębiały, jedno nakładało się na drugie, z pozoru odległe, nie mające żadnej wspólnej płaszczyzny. To, co kiedyś wydawało jej się złe, po latach okazywało się dobre.

Nie wiedziała, jak to się dzieje, ale wszystkie przeżyte lata przypominały dziwną układankę, rodzaj puzzli, w których nie może brakować żadnego elementu. Co Jacek mógł mieć wspólnego z Filipem — rozmyślała nieraz i zawsze jej wychodziło, że nic. Nic a nic, powtarzała coraz bardziej niepewnie, jakby wierząc, że jeśli wniknie głębiej, to zrozumie. I teraz nagle zobaczyła to, czego nie potrafiła tak długo dostrzec: gdyby nie fizyczność, która połączyła ją z Jackiem, nie byłoby duchowości łączącej ją z Filipem. Może została ukarana za to

dzielenie, bo przecież marzyła o harmonii i pełni, a pocieszała się i zadowalała tym, że nie można mieć wszystkiego.

Wszyscy w teatrze byli świadkami, że unikała Jacka, jak mogła. Nikt nie wiedział dlaczego. Nikt prócz niej i Jacka. Codziennie jak na złość podsuwała scenariusze z jego udziałem. Im częściej je odrzucała, tym mocniej powracały, prawie obsesyjnie. Wyrzekała się Jacka, mając świadomość, że wystarczy jeden uśmiech, by do niej przybiegł. Im bardziej go odtrącała, tym bardziej się z nim wiązała. Analizowała siebie bez przerwy, jakby wierząc, że jest się niewolnikiem tylko tego, czego sobie nie uświadamiamy.

Nie dzieliła się z nikim przemyśleniami, nie miała koleżanki, której by mogła powierzyć swoje rozterki. Kiedyś Marta, aktorka o głosie jak dzwon i niebywalej sprawności fizycznej, powiedziała:

— Niepotrzebnie dzielisz włos na czworo, wrzuc na luz, kochana. Nie dajesz sobie wolności, chcesz być doskonała i perfekcyjna, a tylko się zapętlasz.

— Życie nie polega na przyjemnościach, Marto — Emilia próbowała się bronić — tylko na obowiązkach.

— Tylko obowiązki, wszędzie obowiązki, żadnej szczeliny? Nigdzie? Nigdy nie poszłaś za głosem serca? — dopytywała się Marta, która była najbardziej obowiązkową aktorką w teatrze.

I wtedy Emilię olśniło. Tak, na tym polegał jej problem: nigdy nie poszła za głosem serca, nigdy nie oszalała z miłości.

Nawet z namiętności. Zawsze była na uwięzi, najpierw ją trzymano na smyczy, a potem sama zakładała sobie smycz. Czy więc nigdy nie była dzieckiem? Beztroską nastolatką, ufną, że w razie niepowodzenia ktoś ją przytuli?

Babcia często powtarzała: — Oj, nie zdążyłaś być panną.

Potem niejednokrotnie żałowała, że nie zapytała, co to znaczy. Teraz, patrząc na Martę, wiedziała. Marta była odpowiedzialna, samodzielna, nie uciekała od matki w małżeństwo, dawała sobie czas, by być panną. Choć trochę młodsza od Emilii, znała życie z wielu stron. Także z tej niby samotnej, co oznaczało godziny, kiedy można być dla siebie.

Marta nie zabijała czasu ani telewizją, ani towarzystwem. Nikt jej nie więził, od nikogo nie była uzależniona, nikomu się nie poświęcała. W dodatku nie wyglądała na nieszczęśliwą. Czekala spokojnie, co dzień jej przyniesie, i wierzyła, że wszystko w swoim czasie. Nie traktowała mężczyzn jak zwierzyny łownej.

Nie prowadziły filozoficznych dysput, kiedy się spotykały. Przeskakiwały z tematu na temat, były radosne lub wściekłe, na pewno spontaniczne.

— Mamy całe trzy godziny i odebrałyśmy właśnie pensje, więc ta ulica, z wszystkimi sklepami i knajpkami, jest teraz nasza — zarządzała Marta.

— Masz nową kieckę na premierę?

— Nową? Nie mam nawet starej.

- Ja mam tylko starą, w takim razie kupimy nowe.  
I rzeczywiście kupiły. Każda była zachwycona swoją.
- W domu Emilia włożyła sukienkę do butów na wysokim obcasie i zaprezentowała się Romanowi i dziewczynkom.
- Mamusiu, wyglądasz jak prawdziwa królewna – powiedziała wtedy Gosia.
- Dorotka ze zdziwienia włożyła palec do buzi.
- Roman popatrzył, kazał jej się nawet obrócić w koło, a na koniec powiedział: – Zwariowałaś. Gdzie ty w niej pójdiesz, przecież to kiecka na eleganckie wieczory w teatrze.
- No właśnie, zapomniałaś, że pracuję w teatrze?
- Lepiej byś coś dzieciom kupiła – nie dawał za wygraną.
- Kupiłam.
- Dziewczynki od razu zaczęły pokazywać, co mama im kupiła.
- Tobie też kupiłam.
- Podala mu koszulę w kolorze łososiowym. Rozwinął, spojrział, skrzywił się.
- W takim kolorze pajacować nie będę.
- Próbowała go przekonywać.
- Gdzie ja pójdę w takiej koszuli?
- Ze mną, na premierę.
- O nie, to akurat sobie wybij z głowy. Nie bawią mnie twoje premiery.



Nie próbowała mu powiedzieć, że jest okrutny, ani zapytać dlaczego. Poczula się poniżona, okradziona z wszystkiego, co do tej pory budowała. Okradziona też z młodości. Samotna samotnością tak bezwzględną, że nawet szczebioczące obok dziewczynki nie łagodziły jej pojedynczości i nagości. Bo nagle poczuła się naga, ogołocona nawet z ubrań, obnażona na siłę, wbrew własnej woli i wystawiona na publiczny widok, jak czarownica.

Któregoś dnia, w teatrze, już miała przekręcić klucz w drzwiach pomieszczenia z dekoracjami, gdy nagle obok stanął Jacek, pchnął drzwi i zamknął je z drugiej strony. Stała jak zaczarowana. Był upalny czerwiec, niewiele mieli ubrań do zrzucenia. Nie oparła się niespodziewanemu, dziękmu seksowi w starych dekoracjach. Zamknęła oczy i wchłonęła go tak pożądliwie, jakby na tę chwilę czekała całe życie. Rozkosz spłynęła na nią szybciej niż na Jacka.

Kiedy odważyła się otworzyć oczy, zobaczyła, że leży na dużym spadochronie, rekwizycie w *Małym Księżciu*, a nad nią zwisają suknie z *Kopciuszka*. Dekoracje i kostiumy były prawdziwe, ona mniej, bo nie poznawała siebie. Zrobiła właśnie coś, o co by siebie nie podejrzewała. Zdradziła męża. Cóż z tego, że jej nie chciał, nie pożywał i już nie kochał, czego była coraz bardziej pewna. Może nigdy jej nie kochał, a ożenił się, by pokazać byleż dziewczynie, a także wszystkim, którzy ich znali, że

w ciągu kilku miesięcy potrafi znaleźć inną, rozkochać ją w sobie i doprowadzić do ołtarza.

Nie chciała tak myśleć, ale myślała. Szczególnie intensywnie, gdy leżała w starych dekoracjach, a obok niej Jacek szeptał najczulsze słówka, jakich nigdy nie słyszała od męża: — Jesteś wspaniała, jesteś boska, jaki w tobie żar, jaka dzikość. — Wtedy nie wiedziała, że szuka usprawiedliwienia dla swojej wiarygodności.

— Co ja zrobiłam, Jacku — jęknęła.

— Nic złego, przecież chciałaś, nie bój się, zadbałem o nas, zabezpieczyłem się.

Ona mówiła o wyrzutach sumienia, on o technice, on myślał o zdobyczy, ona o miłości, która byłaby łaską, zawsze się rozmijali, choć to „zawsze” trwało tylko trzy miesiące.

— Nikogo nie krzywdzimy — pocieszał ją, jak niewierną żonę, która z ochotą zdradziła, a teraz marudzi, że nie wie, jak sobie i innym w oczy spojrzy.

— Krzywdzimy siebie, Jacku.

— Nie masz racji, to był bardzo udany seks, a będzie jeszcze lepszy, jeśli będziemy mieli więcej czasu i się poznamy. Czy myślisz, że taki seks często się zdarza? Szczęściarze z nas, więc cieszymy się tym, co sobie dajemy.

Emilia milczała. Wołała słuchać.

Jacek planował już następne spotkania, ubierając się i przeglądając w skrawku zmatowiałego lustra, zawieszonym pomiędzy halabardą a stertą kapeluszy. Czuł się jak zdobywca,

otrząpywał niewidoczne piórka, gotów wracać do pracy w swojej pracowni.

– Wyjdę pierwszy – powiedział – a ty odczekaj, dobrze?

Poruszyła głową, co było bardziej gestem niedowierzania, że tak można i takie to proste, niż zgodnym przytaknięciem.

– Przyjdę do twojego gabinetu za pół godziny, porozmawiamy. Uśmiechnij się. Jest dobrze, będzie lepiej.

Pożałowała, że prysznic są w drugim końcu, przy garderobach. Wydawało jej się, że każdy, kto ją teraz zobaczy, będzie wiedział, co robiła. Poczuli się nie tyle zła na siebie, ile bardzo rozbita. Najchętniej przedostałaby się do postoju taksówek podziemnymi korytarzami, gdyby takie były.

Kiedy przechodziła koło księgowości, skuliła się, wyciszyła kroki, wyobrażając sobie, że żona Jacka siedzi tam za biurkiem i mozoli się nad fakturami, nieświadoma, co jej mąż wyczyniał zaledwie pół godziny temu. Weszła do swojego pokoju, zgarnęła leżące na biurku maszynopisy i wyszła z podniesioną głową, głośno stukając obcasami przed portiernią.

Wróciła do domu wcześniej, więc mogła od razu wziąć kąpiel, zanim jeszcze domowe życie zaczęło się toczyć zwykłym trybem. Spojrzała w lustro, jakby chciała zobaczyć, co się w niej zmieniło po zdradzie. Pamiętała, że tym samym ciekawskim wzrokiem oceniała siebie po pierwszej bliskości z Romanem.

Wtedy, przed laty, nie widziała w sobie zmian. Teraz zauważyła uśmiech, błakający się w kąciку ust. Uśmiech ni to zadowolenia, ni to nagany, a może uśmiech sytości kotki na gorącym blaszanym dachu.

Przygotowała surówkę do obiadu, obrała ziemniaki, wyjęła z lodówki gotową do podgrzania pieczeń. Poczekala, aż Gosia przyjdzie ze szkoły, i dopiero wtedy poszła odebrać Dorotkę z przedszkola. Zjadła z dziewczynkami obiad, a potem poszła z nimi na plac zabaw. Pamięta te rutynowe czynności, bo pomyślała wtedy, że choć świat jej się przewrócił do góry nogami, to wszystko inne biegnie własnym torem i nikt nie wie o tym przewrocie. Nikt prócz niej i Jacka.

W ciągu następnych dni, które spędziła w domu, Jacek telefonował kilkakrotnie. Zawsze z konkretną propozycją spotkania, którą odrzucała, tłumacząc się i podając fałszywy powód. Potem karciła siebie za te usprawiedliwienia, powinna była odmawiać zdecydowanie, bez podawania przyczyn. Odmowami raniła samcze ego Jacka i podsycala jego bojowość. Nie robiła tego z premedytacją. Raczej z naiwnością kobiety nie wierzącej w swoje możliwości. Także ze strachu. Jeszcze nie pogodziła się z tym pierwszym razem i miałyby nastąpić kolejne?

Nastąpił.

Kolejny i kolejny.

Jacek podjechał pod jej dom, zadzwonił z budki telefonicznej obok i powiedział, zupełnie jak w filmach sensacyjnych:

— Wyjrzyj przez okno i zobacz, gdzie jestem. Jeśli nie zejdziesz, to ja wejdę do ciebie.

Przeraziła ją ta desperacja, ale też jej się spodobała. Wiedział, że w godzinach przedpołudniowych Emilia powinna być w domu sama, wiedział, że mogłaby wykraść dwie godziny dla nich.

— Daj mi piętnaście minut — poprosiła.

Działała jak w transie. Szybki prysznic, delikatny makijaż, sukienka na ramiączkach, sandaalki na płaskim obcasie. Już była przy drzwiach, ale wróciła, by skropić skroń i wewnętrzne strony nadgarstków wodą toaletową Venice, której wtedy używała na specjalne okazje. Widać uznała, że ta była specjalna. Kiedy zjeżdżała windą, pomyślała, że jest uległa i potulna, bo w wyszeptanym „daj mi piętnaście minut” więcej było prośby niż informacji.

Kiedy usiadła obok Jacka w samochodzie poczuła, że Jacek drży i jest gotów zabrać ją w najwyższe rejony nowych dla niej uniesień. Po dziesięciu minutach dojechali do przedwojennej kamienicy z marmurową klatką schodową. Drzwi windy Jacek otworzył dużym kluczem. Nie czekał, aż z niej wyjdą. Całował jej ramiona, szyję i prawą pierś.

Na korytarzu, przed drzwiami z mosiężnymi okuciami, jedną ręką otwierał zamek, a drugą szukał wilgotności Emilii w kusych majteczkach, sięgających jednej trzeciej bioder. Z mrocznego przedpokoju szybko przeszli do jasnego salonu.

Nie miała odwagi rozpiąć mu spodni, choć próbował jej rękę nakierować w miejsce błyskawicznego zamka i guzika.

— Tęskniłem — szeptał — śniłem o tobie, wszędzie czułem twój zapach.

Stał przed nią nagi, kipiący pożądaniem, wysoki, silny.

— Zdejmij sukienkę — powiedział.

— Lepiej ty to zrób.

— Nie, ja popatrzę.

Rozpięła zamek na boku, zsunęła ramiączka. Sukienka ześlizgnęła się po biodrach. Wyszła poza jej krąg i stanęła przed Jackiem prawie naga, w koronkowym bladobłękitnym. biustonoszu i takich samych majteczkach.

— Wszystko — powiedział rozkazująco.

— Lepiej ty — szepnęła.

Usiadł na masywnym dębowym krześle i posadził ją na sobie.

Złapała oddech i wbiła mu palce w ramiona. Podtrzymywał jej biodra i unosił w górę, powoli, dokładnie, już spokojniejszy, jakby pewny, że nie musi się śpieszyć, bo może być z Emilią tak długo, by następnym razem zgodziła się na wszystko, gdy tylko usłyszy jego głos w słuchawce.

— Proszę, ty też się nie śpiesz, Emi, wchłoń mnie, całego.

Jeszcze nie potrafiła smakować chwil, potem ją tego nauczył. Ale już wtedy szepnęła: — Jeszcze — jakby z obawy, że

zbyt szybko przestaną się dotykać i czuć. Leżała przytulona do Jacka, na szerokiej skórzanej kanapie. Patrzyła na sufit ze stiukami, na dach sąsiedniej kamienicy, na gołębie siadające na parapecie wysokiego okna. Kochali się w mieszkaniu pamiętającym przedwojenne czasy, zadbanym, bogato wyposażonym nie tylko w meble, z przełomu wieków, ale także w bogatą bibliotekę i obrazy na ścianach. Jacek opowiadał o żonie, o tym, że go nie rozumie, nie docenia, jest wymagająca i pazerna na pieniądze. Jest z nią, bo mają dzieci, a dzieci kocha. Poza tym żona ma zgrabne nogi i to jedyny szczegół, który go jeszcze w niej podnieca.

— Nie kochasz jej? — zapytała wprost.

Speszył się. Nie wiedział, co odpowiedzieć, jakby słowa „żona” i „kochać” były nierozzerwalne, bez względu na prawdziwe odczucia.

— O tym nie rozmawiamy.

— Ona też?

— Ona mówi, że kocha, ale stawia ciągle nowe warunki do spełnienia i wiecznie jest niezadowolona.

— W łóżku też?

— Nie, w łóżku jest zadowolona, przynajmniej tak mówi, tylko ja mniej, bo nie ma w niej takiego żaru jak w tobie... — Speszył się po raz drugi, nie mając pewności, czy nie zabrnął za daleko w zwierzeniach.

Nie zranił jej szczerością, tyle że kiedy opowiadał, była już gdzie indziej. W windzie, na ulicy, w domu, z dziewczynkami,

którym czytała książkę na dobranoc.

— Mam nadzieję, że to nie twoje mieszkanie — powiedziała, podnosząc się nagle i szybko ubierając, jakby za chwilę miał ktoś wejść i przyłapać ich na zdradzie.

— Nie.

Przez trzy następne miesiące spotykała się z Jackiem co najmniej raz w tygodniu. Rezerwowali dla siebie godzinę albo dwie, z których Jacek zawsze uszczknął pół na wtajemniczenie jej w to, jaka jest jego żona, jak się zachowuje i czego wymaga. Wiedziała nawet, kiedy żona ma okres, a kiedy obstrukcję.

Potem przyłapała się na myślach, że po seksie ma ochotę tylko na to, by się umyć i wyjść. Nie słuchać ani jednej historii, choćby nawet dotyczyła spotkania w McDonaldzie z Chrystusem, zamawiającym zestaw promocyjny.

W domu przeżywała katusze, szczególnie w nocy. Zasypiała dosyć szybko, ale budziła się po dwóch godzinach i przewracała na łóżku, próbując różnych sposobów na zaśnięcie. Wyobrażała sobie zielone i falujące płaszczyzny, włączała taśmę z pluskającym strumykiem, liczyła barany przełazące przez dziurę w płocie. Czasem wybudzał ją sen, w którym po latach wychodziła na jaw popełniona przez nią zbrodnia. Śniła, że to niemożliwe i że to tylko sen, a jednak sen okazywał się okrutną jawą.



Wtedy wstawała, wkładała na stopy ciepłe skarpetki, zaparzała melisę i czytała w świetle kuchennej lampy. Po dwóch godzinach wracała do łóżka, nawet szybko udawało jej się zasnąć i może odespałaby swoje, ale nastawiony na szóstą budzik nie znał litości.

Po kolejnej randce z Jackiem, którą uznała za ostatnią, choć jeszcze mu tego nie powiedziała, wróciła do domu i wieczorem, kiedy dziewczynki już zasnęły, a Roman oglądał telewizję, zapytała: — Czy ty mnie kochasz?

Roman odpowiedział bez chwili zastanowienia, nie odrywając oczu od ekranu: — Nie.

— Nie? — zdziwiła się, jakby jednak czegoś innego oczekiwała.

— Nie — powtórzył. — Nie Kocham cię.

— W takim razie dlaczego ze mną jesteś?

— Nie jestem.

— Az kim jesteś?

— To cię nie powinno interesować.

— Dlaczego w takim razie się nie rozwiedziemy? — zapytała cichutko.

— Nie zaproponowałem ci tego z obawy, że się nie zgodzisz i będziesz robić cyrk, a twoja matka zacznie pomstować.

— W takim razie ja ci proponuję, a mojej matce możesz skłamać, że to tylko i wyłącznie moja wina.

Dopiero po wielu latach spostrzegła, że stawiała siebie w roli ofiary, obarczała całą winą. Wtedy nie wiedziała, dlaczego

tak się zachowuje, z upływem lat docierało do niej, że to nie tylko skromność, ale przede wszystkim brak poczucia własnej wartości kazał jej zawsze pochylać głowę.

— Naprawdę? — powiedział wtedy Roman. — To zmienia postać rzeczy. To znaczy, że masz kogoś.

— Nie mam — skłamała, choć gdyby była odważniejsza, powinna się przyznać i uściślić, że już nie ma. — Rozwód będzie jednak bez orzekania o winie — powiedziała chłodno — ty się o to postarasz. I tak to musisz zorganizować, by dziewczynki jak najmniej ucierpiały i by nie były przesłuchiwane przez kuratora.

Roman ożywił się i zacierał ręce z emocji, jakby już układał scenariusz, a potem reżyserował autorski spektakl. Emilia nie spała całą noc. Nie płakała. Patrzyła w nierówny sufit, bez stiuków, z pajęczyną w jednym rogu. Leżała nieruchomo, jak marionetka odłożona do kufra po spektaklu. Jeszcze niedawno zdolna była do wykonania każdego gestu, uruchamiana przez wszystkie możliwe linki i sznurki. A teraz czuła, że nie ma nikogo, kto by ją ożywił.

Przez wiele lat Roman zamykał przed nią drzwi.

Przez trzy miesiące Jacek otwierał przed nią niebo. Myślała, że siódme.

Kiedy pokochała Filipa, zrozumiała, że niebo prócz różnych poziomów wysokości ma także wiele ciekawych płaszczyzn, nie tylko erotycznych.

Z SZUFLADY EMILII (9)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

## NA POCZEKANIU, NATYCHMIAST, NARESZCIE I GDZIE INDZIEJ

Zawsze chciałam prowadzić życie według autorów, których czytałam. De Gaulle w ten sam sposób chciał prowadzić wojny. Ale życie to też zmaganie, „bojowanie – byt nasz podniebny”. Chciałam przeżywać życie tak, jakby się je opisywało, a nie na odwrót. Chciałam żyć i umierać przed lustrem. Teatr i literatura stały się więc moją pasją.

Kiedy przeczytałam *Życie na oczekaniu* Wisławy Szymborskiej, odwieczny topos życie-teatr przemówił do mnie inaczej. Jestem skazana na egzystencję i „zaszczyt życia”. To prawda. Czuję przepaść między tym, co zostało ustanowione, a marnością własnej natury. Prawda. Zdaję sobie sprawę z absurdalności sytuacji i granej przez siebie roli, a jednak mam świadomość, że tym lepiej ją zagram, im lepiej ten absurd zrozumieć. Stojąc twarzą w twarz z życiem, wiem, że każdy dzień jest premierą i „cokolwiek uczynię, zamieni się na zawsze w to, co uczyniłam”. Prawda.

Czuję, że życie nie jest „pobieżnym egzaminem”, który zdaję w prowizorycznym pomieszczeniu. Dekoracje, rekwizyty są prawdziwe, niczego nie udają. Idąc tropem tej konkretyzacji, zaczynam przypuszczać, że nie ma innego życia poza teatrem,

czyli moim obecnym, ziemskim życiem. I wpadam w przerażenie. „Narzucone mi tempo akcji znoszę z trudem” i nie mam czasu, by „odchrząknąć za kulisami”.

Czuję, że mój zagoniony świat staje się koszmarnym snem, zaludnionym przez zjawy anielskie i monstra, jak na wielkich obrazach Boscha. Wchodzę jednak na swoją scenę, choć „potykam się co krok o nieznaną rzecz”, a moje instynkty się buntują, „przybierając formę amatorszczyzny”. Oczywiście ulegam urokowi tajemnicy, bo wolę to, co niepojęte i nieskończone.

Nie zaufam jednak „chemicznej litości”, nie chcę jej być wdzięczna „za cztery łapy spadania”. Nie o to chodzi, że deklaruję swoją odwagę w życiu („kto powiedział, że życie musi być odważnie przeżyte”), ale o to, by mieć świadomość własnych ograniczeń i możliwości, zdawać sobie sprawę z „żałosnych skutków nagłości”, „płaszcza w biegu zapinanego”, z improwizacji, którą się brzydzę, z „okoliczności łagodzących, które odczuwam jako okrutne”.

Mieć świadomość. Wiedzieć. Akceptować.

Wierzyć, że moje życie, moja rola (role) jest nadzieją — kruchą i ostrożną, ludzką i ciepłą, pozwalającą tragizm życia oswoić przez własny, świadomy wybór.

Żeby się z tym wszystkim, o czym mowa w *Życiu na poczekaniu*, uporać, musiałam napisać powieść. Opowiada o trudnej miłości Moniki i Marka, ale bardziej chyba o teatralizowaniu własnego życia, o poznawaniu poprzez tę teatralizację siebie i o cenie, którą trzeba zapłacić za chwilę jasności.

Dzisiaj potrafię się już zatrzymać. Stanąć nagle w środku miasta, w kuchni, przed obrazem, przed wierszem. Trwać tylko w tym. Słyszeć swój środek. Nie zmagać się ze swoim demonym teatru, ze swoim „teatrem codziennego życia”. Chcę, aby moje życie było interesującą sztuką, jak w wierszu Anne Sexton. Dlatego brnę dalej, choć czasami słyszę gwizdy.

## ROZDZIAŁ X

### SZPITAL

Emilia wyrzała na korytarz i zobaczyła Małgorzatę.

– Mamuś, widzę, że tu wesoło i koncerty na żywo – powiedziała Małgorzata, zdejmując ciemne okulary i ściskając Emilię.

Tomasz stał z boku, jakby się wahał, czy wyjść, czy zostać.

– Wrócimy razem, poczekaj – powiedziała Małgorzata, widząc jego niezdecydowanie.

– Gosiu, nie dzwoniłaś, myślałam, że dopiero jutro wrócisz do domu.

– To niespodziewanka, mamuś, udało nam się wcześniej skończyć nagranie, więc najpierw wpadłam do ciebie, potem jadę do domu, mam zamiar się wyspać na zapas, wieczorem spektakl w teatrze i wracam znów na plan.

– Oj, Jezusie Nazareński, o Najświętsza Panienko – zawodziła Kazia – toż to nasza Sara wspaniała, najprawdziwsza, co za szczęście nas spotkało, ludziska kochane, popatrzcie tylko, kto do nas zawitał, a choroby wam miną.

– Pani Kaziu, niech pani tak nie wrzeszczy – zganiała ją Ela.

– Gosiu, kochanie, musimy stąd wyjść, bo inaczej nie porozmawiamy.

– Może ktoś za panią szedł i zdjęcie zrobił, a jutro będzie artykuł, że nasza Sara w szpitalu, to się dopiero naród ucieszy.

– Pani Kaziu, niech pani przestanie, to jeszcze nie pora na pani wieczorną głupawkę.

– Widzisz, mamuś, jaką masz wspaniałą córeczkę... – szepnęła Gosia i pogłaskała się po głowie, tak samo jak w dzieciństwie, kiedy jej się coś udało.

Emilia uśmiechnęła się, bo ten gest był ich rodzinnym szyfrem, przywołującym dobre wspomnienia, przypomnieniem, że bez względu na wiek oczekuje się pieszczot, wsparcia i uznania.

Gosia przycupnęła na skraju łóżka. Zawsze tak siadała, na brzegu krzesła, fotela, kanapy. Jakby na trochę, jakby była w biegu. Tak by w każdej chwili móc się przesiąść. Jej życie wyglądało podobnie. Niby miała dom i męża, choć zaklinała się, że nigdy za mąż nie wyjdzie, a jednak dom był taki, by mogła go zwinąć jak namiot i zapakować na dach samochodu.

Dom Małgorzaty był minimalistyczny, jak określała to Emilia. Sterylnie, jak najmniej sprzętów, nic na wierzchu. W szafie tylko rzeczy na bieżący sezon, żadnych starych gazet, puste ściany, przestrzeń – tylko to było ważne.

Kiedy była dziewczynką, też ciągle coś wyrzucała. Nie przechowywała listów, starych zeszytów, podręczników. Kupowała rzeczy tylko w najlepszym gatunku, nosiła je aż do znudzenia i potem wynosiła na śmietnik.

Z przyjaciółmi spotykała się w kawiarni lub w restauracji. Albo na bankietach. Jeśli urządzała przyjęcie, zapraszała do restauracji. Potem wracała do siebie, do ciszy, porządku. Żyła w samochodzie, hotelu, na planie filmu, w teatrze.

Małgorzata uważała, że w rodzinie ona była tą mądrą, podczas gdy Dorota śliczną. Emilia, jako matka, nie zgadzała się z tym podziałem, ale córki wiedziały lepiej. Żartowały z tego, obdarzając się ksywami „Śliczna” i „Mądra”.

– Idę do Ślicznej – mówiła Gosia.

– Co tam słyhać u Mądrej? – dopytywała się Dorota.

Mądra i Śliczna żyły w siostrzanej komitywie, czyli kłóciły się przeciętnie raz w miesiącu, potem każda relacjonowała Emilii przebieg kłótni, obiecywały, że tym razem to już się miarka przebrała, ale godziły się natychmiast, gdy któraś z nich miała sprawę do obgadania. Ich sprawy były tak różne, że jedna słuchała drugiej, jakby tamta przybyła z innej planety.

Udzielały sobie rad i często były to rady potrzebne, mimo że Dorota spędzała dzień z Wojtusiem, wsłuchując się w jego piaskownicowe problemy, a Małgorzata w tak zwanym wielkim



świecie, który Dorota знаła tylko z opowieści siostry lub plotkarskich portali.

Oczkiem w głowie ich obu był Alan, młodszy brat, którego uwielbiały i wychowywały na odległość. Dlatego tak trudno było im zrozumieć matkę, która mogła sobie pozwolić na to, by pojechać do Alana, zobaczyć, jak żyje w Paryżu, z kim się przyjaźni i co myśli, a jednak do tej pory tego nie zrobiła z sobie tylko wiadomych powodów.

Oczywiście jako dorosłe kobiety, wtajemniczone od zawsze w specyfikę rodziny, wiedziały, skąd się biorą fobie matki, jak to nazywały. Ich źródeł upatrywały w nieuświadomionej nietolerancji. Nieraz wytykały Emilii, że jest zakamuflowaną homofobką.

Na takie dictum Emilia zawsze w podobny sposób parskała śmiechem. Przy nadarzającej się okazji Małgorzata odgrywała ten śmiech, co było niby śmieszne, ale dla Emilii zawsze smutne, bo absolutnie nie chciała w odgrywanej osobie dostrzec siebie. Jej zdaniem była inna, zupełnie inna, jak z rękawa trzepała przykładami tej inności i rzekomo tolerancyjnej postawy wobec osób homoseksualnych, biseksualnych i transseksualnych.

— Jak ty siebie nie znasz, mamuś! — wykrzykiwały jedna przez drugą. — Koniecznie zobacz raz jeszcze *American Beauty* i przemysł, mama, przemysł. Jest w tobie drzazga, ale to nie znaczy, że musisz ją obnosić przed wszystkimi. Przecież Alan

jest naszym ukochanym, bez względu na to, czy jego ojciec był twoim ukochanym i czy ty byłaś jego ukochaną.

Córki bywały bezwzględne. Potrafiły to okazać z wdziękiem.

— Gady na własnej piersi wychowałam — żartowała wtedy, a one posyłały jej całusy i mówiły: Kocham cię, mamó, Kocham cię, mamó.

Asertywne córeczki, asertywne aż do bólu. Aż do łez. Bo nieraz Emilia uśmiechała się do nich, a potem w kącie odpłakiwała swoje.

Mam za swoje — myślała — nauczyłam je mówić prawdę i tylko prawdę. Nauczyłam rozmawiać, wyjaśniać, mówić, co boli.

Tyle że sama zachowywała się tak, jakby była z kamienia, jakby ją nigdy i nic nie bolało. Dzielna Emilia, wytrzymała Emilia, Emilia opoka, która chciała być tajemnicza jak kamienny krąg w Stonehenge.

Siedziały obie na łózkach, Mądra i Emilia. Tomasz siedział obok, na krześle. Do sali ciągle ktoś zaglądał, bo pani Kazia zaczęła działać na szpitalnym korytarzu jak najsprawniejsze *public relations*. Emilia zdążyła w skrócie zrelacjonować swój pobyt w szpitalu, nadając wszystkiemu ton nic nie znaczącej przygody, która ją niespodziewanie spotkała, a ponieważ w życiu wszystko jest po coś, więc zapewne i to wydarzenie ma swój głębszy, prawie filozoficzny sens, daleki od szpitalnego banału.

Do sali majestatycznie wkroczyła pielęgniarka, ciągnąc za sobą lampę bakteriobójczą. Ustawiła ją na środku, po czym tonem oficjalnym i nie znoszącym sprzeciwu obwieściła, że wszyscy muszą wyjść na korytarz, bo zaraz nastąpi włączenie lampy i zabijanie bakterii.

Na korytarzu pacjenci oblegli Małgorzatę. Podsuwali jej do podpisania pomięte karteczki, ale wyciągnęła z torby swoje fotosy, już podpisane, i wręczała każdemu, uśmiechając się szeroko i pokazując w uśmiechu równiutkie i kształtne zęby, wybielone w gabinecie dentystycznym za niemałe pieniądze.

Emilia była dumna z córki, ale patrzyła na to medialne zamieszanie z dystansem, trochę zdziwieniem, trochę niedowierzaniem, jakby z obawą, że co szybko przychodzi, to jeszcze szybciej ucieka i gaśnie. Dlatego utwierdzała ją w tym, by nie rezygnowała z ambitniejszego repertuaru teatralnego, co dawało szansę na bycie w wielu przestrzeniach i niewiązanie się z rolą, przynoszącą chwilową popularność.

— Oj, mamuś, widzę, że tu nie pozwolą ci chorować — westchnęła Małgosia.

— Ani pogadać, córeczko. Mówiłam ci, żebyś tutaj nie przychodziła.

— Aha, mamuś, koniecznie mam cię uściskać od pani Bogumiły, spotkałam się z nią na planie, kręciła z nami kilka scen, i mam ci też powiedzieć, że dostała rolę w reklamie.

— Pampersów?

– Nie bądź taka złośliwa.  
– Nie jestem, Bogumiła marzyła o takiej reklamie.  
– To może dlatego nie była zachwycona propozycją reklamowania przyrzędu do gimnastyki, mówiła, że to marne zadanie aktorskie, ale wystąpi w legginsach, co daje możliwość pokazania zgrabnych nóg. Pamiętasz ten jej występ w *Kordianie*, w kostiumie odsłaniającym nogi w całej okazałości, aż młode jej zazdrościły.

Emilia przytaknęła. Oczywiście pamiętała tę rolę Bogumiły, tę i wiele innych, bo Bogumiła była „chodzącą historią” i żyła radośnie tylko wtedy, kiedy grała. Była artystką z urodzenia, pasji, kości i krwi, pracującą w przeszłości u boku legend polskiego teatru.

Namawiała Bogumiłę do spisania wspomnień, na co ta zawsze machała ręką, twierdząc, że akurat tutaj nie pójdzie modnym szlakiem, choć mogłaby niejedno o swojej młodości opowiedzieć.

– Nie byłoby to ciekawe, ani trochę, ludzie nie lubią słuchać o szczęśliwym życiu, wolą tragedie, a ja żyłam bardzo szczęśliwie, mimo dramatów. Bo najważniejsze, jak z tymi dramataми człowiek sobie radzi. Rzecz w tym, by ich nie rozpamiętywać, tylko je oswajać.

Odetchnęła, kiedy pożegnała Małgorzatę i Tomasza, przymknęła drzwi sali, usiadła wygodnie na łóżku, poprosiła Kazię, by o nic nie pytała. Kazia patrzyła na Emilię nabożnie, z czcią,

jakby nagle zrozumiała, po co przyszła do szpitala. Może modliła się, dziękując Bogu za spotkanie ludzi ze świata oglądanego w telewizji, będącego dla niej szczytem marzeń o luksusie.

Emilia czuła na sobie wzrok pani Kazi, ale nie reagowała, przymknęła nawet oczy, głowę oparła o wysoko ułożone poduszki, oddychała spokojnie, jakby chcąc poukładać w sobie tę niespodziewaną wizytę córki i wywołane tym zamieszanie. Małgorzata była jeszcze na etapie cieszenia się popularnością. Jeszcze nie doświadczyła zniewag, pomówień, bezinteresownego wbijania szpilek.

Przypomniała sobie o liście, który dał jej Tomasz. Pisany był ręką Olgi, długopisem, pamiętała ten charakter pisma sprzed trzydziestu lat, kiedy to dzieliły się na studiach notatkami robionymi przez kalkę maszynową, czarną lub fioletową. Szykując się do przeprowadzki, Alan znalazł kopiowane zapiski i nie mógł pojąć, dlaczego ich nie kserowała. Słuchał opowieści matki ze zdziwieniem, jakby swoją młodość spędzała w jaskini.

Emilia uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie zdziwione oczy Alana, kiedy zobaczył kopiowane notatki. Potem nakryła go, jak zabawiał się fioletową kalką, próbując coś napisać. Była już wyschnięta, ledwo co odbijała, więc Emilia zdradziła mu, jak można ją domowym sposobem odświeżyć.

Olga tym razem pisała:

*Droga Emi,*

*jestem zmartwiona, nie odpowiedziałaś na mój list. A może odpowiedziałaś, a ja nie wiem, bo coś, co nazywa się dyskiem, diabli wzięli i wzięli też coś, co nazywa się procesorem, więc mąż powiedział, abym się ugryzła w wiadome miejsce i że tak to ze mną jest, czego się chwycę, to przepada. Kupił sobie nowy laptop, na szczęście dokumenty miał przeegrane na coś, co nie wiem jak się nazywa.*

*No mówię Ci, dopiero co się nauczyłam obsługiwać tę maszynkę, a już mi została odebrana, bo do nowej nie mam dostępu. Dlatego piszę do Ciebie tradycyjnie, z nadzieją, że się na mnie nie gniewasz, może przesadziłam, może za bardzo się wtrąciłam, ale przecież jestem Twoją przyjaciółką i chciałam Tobą potrząsnąć, byś zobaczyła, że tak nie wolno się uzależniać od mężczyzny i w dodatku pozwolić mu, aby zajmował się hippisowaniem.*

*Chciałam też powiedzieć, że ważne są granice kobiecego wyzwolenia, bo jak za bardzo się wyzwolimy, to weźmiemy sobie na plecy nie tylko te obowiązki, które z racji przynależenia do wiadomej płci mamy, ale także zaczniemy przejmować inne, nie należące do nas.*

*Przyznasz, że mam rację. Piszę o tym poirytowana, nie na Ciebie, kochana, tylko na męża, no bo jak on tak może, najpierw mi pozwolił korzystać z laptopa, a teraz zakazuje, a ja tyle energii zużyłam, by się nauczyć nowego. I co ja mam*

*teraz zrobić? Gdybym była młodsza, tobym poudawała ból głowy, sprawdzony babski specyfik na krnąbrność męża, ale teraz to jego częściej boli głowa niż mnie. I tak to jest z chłopami, kochana, więc wspierajmy się wzajemnie,*

*Twoja Olga*

Emilia tym razem natychmiast odpisała:

*Kochana Przyjaciółko,*

*pytasz, co masz robić? Jak to co? Kupić sobie nowy laptop, który byłby Twój i tylko Twój. Umiesz liczyć, licz na siebie. I najlepiej kup za własne zarobione pieniądze, aby mąż Ci niczego nie wypominał, ale Ty masz dobrego męża, wiem o tym. Tylko nie pytaj mnie, jaki laptop kupić, bo taka mądra nie jestem. Nie możesz pójść do sklepu i powiedzieć: proszę laptop, bo sprzedadzą Ci najdroższy, a nie najlepszy. Ja mam ten problem z głowy, bo Tomasz to mój komputerowy guru i on wszystko wie.*

*Jeśli chodzi o Tomasza, wierz mi, mam go za co kochać, a w sprawach finansowych się dogadujemy jak hippis nastawiony harmonijnie i jednocześnie minimalistycznie do świata z kobietą, w której harmonii może mniej, ale jest pasja, bo znalazła coś, co nie stanowi dla niej harówki, tylko pracę, podczas której nie liczy się godzin do jej zakończenia.*

*Nie musisz się więc martwić o to, że ktoś mnie skubie i wykorzystuje, bo takie podteksty wyczułam w Twoim liście.*

*Skądinąd lubię siebie trochę oskubana, a nawet z dziką satysfakcją nadstawiam się do skubania, jakkolwiek frywolnie to mogłoby zabrzmieć.*

*Mówię Ci, Olgo, świat nie polega tylko na dodawaniu i oddawaniu, rozejrzyj się wkoło, oprócz cyfr są pejzaże, nawet dzieła sztuki, są ludzie z ciekawymi biografiami, a z drzew spadają kasztany, zauważyłaś? Dostałam właśnie kilka takich świeżych od Tomasza. Ich wyluskane brzuszki są gładkie jak brzusek konika, którego głaskałam u babci, kiedy jeździłam do niej na wakacje.*

*Dziękuję Ci, że ze mną jesteś od tylu lat, wiernie, obok, i że akceptujesz mnie, choć nie do końca rozumiesz. Ale kto kogo może zrozumieć do końca? Takiej opcji nie ma nawet w niebie, prawda?*

*Ściskam Cię, Emilia*

Wprawdzie przegrała ten list na pendrive'a i pomyślała, że odda go Tomaszowi, by wydrukował i wysłał, ale miała nadzieję, że jutro jednak wyjdzie z kliniki do domu, bo przeszła już wszystkie badania, trzeba było jedynie ustalić terminy światłoterapii. Mogła wypytać lekarzy o zamiary i plany względem niej, może by wiedziała na pewno, co jutro ją czeka. Odwiedziły Małgorzaty i Tomasza, całe to towarzysko-szpitalne życie spowodowało, że nie dopilnowała swego.



Z SZUFLADY EMILII (10)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

SAINT MARILYN MONROE  
W DWUNASTU ODSŁONACH  
LUB STACJACH. JAK KTO WOLI

### 1. Marilyn Monroe Odtrącona

Wtedy nazywała się Norma Jean Baker. Jej matką była Gladys Baker. Kto był ojcem, nie wiadomo. Matka oddała ją do sierocińca. Potem zabrała na krótko. Mąż matki wykorzystywał ją seksualnie. Trafiała do rodzin zastępczych.

Nie wspominała źle swoich matek zastępczych. Nigdy jej wprawdzie nie ścisnęły i nie całowały, klepały ją tylko po głowie, jak szczeniaka, i całowały własne dzieci. By nie wrócić do sierocińca, wyszła za mąż w wieku szesnastu lat. Matka „rodzona” trafiła do szpitala psychiatrycznego.

Marilyn Odtrącona.

Marilyn skazana na koszmar od urodzenia.

### 2. Marilyn Monroe Lustrzana

Uwielbiała lustra, szczególnie te, które zwielokrotniały jej zgrabną postać. Spośród kilku mogła wybrać najlepszą. Nie chciała być ciemnorudą Normą. Norma była raną. Została jasnowłosą Marilyn. Była pewna, że mężczyźni wolą blondynki,

a ona chciała, by ją woleli. Tleniła włosy także w miejscach intymnych. Stała się symbolem piękna, ikoną seksu.

Sartre mówił o niej: „To nie światło z niej emanuje, to ciepło, ona rozpala ekran”.

Skoro musiała dźwigać swój krzyż, wolała jego ekranową wersję.

### 3. Marilyn Monroe Cieleśna

Była najsłynniejszym ciałem na świecie. Także przedmiotem. Wystarczyło, by ktoś okazał jej zainteresowanie, i szła z nim do łóżka. Myślała, że to jedyny sposób, w jaki kobieta może okazać wdzięczność. Nieważne, czy to był robotnik remontujący dom, czy prezydent USA, czy kierowca taksówki, czy Ives Montand, Frank Sinatra, Elia Kazan.

Pragnęła, by ktoś ją pokochał bezwarunkowo.

Próbowała seks zamienić w miłość, przypadkowy kontakt w szczerą oddanie. Rozdawała siebie jak prezenty; lubiła je dawać jak wszyscy, którzy ich nie otrzymują. Wśród kobiet szukała nauczycielek życia, literatury i sztuki, a znajdowała jedynie kochanki, które nią manipulowały, a jeśli nie godziła się na kontynuowanie homoerotycznego związku, stawały się jej wrogiem, jak Joan Crawford.

Rozpalała żądze wszystkich mężczyzn na świecie.

Była dla nich nieosiągalną gwiazdą.

Nikt przecież nie uwierzyłby przypadkowemu kierowcy, przechwalającemu się, że ją zdobył. Nie musiał jej zdobywać.

Upadła po raz pierwszy, a potem już nie chciała się zatrzymać.

#### 4. Marilyn Monroe Bezdomna

Mieszkała w pięćdziesięciu siedmiu miejscach.

Nigdy nie stworzyła domu dla siebie, choć za nim tęskniła i choć go nawet kupiła w pobliżu domu swego terapeuty.

Odwiedziła matkę w szpitalu. Wtedy matka wyszeptala, że chciałaby z nią mieszkać. Marilyn Monroe uciekła.

#### 5. Marilyn Monroe Okaleczona

Przeszła operację woreczka żółciowego, wyrostka robaczkowego, usunięcia ciąży pozamacicznej. Także poronienie i aborcję. Być może i operację plastyczną nosa oraz policzków.

Czy ktoś jej wtedy pomagał przetrwać ból i samotność?

#### 6. Marilyn Monroe Zameżna

Pierwszy mąż to chłopak z sąsiedztwa — James Dougherty, drugi to Joe DiMaggio, bokser, w którego oddanie nie potrafiła uwierzyć, bo widziała jedynie jego zazdrość, trzeci to Arthur Miller, dramaturg, dla którego stała się wdzięcznym tematem do kolejnej sztuki.

Tylko DiMaggio ocierał jej twarz do końca i był na jej pogrzebie.

## 7. Marilyn Monroe Czytająca

Nie miała nawet średniego wykształcenia. Za to miała potrzebę obcowania z wielką literaturą, dlatego poszukiwała przewodniczki, z którą mogłaby czytać i rozmawiać. Czytała Freuda, Dostojewskiego, Kafkę, Prousta, Conrada, Joyce'a, Rilkego, Szekspira. Niczego w całości, na co zapewne nie pozwalała jej osobowość typu borderline.

Marzyła, by zatrudnić fachowca, u którego boku studiowałaby Szekspira, a potem, jako dojrzała kobieta, zagrała czternastoletnią Julię dziewicę. Z miejsca na miejsce przewoziła zawsze swój kufer z czterystoma książkami oraz białe pianino z czasów dzieciństwa.

Wymyślała wciąż coś innego, by nie upaść po raz drugi.

## 8. Marilyn Monroe Czekażąca

Na miłość.

Na dzień.

Na przyjaźń.

Na matkę.

Na ojca.

Na zrozumienie.

Na sen.

Na śmierć.

Przyjaźniła się z Trumanem Capote'em. Kochał ją tak, jak jej artysta potrafi kochać kobietę. Dzięki niej powstało *Śniadanie u Tiffany'ego*.

Potrafiła pocieszać przyjaciół.

## 9. Marilyn Monroe Uzależniona

Od narkotycznych środków znieczulających, uspokajających.

Od alkoholu.

Od seksu.

Od strachu.

Od telefonu.

Od terapii.

Bała się nocy. Gdy zapadał zmierzch, zaczynała telefonować. Obgryzała paznokcie. Miała zimne dłonie. Jąkała się. Dlatego mówiła szeptem, to był jej sposób na płynność mówienia.

Miała kilku terapeutów. Ostatni stał się niewolnikiem jej słów. Opłacany był przez nią i przez wytwórnię filmową. Bez jego opieki nie potrafiła zmobilizować się do przyjscia na plan filmowy, bez ciepła jego ręki wypowiedzieć słowa.

Psychoanaliza w Hollywood rzuciła wszystkich na kozetki. Terapeuta Marilyn był uzależniony od jej zależności od niego. Był to rodzaj związku, w którym stał się więźniem więzionej kobiety, telefonującej do niego o każdej porze dnia i nocy.

Wszystko po to, by nie upaść po raz trzeci i by nie zostać odartą z szat i nie stracić wizerunku najwspanialszej.

## 10. Marilyn Monroe Samotna

Samotna najbardziej na świecie.

Najgłębiej.

Najczarniej.

Podsluchiwana przez służby specjalne bezpieczeństwa.

Osaczona.

Wszyscy jej pragnęli, nikt jej nie kochał.

Każdy, chcąc czy nie, wbijał w nią swój gwóźdź.

## 11. Marilyn Monroe Skrzywdzona

Przez rodziców.

Przez społeczeństwo, które chroni dorosłych i obwinia ofiary.

Była dziewczynką skłoną obwiniać się za okrucieństwo rodziców.

Nie chciała ranić matki, więc raniła siebie.

Marilyn skrzywdzona przez mężczyzn.

Przez kobiety.

Przez siebie samą.

Dlatego robiła wszystko, by zasłużyć na miłość.

Nawet mogła umrzeć albo pozwolić się zabić.

## 12. Marilyn Monroe Wolna

Uwolniona od lęku, od życia.

Od ludzi, od siebie.

Marilyn Monroe Martwa.

Od tej chwili może żyć w legendzie, wymyślonej ciągle na nowo przez tych, którzy ją znali, kochali, podziwiali, słuchali, pragnęli jej, całowali rąbek jej sukni, traktowali jak przedmiot i nie rozumieli jej bólu.

Zdjęta z krzyża, który dźwigała przez całe życie, złożona do grobu.

Nikt już nie podniesie kamienia.

Nareszcie.

## ROZDZIAŁ XI

### MONIKA, MAŁGORZATA, YVONNE

Emilia wyszła z kliniki w południe i od razu poczuła zapach ciepłej jesieni, która według zapowiedzi synoptyków mogła potrwać nawet dziesięć dni. Czarne ptaszyska dumnie spacerowały po trawniku i w słońcu nie miały w sobie nic złowieszczego. Patrząc na nie, pomyślała o poranku spędzonym z Moniką, kiedy to czytała jej wiadomości z internetu, potem nowy post z własnego bloga, a także refleksje Krystyny, czytelniczki, która go regularnie śledziła i tym razem komentowała, cytując fragment książki *Muzyka plaży* Pata Conroya: „Istnieje pewien rodzaj ptaków, które są zbyt piękne, by fruwać wśród wron i szpaków. Kiedy zaczną śpiewać, inne ptaki atakują je całymi stadami i rozszarpują na strzępy. Nic, co miękkie, nie ma szans na przetrwanie. Przyroda nienawidzi łagodności i dobroci”.

— Nie musisz mnie pocieszać — powiedziała wtedy Monika.  
— Jeśli czegoś bym jeszcze w życiu chciała, to zrozumieć dlaczego.

— Co dlaczego? — zapytała, choć czuła, że pytanie jest tak samo niekonkretne jak potrzeba Moniki.

Nie doczekała się odpowiedzi, bo Monika zadała następne pytanie.

– Powiedz mi, ale powiedz prawdę, bo nie masz nic do stracenia: czy ja śmierdzę?

– Ależ Moniko – rozpoczęła Emilia, biorąc oddech na dłuższą odpowiedź.

– Nie wzywaj mojego imienia nadaremnie, tylko powiedz: tak lub nie.

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie pewna, należę do grupy zapachowców. Skąd w ogóle takie pytanie?

– Myślałam o tym dziś w nocy, opowiem ci, krótko, właściwie tylko koniec historii, bo reszta bardzo banalna.

Mówiła powoli, cedząc stłumione słowa, z trudem wydobywające się z ust, upodobniających się coraz bardziej do wąskiego otworu gębowego ryby.

– Poznałam go, kiedy pracował w telewizji. Przyjechał do muzeum realizować materiał z wystawy Jerzego Dudy-Gracza. Był nieśmiały. Mały chłopiec w ciele potężnego mężczyzny. Po miesiącu od pierwszego spotkania zostaliśmy kochankami. Zakochałam się, ale miałam pecha, był żonaty. Byłam z siebie zadowolona, bo go wyzwoliłam. Jego asystenci mówili: – Nie poznajemy go, od czasu kiedy ciebie poznał, zaczął się śmiać.



Wszystko mi o sobie opowiedział. Uwierzył, że jest atrakcyjny, męski, sprawny. Był taki i przedtem, ale przy mnie takim się nareszcie poczuł. Kiedy i ja uwierzyłam, że też mnie kocha i jestem dla niego ważna, przestałam być wspaniała. Z tygodnia na tydzień. Wyczułam to, bo jestem czujna jak podwórkowy pies.

Zapytałam wprost. Odpowiedział jeszcze bardziej wprost, nie patrząc mi w oczy: — Nie mogę znieść twojego zapachu. Śmierdzisz.

Zamurowało mnie. Oczekiwać mogłam różnych powodów, ale ten by mi do głowy nie przyszedł nawet w najczarniejszym scenariuszu.

— Czym śmierdę? — spytałam.

— Sobą. To jest twój smród, z niczym nieporównywalny. A jak jesteś podniecona, czuję go nawet przez ubranie.

— Dlaczego mówisz mi o tym dopiero po pół roku łóżkowych kontaktów?

— Byłaś moją drugą kobietą prócz żony...

— Teraz jest trzecia?

— Tak.

Wyszłam, nie trzaskając drzwiami.

Przyjechałam tutaj, na Śląsk. Tutaj pozbyłam się ciąży, o której on się nigdy nie dowiedział. Nigdy więcej go nie zobaczyłam. Dzisiaj wyobrażam sobie, jak byłoby pięknie, gdybym wtedy dała mu w pysk.

Emilia patrzyła w żywe oczy Moniki, oczekując, że pojawi się w nich choć jedna łza. Zobaczyła zawziętość, która zabija wszystko, nie tylko łzy.

Kropłówka powoli odmierzała czas, jak klepsydra.

— Zawsze myślałam — zaczęła Emilia — że takich bezwzględnych ludzi trzeba zostawić bez wyjaśnień, bo nie są warci żadnego słowa. Teraz widzę, że przeciwnie, nie powinno się tłumić wściekłości. Trzeba ich od razu kopnąć w dupę, trzasnąć w pysk albo splunąć im w gębę. I nawet im źle życzyć nie trzeba, bo zło i tak ich dopadnie.

— Dopadło — powiedziała po cichutku Monika. — Wiem, że dopadło, ale to marna pociecha i wcale mu już źle nie życzę. Dalej nie wiem, dlaczego tak się zachował. Mógł przecież nie brnąć w ten związek, skoro mu nie odpowiadałam.

— W takim razie wiesz, że był bardziej skrzywdzony i odtrącony niż ty. Nie pytaj dlaczego, nie warto, trzeba iść dalej i godzić się z tym, że zostaliśmy uwikłani w nieszczęśliwe okoliczności. Trzeba ćwiczyć się w zapominaniu albo przynajmniej w nierozpamiętywaniu złego.

— Chyba tak, szkoda, że zrozumiałam to tak późno, bo chyba zrozumiałam. Myślisz, że dlatego chciał mnie poniżyć, ponieważ sam był poniżany?

— Nie wiem, czy świadomie chciał, ale był bezwzględny.

— Jeśli nie robił tego do końca świadomie, to może nie był aż tak zły.

— Może. Może. Moniko, teraz ważne jest to, żebyś mu wybaczyła.

– Już to zrobiłam... skoro potrafiłam o tym opowiedzieć.  
– Wybacz jeszcze i sobie.  
– Co?  
– Nie wiem, kochana, niewiele o tobie wiem. Najlepiej wybacz sobie wszystko, co cię dręczy i o czym rozmyślasz z niepokojem.

– Łatwo ci mówić.  
– Niełatwo, sama sobie też to powtarzam.  
– Szkoda, że nie spotkałam cię wcześniej.  
– Będę tutaj przychodzić. Do ciebie.

Emilia chciała jeszcze coś powiedzieć, ale bez pocieszania, od razu wyczuwanego przez Monikę.

– Boisz się? – Monika zmieniła temat.  
– Ja? – zdziwiła się Emilia i od razu poczuła, że pytanie było co najmniej niestosowne.

– Ty, przecież ja już wiem.  
– Boję się, że mogę nie zdążyć wykonać kilku gestów, które by innym przyniosły odpowiedź na pytanie: dlaczego. Opowiem ci, czy mi się udało. Czekać na mnie. Obiecujesz? Przyjdę najpóźniej za dziesięć dni.

Poprawiła Monice poduszki, przyglądała kołdrę na nogach, przestawiła stojak z kroplówką, jakby szukała najlepszego momentu, by jej dotknąć.

Wyszła poza bramę kliniki, przeszła zaledwie kilkanaście metrów i przysiadła na murku, w pobliżu krawężnika, na ulicy Francuskiej, gdzie pachniało kawą z pobliskiej palarni. Przyglądała się pędzącym samochodom. Zjeżdżały w dół od strony

osiedla Paderewskiego, gmazyska Biblioteki Śląskiej i budynków bankowych. Tomasz stał u jej boku, nie pytając przez chwilę, dlaczego tak siedzi. Był pewien, że odpoczywa.

– Gdybyś podeszła jeszcze kilka kroków, zamówiłbym tak-sówkę – powiedział wreszcie.

– Nie jestem zmęczona – uśmiechnęła się. – Tak sobie tylko siedzę i widzę, że wszyscy się gdzieś bardzo śpieszą. Myślałam o Monice i o tym, że dopiero teraz jestem bardzo młoda. Bardzo młoda! – prawie wrzasnęła, podnosząc się ze słupka.

Tomasz przyjrzał jej się, odchylając głowę w bok.

– Kiedyś byłam jednym wielkim obowiązkim, zawsze z duszą na ramieniu. A teraz, zobacz! Mogę sobie usiąść na słupku przy głównej ulicy, patrzeć na pędzące samochody. Cała ulica Francuska jest moja, Katowice są moje, świat jest mój!

– A przedtem mówiłaś, że masz w dupie małe miasteczka – mruknął Tomasz.

– Czy ty mnie rozumiesz choć trochę?

– Rozumiem, choć nie wiem, skąd ta zmiana, jeszcze niedawno przekonywałaś mnie, że to brzydkie miasto i nic mu nie pomoże.

– O matko, jakiś ty pamiętliwy, gdzie twoja hippisowska radość?

– Emi, kochana, przynajmniej wejdźmy do palarni, napijesz się kawy, a ja zapalę fajkę i popatrzę, jak się zachwycasz

krzywymi ulicami i odpadającym tynkiem, dobrze?

Usiadła przy tym samym stoliku co kiedyś. Już nie fruwała, wręcz przeciwnie, energia z niej wyparowała. Tomasz stał przy kontuarze i zamawiał kawę czekoladową, jej ulubioną. Do tego owsiane ciasteczko. Lubiała mu się przyglądać, kiedy tego nie widział.

Jak zawsze przygarbiony, długie włosy miał tym razem związane w kitkę. Późna jesień, a on ciągle w trampkach, młodzieniaszek, prawie sześćdziesięcioletni, uwielbiający się nie śpieszyć. Materialne potrzeby ograniczał do minimum, byle tylko mieć czas dla duchowych fanaberii, jak to określała Emilia.

Marzył, by się zaszyć w domku na wsi, wychodzić z rana boso i dotykać stopą zroszonej trawy. Także drzemać na hamaku i palić w kominku. Czasami gotowa była sprzedać duże mieszkanie w mieście, aby je zamienić na mały domek na wsi, niekoniecznie w górach, wystarczyło znaleźć coś w promieniu trzydziestu, czterdziestu kilometrów od miasta.

Zawsze jednak poskramiała te zapędy, przypominając sobie rozsądnie, że są coraz starsi i nie będą mieli siły odgarniać śniegu ani wykonywać wielu czynności, których nie narzuca im miasto. Bała się też nowego środowiska, nowych wyzwania, znajomości, sąsiadów, w oczach których zapewne uchodziłaby za dziwaczkę. Tutaj miała wszystko poukładane, ustalone, przyjaciół na wyciągnięcie ręki, córki w pobliżu.

Dobrze hodować ciszę i samotność, gdy się jest wśród ludzi i bliskich, choćby nawet nie spotykało się z nimi często. Bała się tęsknoty, która mogłaby ją dopadać jak ta, gdy myślała o Alanie. Żał byłoby jej spacerów z Wojtusiem, tych krótkich, godzinnych wypraw do piaskownicy, obserwowania, co zmieniło się w ciągu tygodnia w jego słownictwie, zachowaniu, wysłuchiwania rewelacji, jakie przynosił z przedszkola.

Tomasz postawił filiżanki z kawą na stoliku. Zauważył zmianę nastroju Emilii. Był do tego przyzwyczajony, więc jeśli teraz się zaniepokoił, to dlatego, że ostatnio rozmawiał z nią mniej i mniej miał okazji, by ją obserwować. Była przecież w szpitalu.

Kochał Emilię uważnie. Zdarzało mu się nie zareagować na nową bluzkę, ale zawsze umiał dostrzec zasepioną minę lub nieobecne oczy, gdzieś błędzące. Pytał często, o czym myśli i co czuje. Równie często nie odpowiadała, ale lubiła te pytania prawie tak samo, jak nie lubiła banalnego „co słyszać” czy „co nowego”.

Pytania innych dotyczyły najczęściej wydarzeń. Pytania Tomasza — emocji. Emilia zaś tylko z kimś naprawdę bliskim byłaby skłonna podzielić się emocjami, skrytymi przemyśleniami. Świat zewnętrzny, karmiący się plotką i anegdotą, obserwowała teraz w krzywym zwierciadle, z racji popularności Małgorzaty. Niuanse rezerwowała więc dla wybranych, wtajemniczonych, którym można było ufać.

W życiu Emilii liczba mnoga została zastąpiona przez pojedynczą, a pojedyncza Tomaszem. Dzieciom ufała, ale nie czuła potrzeby, by je obarczać ciężarem swoich smutków i rozterek. Wolą być matką, do której przychodziłyby ze swoimi, a ona, zawsze czujna, odpowiednio zdystansowana, pomagałaby im w tym, co leżało w zasięgu jej możliwości i doświadczeń.

Lubiła pomagać, także dawać. To łatwiejsze niż branie lub przyjmowanie. Nieraz Małgorzata ją strofowała, tłumacząc, że czasy, gdy nic nie było dla niej, już minęły.

— Mamo Emi, a raczej babo Emi — żartowała, naśladując Wojtusia — zasługujesz na to, by dostawać i brać, nie dlatego że zrobiłaś coś dla nas, ale dlatego, że jesteś mamą i babą, sobą. Myśl o sobie, babo Emi.

Myślała.

Od pewnego czasu bardzo intensywnie.

— Myślisz i myślisz, czy aby o sobie? — zagadnął ją Tomasz.

— Tak, o tym, jak mi będzie, kiedy wyjadę bez ciebie do Paryża.

— Kiedy?

— Pojutrze.

— Na jak długo?

— Na tydzień.

— To wracajmy do domu, żebyś przynajmniej dziś trochę pomieszkała.

W taksówce trzymała go mocno za rękę. Głowę położyła mu na piersi, na flanelowej koszuli wystającej spod rozpiętej kurtki. Poczula woń tytoniu z fajki, który zaplątał się w rozpuszczonych włosach, w przyciętej brodzie. Lubiała ją bardziej niż zapach wody toaletowej Giorgio Armani Black Code, której używał czasem przed wyjściem.

Zapagnęła poczuć ciepło nagiego ciała, przytulić się do nagiego ramienia, a nie do koszuli. Nie było w tym dzikości, dopadającej ją w dawnych latach, raczej czułość zmęczonej kobiety, która chciałaby odpocząć. Była pewna, że gdyby teraz pocałowała Tomasza, chciałby się kochać. Poczul to samo, bo pogładził jej głowę i szepnął: — Zaraz będziemy w domu.

Otworzył drzwi i Emilia poczuła znajomy zapach: mieszalinę czystych, wymytych i wypastowanych podłóg, rześkie powietrze wpadające przez uchylone okna, nutę kawy i cynamonu, dolatującą z kuchni. Usiadła na rzeźbionym krześle w przedpokoju i odetchnęła z zadowoleniem, jakie towarzyszy powrotom w ulubione i oswojone miejsca. Tomasz wyszedł z łazienki, więc teraz ona umyła ręce, mydląc je długo i ogrzewając ciepłą wodą.

Przysiadła na brzegu wanny, obserwując swoje odbicie w lustrach. Zobaczyła oczy osadzone głębiej niż przed tygodniem, przezroczystość ogarniającą nie tylko twarz, ale i całą postać. W jasności halogenowych lamp wydała się sobie mniejsza, węższa. Stała na elektronicznej wadze, która



pokazała cztery kilogramy mniej od ostatniego zapisu. Pomyślała, że miała rację pani Kazia, warto mieć kilka kilogramów w zapasie.

Tomasz wziął ją za rękę jak małą dziewczynkę i zaprowadził do sypialni. Rozebrała się sama i wśliznęła pod koldrę, która wydała się jej wyjątkowo lekka w porównaniu ze szpitalną, także wesola, bo pomarańczowa, a nie tradycyjnie biała. Obserwowała, jak on się rozbiera i jak na końcu zdejmuje skarpetki przetarte na dużym palcu. Przeciągnęła się spokojnie, pewna, że wszystko jest tak, jak być powinno, albo raczej jak chciałaby. Może tak jest, że późne szczęście ogarnia ludzi szeroko, w pełni.

Kochali się niespiesznie, oswojeni z rytmem ciała i ich potrzebami, zadowoleni, że ciągle lubią się dotykać.

Seks był dla nich świętością, ale i zabawą, tym bezpieczniejszą, im więcej nocy było za nimi. Każdą przyjmowali z wdzięcznością i odrobiną zdziwienia, że ta sfera życia jest dla nich ciągle ważna, choć przecież ich oczy już spłwiałały, mięśnie straciły elastyczność, a stawy skoczność. Kiedyś obiecali sobie wierność i lojalność. Nie mówili wtedy o miłości, a przecież to dzięki niej dotrzymywali obietnic i nie czuli ich ciężaru.

Zasnęli na chwilę. Potem wypili kawę: Tomasz ze spienionym mlekiem, Emilia z cynamonem. Zjedli też sałatkę z pomidorów, mozzarelli, listków bazylii, polaną octem balsamicznym i oliwą z oliwek. Wypili po filiżance herbaty parzonej w

imbryku z bawarskiej porcelany. Z następną usiedli przy swoich komputerach, każde w kącie swojej pracowni.

„Uwielbiam nasz dom, Ciebie, herbatę, pomidory, bazylię i ciszę” — wystukała Emilia na Gadu-Gadu i po dwóch sekundach usłyszała charakterystyczny dźwięk w drugim końcu mieszkania, sygnalizujący, że informacja pokazała się na monitorze Tomasza.

„Czy możesz zmienić kolejność słów?” — odpisał.

Od czasu kiedy zarezerwowała bilet, zdążyła wszystko zaplanować, łącznie z listą potrzebnych zakupów, co chciała przetrzymać na Tomasza, i ze spisem rzeczy, które spakuje do walizki zaraz po powrocie do domu. Zazwyczaj pakowanie zabierało jej dużo energii, tym razem nie chciała jej marnować, bo wiedziała, że czeka na poważniejsze wyzwania.

Na lotnisku miała na nią czekać Yvonne, z którą przyjaźniła się korespondencyjnie od czterech lat. Po dwóch latach zwieżeń w listach spotkały się w Polsce, potem w Paryżu, gdzie Yvonne mieszkała od dwudziestu pięciu lat. Emilia zatelefonowała do niej ze szpitala, licząc, że będzie mogła skorzystać z mieszkania Patryka, narzeczonego Yvonne, który nie zdążył być jej mężem, bo został zamordowany w tajemniczych okolicznościach.

Mieszkanie Patryka Yvonne wyremontowała nowocześnie i wyposażyła, nazywając je „świętynią dumania”. Uciekała do

niego w chwilach chandry, przekonana, że tylko tam są fluidy nastrojające ją pozytywnie. Kiedy czuła się depresyjnie, wyjeżdżała na Martynikę, gdzie miała ponoć plantację bananów, w którą zainwestowała pieniądze, jakie zostawił jej Patryk. Nie chciała o tym opowiadać, więc Emilia czasem wątpiła w istnienie tej plantacji, choć obecny narzeczony Yvonne też o niej wspominał. Życie Yvonne było tak niezwykle, że coraz częściej Emilia myślała, by na jego głównych wątkach oprzeć akcję powieści, która mogłaby stać się romansem kryminalnym, jakiego jeszcze nie było.

Na lotnisko do Pyrzowic pojechała sama. W ciągu niespełna godziny była na miejscu, bo to zaledwie czterdzieści kilometrów od jej domu. Samochód zostawiła na lotniskowym parkingu, co miała wypróbowane, bo tak robiła nieraz, wyjeżdżając na kilka dni do Amsterdamu, Niemiec czy na wakacje. Po odprawie siedziała przez czterdzieści minut na ławce i patrzyła na oczekujące na start samoloty. Zdziwiła się, że za dwie godziny będzie w Paryżu; jakie to proste, dlaczego nie zrobiła tego wcześniej? Potrzebowała widocznie tych szpitalnych przemyśleń, by naprawić swój błąd.

Teraz była pewna, że to był błąd.

Wymyślała przecież coraz to nowe preteksty, by odmawiać. Cel był zawsze taki sam: zmusić Alana, by to on przyjeżdżał jak najczęściej, pokazywać mu niezadowolenie z wyboru, jakiego

dokonał. Szantażować go tęsknotą i miłością. Zniewalać, przymuszać do posłuszeństwa i szacunku, którym dzieci winny obdarzać rodziców z tej racji, że są rodzicami, że je wychowali.

Nie było w jej działaniach premedytacji ani złych intencji. Zachowywała się raczej jak skrzywdzona kobieta, nie dostrzegająca, że swoją krzywdę przenosi na innych.

Czuj ojca swego i matkę swoją. W młodości, a nawet w wieku dojrzałym, buntowała się przeciwko bezkrytycznemu powtarzaniu tego przykazania przez matkę, a teraz była przekonana, że cała cześć należy się tylko jej, Emilii. Filipa przecież nie było przy Alanie, ani wtedy kiedy się urodził, ani kiedy budził się w nocy z płaczem, ani kiedy ząbkował, chodził do przedszkola, chorował. Później zresztą też go nie było, bo trudno „byciem” nazwać jedno spotkanie, kiedy ojciec z synem się poznali.

Wobec Alana zachowywała się tak, jakby syn był inwestycją przynoszącą zysk po latach. Tymczasem zysk zaczął przypadać Filipowi, to on miał szansę spijać śmietankę. Jej żal przybierał różne formy, od bezsilności przez wściekłość po bajkowe rozwiązania, kiedy to wszyscy żyją długo i szczęśliwie.

Wściekłość na Filipa, ale i na Alana, przynajmniej od czasu, kiedy wyjechał na studia do Paryża i zamieszkał z ojcem. Przez jakiś czas karmiła się nią codziennie. Wymyślała nieprawdopodobne scenariusze z udziałem Filipa i syna marnotrawnego,

powracającego do niej i dziewczynek. W zaciętrzewieniu zapominała, że dziewczynki są dorosłe, mają swoje domy, ona też ma swój, i ten, do którego miałyby Alan wrócić, już nie istniał.

Jak to pisał Marcel Proust w liście do matki? Wolę mieć napady duszności i być takim, jakim ci się podobam, niż nie podobać się tobie i nie cierpieć. Marcel Proust zmarł w dwa miesiące po napisaniu powieści, udusił się. Cierpiał na astmę, a do tego jeszcze dostał zapalenia płuc. Dlaczego chorował na astmę? Chorował, bo chorował, czy chorował, bo tłumił w ten sposób bunt, wynik rozpaczliwego rozdarcia pomiędzy własnymi pragnieniami a oczekiwaniami matki, której nie chciał zawieść?

Pucka, bohaterka autobiograficznej powieści Janiny Katz, mówi o matce: „Sonia była pułapką na całe życie [...] kochającą ofiarą, która chce pilnować swojego kata”. Autorka, duńska pisarka polsko-żydowskiego pochodzenia, zaczęła pisać wiersze dopiero w cztery lata po śmierci matki. Natchnienie dopadło ją w autobusie. Przez trzy dni napisała cały tomik. *Córka mojej matki*; obawiała się, że zwariowała.

Emilia rozmyślała o tym wszystkim, przypominając sobie poglądy Alice Miller, wyrażone w książkach o przemocy w rodzinie, a przede wszystkim w *Buncie ciała*, gdzie przytacza fakty z biografii wielu twórców — Dostojewskiego, Kafki, Czechowa, Joyce'a, Rimbauda, Woolf— potwierdzające jej tezę,

że zacieranie krzywd doznanych w dzieciństwie na nic się nie zda. Mają one zawsze konsekwencje dla naszego ciała w postaci chorób lub różnych destrukcyjnych uzależnień. Tak się dzieje, kiedy wmawia się sobie, że czuje to, co się czuć powinno, i stara się nie czuć tego, co uważa się za niestosowne.

— Pułapka nie jest sposobem na życie. Właściwie to cud, że wychowałam dziecko, które myśli, a nie tylko jest posłuszne — wysnuła konkluzję, zapinając pasy.

Była w tym nuta satysfakcji i lekkość z powodu rozgrzeszenia, którego sama sobie udzielała. Może także odrobina przekonania, że nie wszystko stracone i uda jej się wyprostować żale, obdarzając Alana miłością bez stawiania warunków. Wbrew pozorom o wiele trudniej przyznać się do zmiany zdania, niż utwierdzać się w dotychczasowym.

Patrzyła w okrągłe okienko samolotu, dziwnie spokojna, bez strachu, towarzyszącego jej zazwyczaj przy starcie bardziej niż przy lądowaniu. Patrząc w chmury, podśpiewywała *Modlitwę* Tadeusza Nalepy, którego kojarzyła z Claptonem, bardziej ze względu na wygląd niż muzykę, może jeszcze dlatego, że na scenie wyglądali podobnie samotnie:

Wysłuchaj mojej pieśni, Panie,  
Do Ciebie wznoszę dzisiaj głos.  
Ty jesteś wszędzie, wszystkim jesteś Ty,  
Lecz kamieniem nie bądź mi.  
Ty chlebem, ptakiem, słońcem możesz być,  
Więc kamieniem nie bądź mi.

Ciągle coś mi się kojarzy, jedno z drugiego wynika, łączy się odległe z bliskim, bliskie z zapomnianym, głowa jest skarbnicą, wszystko w niej, nawet dusza — pomyślała przy odpinaniu pasów.

Czuła niepokój przed spotkaniem z synem i jego ojcem. Filipa widziała ostatnio w Avignonie, Alan miał wtedy sześć lat, czyli było to szesnaście lat temu. Aż jej się zrobiło gorąco, kiedy to podliczyła. Małgorzata miała wówczas dziewiętnaście lat, Dorota szesnaście.

Emilia wyjechała wtedy na festiwal teatralny, na całe dwa tygodnie. Po raz pierwszy rozstała się na tak długo z córkami i Alanem. Zostawiła dzieci pod opieką przyjaciółki, z bólem serca, przekonana jednak przez córki, że z podróży, o której marzyła, nie można zrezygnować.

Nigdy nie żałowała tej decyzji, choć bardzo tęskniła i przez trzy dni nie spała, nie jadła, rozmyślając, jak by tu powrócić do domu.

Nie mogę być z nimi zawsze, musiałabym zniewolić nas wszystkich — ta prosta prawda dotarła do niej, kiedy moczyła nogi w fontannie, na patio w Centre Les Ortolans, gdzie zamieszkała, przy rue Pourqueri de Boisserin, w murach starego klasztoru, przerobionego na rodzaj internatu w ciągu roku szkolnego, a wykorzystywanego w czasie wakacji na miejsca hotelowe.

Już zdarzyło jej się podobnie myśleć — wtedy kiedy Małgorzata po raz pierwszy poszła sama do szkoły i sama miała

wrócić. Było to bardzo długie pół godziny, które zabijała drepaniem w kółko po mieszkaniu i wyglądaniem przez wszystkie okna, jakby Gosia mogła pojawić się z każdej strony. A teraz proszę, miała dorosłe dzieci.

Dzieci są bezczelne — podsumowała — starzeją się za szybko.

Z SZUFLADY EMILII (11)

<http://emily-foxy.blog.onet.pl>

JEANNETTE PROUST.

MATKA KOCHAJĄCA ZA BARDZO

Kobiety kochające za bardzo są gorsze od zmor, duszą nie tylko w nocy, ale także w dzień. Oplątują mackami myślenie, postrzeganie i ciało tłamszonego, zapisując na nim każde oczekiwanie i krzywe spojrzenie. Robią to najczęściej nie do końca świadomie, na pewno przekonane o poświęceniu, przywiązaniu i miłości, nie widząc, że do każdego z tych słów pasuje przymiotnik „ślepy”. Jeannette Proust, matka wielkiego Marcela, przez większość biografów jest wynoszona pod niebiosą za matczyne cnoty, z których najważniejszą jest poświęcanie się dla dobra dzieci.

Do tego chóru nie przyłącza się Alice Miller, która w matce pisarza widzi kobietę zaborczą i despotyczną, a w nim samym syna opętanego obowiązkiem wdzięczności wobec matki, co



skazuje go na tłumienie buntu i niesprzeciwianie się jej ścisłej kontroli. Aprobata matki była dla niego ważniejsza niż własne życie. Wolał cierpieć, niż zaryzykować odrzucenie.

Jeannette Proust wyszła za mąż we wrześniu 1870 roku. Dziesiątego lipca 1871 roku urodziła Marcela. Czas jego narodzin to okres tłumienia Komuny Paryskiej, powstania Trzeciej Republiki Francuskiej. Zmarła w 1905 roku, kiedy Marcel miał trzydzieści cztery lata. Wtedy syn w jednym z listów napisał, że dzięki nieustającej czujności matki miał spokój i miłość, „mannę życia”, a teraz stracił ten jedyny sens, osłodek, miłość i pociechę.

Jeannette Proust decydowała o wszystkim, dobierała synowi przyjaciół, zakazywała utrzymywania znajomości, których nie akceptowała. W dzieciństwie Marcel nie potrafił zasnąć, jeśli matka nie ucałowała go na dobranoc. Kiedy przyjmowała w salonie gości, budziło to jego obawy, że oni są ważniejsi. Walczył więc w wyobraźni o matkę ze światem, który próbował wykraść mu tę miłość. Wyobraźnia stała się dla niego azylem, w którym mógł opisywać odczucia bez obawy przed karą czy nieakceptującym spojrzeniem matki.

W wieku dziewięciu lat dostał pierwszego ataku astmy. Choroba dręczyła go do końca, w różnym nasileniu. Krótko pracował jako wolontariusz w bibliotece Mazarine. Ostatnie trzy lata życia spędził w swojej sypialni, śpiąc w dzień, pisząc w nocy. Po śmierci matki otrzymał ogromny spadek.

Dla Jeannette Proust, żony uznanego lekarza, uległej wobec konwenansów epoki i towarzystwa, z którego opinią się bardzo

liczyła, świat był Marcelem. Marcel musiał więc świecić przykładem i milczeć. Swoje myśli zapisał dopiero po jej śmierci. Gdyby zrobił to wcześniej, zburzyłyby w oczach matki obraz siebie grzecznego i uległego, czyli takiego, jakim chciała go widzieć i mieć.

Jego młodzieńcza powieść, *Jan Santeuil*, nie dokończona, wydana dopiero w 1952 roku, zawiera wiele wątków autobiograficznych. Rodzice bohatera opisani są tam bardzo krytycznie. Kryjąc się za swoim bohaterem, Marcel Proust buntuje się przeciwko matce, oskarżając ją o zło, które mu wyrządza.

Alice Miller w *Buncie ciała* cytuje fragmenty tej powieści, potwierdzające jej tezę, i fragmenty listów bohatera do matki, w których próbuje jej zasugerować konflikt pomiędzy ciałem, zdrowiem a ich wzajemnymi relacjami, nawet obwinia ją o to, że nie może ona znieść życia, przynoszącego mu uzdrowienie, i przez to on z kolei nie może się cieszyć jednocześnie jej przychylnością i własnym zdrowiem.

Po śmierci matki Proust będzie mówił o niej tylko z uwielbieniem. Powstanie genialne dzieło *W poszukiwaniu straconego czasu*. Czym jest ten stracony czas? — pyta Alice Miller. Czy życiem, którego Marcel, syn Jeannette Proust, nie przeżył? Czy życiem, które zostało zatopione w kreacji, sztuce, w ucieczce w chorobę? Czym jest ta genialna powieść — czy zapłatą, ceną za zamykanie oczu na własne emocje?

## ROZDZIAŁ XII

### FILIP, AVIGNON, DAVID,

### WSPOMINKI

Filip pamiętał, że to

było wyjątkowo upalne lato i że Emilia miała białą długą spódnicę, którą tam, na moście w Avignonie, podwiał wiatr, ukazując jej opalone nogi. Czekala na St. Bénétet, na końcu mostu spalonego przed wiekami, jedyne, który nie prowadził na drugą stronę Rodanu. Kiedy Filip ją zobaczył z daleka, pomyślał, że wygląda jak Sarah z filmu *Kochanica Francuza*, stojąca nieruchomo na falochronie obmywanym falami wzburzonego morza. Scena w filmie była oczywiście mroczna, tajemnicza, w sumie żadnych podobieństw, poza tym że tu i tam była kobieta, która czeka. Zanim podszedł, zrobił jej z daleka kilka zdjęć. Jedno z nich, na którym udało mu się uchwycić grę światła załamujących się w rozwianych włosach, prezentowane było na wielu wystawach, a teraz wisi nad jego biurkiem.

Nie uprzedziła go o przyjeździe. Zatelefonowała dopiero po tygodniu pobytu, trochę, by sobie nie wyrzucać, że była blisko i nie spróbowała, ale też z nadzieją, że Filipa nie zastanie albo że

nie będzie mógł przyjechać z Paryża do Avignonu w ciągu tych paru dni, które pozostały jej do wyjazdu. Tak czy owak — otwierała i zamykała furtki, bardziej licząc, że los zadecyduje za nią, a ona, rozgrzeszona, powie, że tak musiało być.

Ucieszył go ten telefon, zgodził się od razu, wątpliwości i strach dopadły go później. Właściwie to David zarządził, by wyjechać natychmiast, jakby w obawie, że Emilia gotowa coś wymyślić i tym samym zrezygnować ze spotkania. Gdyby nie David, szukałby pretekstów do odsunięcia wyjazdu choćby o jeden dzień, zadreńczając się obmyśleniem scenariuszy, które podsuwałyaby mu wyobrażenia karmiona scenami z przeszłości.

David znał ją z opowieści Filipa i fotografii sprzed co najmniej siedmiu lat, na których zawsze stała obok niego, wtulona lub wpatrzona jak w obrazek. To zapatrzenie zupełnie mu nie pasowało do Emilii upartej, twardej, hardej, którą słyszał jedynie w słuchawce telefonu i którą sobie wyobrażał na podstawie wspomnień Filipa.

Filip był po rozmowie podekscytowany, nie mógł sobie znaleźć miejsca, bo nagle spadło na niego to, o co zabiegał od pięciu lat, od czasu, kiedy poczuł się ojcem Alana i gotów był ponieść różne kary i wyrzeczenia, byle tylko naprawić błąd i mieć z chłopcem kontakt. Emilia mu tego uparcie wzbraniała, nie przyjmując do wiadomości zapewnień, że dojrzał, rozumiał,

zmienił się, cóż z tego, że potrzebował na to dużo czasu. Nie przyjęła też pieniędzy, które chciał jej wysłać na utrzymanie syna.

Dla niej był ciągle mężczyzną, który porzucił ją, kiedy była w ciąży z Alanem. Dlatego że była w ciąży. Był to zdecydowanie najtrudniejszy okres w jej życiu, ale zaparła się wtedy, jakby na przekór wszystkiemu, co ją spotkało. Zaparła się w samotnym życiu, do którego broniła dostępu matce, dalszej i bliższej rodzinie, a przede wszystkim Filipowi, który choć wybrał Paryż, to garnął się potem do pomagania z daleka.

Zgodziła się tylko na to, by dał dziecku swoje nazwisko, co, jak się okazało, wcale nie było prostą sprawą, ponieważ zgodnie z prawem ciągle była mężatką. Nie mieszkała wprawdzie od dawna z Romanem, on miał swoje życie u boku innej kobiety, ona mieszkała tylko z córkami. Ani on, ani tym bardziej ona nie spieszyli się do przywrócenia wolności, potwierdzonej rozwodem. Alan dostał jednak nazwisko Filipa, co potem zdecydowanie przyspieszyło rozwód, o który Roman wniósł dopiero po czterech latach od urodzin Alana.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że sytuacja polityczna w kraju zmieni się tak diametralnie, by granice zostały odblokowane. Było jej na rękę, że o paszport nadal trzeba się starać i że Filip musi czekać na obywatelstwo, co ograniczało mu działania w Polsce. Choć była zawsze daleka od politykowania i często to podkreślała, to jednak świat polityki

wtargnął w jej życie, a zburzenie muru berlińskiego zmusiło ją do zweryfikowania spraw do tej pory uważanych za najbardziej prywatne.

„Jesteśmy dziećmi epoki, epoka jest polityczna” — powtarzała nieraz słowa Wisławy Szymborskiej — „nawet idąc borem lasem stawiasz kroki polityczne” — powtarzała, postanawiając, by jednak zachowywać się niepolitycznie, przynajmniej względem Filipa, cokolwiek to miało oznaczać.

Wtedy, w upalnym dniu lipca, Filip przyjechał z Paryża do Avignonu z duszą na ramieniu, dzień przed umówionym spotkaniem. O świcie przeszedł całą rue de la République aż do Place de l'Horloge. Była to godzina, kiedy jeszcze nie rozdawano ulotek reklamujących spektakle teatralne, ulice były posprzątane, kawiarnie zamknięte. Chciał oswoić miejsce, zanim zacznie oswajać się z Emilią. Popatrzył na bajecznie kolorową karuzelę, sfotografował ją z kilku stron, wrócił do samochodu i pojechał z Davidem do małego hotelu Roques, położonego w odległości nie większej niż trzy-cztery kilometry od Avignonu, w miasteczku Les Angles.

Zajęli pokój urządzony w stylu śródziemnomorskim, w kolorystyce zaś niebiesko-białej, jaką najczęściej można spotkać w większości hoteli na greckiej wyspie Santorini. Filip stanął przed lustrem zamontowanym w drzwiach białej szafy i oglądał siebie z różnych stron, jakby chcąc się przekonać, że jest tym samym Filipem sprzed siedmiu lat, który kochał Emilię

do szaleństwa, jak to się mówi, i nie chciał spędzać dnia choćby bez telefonicznej rozmowy, jeśli już nie znaleźli godziny, by się spotkać.

Doszedł do wniosku, że jedynie wzrost pozostał mu ten sam, słuszny, jak mawiała Emilia. Włosy się przerzedziły, oczy zapadły głębiej, dodając ostrości i ponurości spojrzeniu, kości policzkowe wystawały bardziej, żyły na rękach, ukazujące się przy każdym zdecydowanym ruchu, dodawały powagi człowieka, który albo intensywnie ćwiczył, albo pracował fizycznie. Ciągłe był szczupły, brzuch mu ani trochę nie wystawał, jak kolegom w jego wieku. Dbał o to, by się właściwie odżywiać, a dodatkowo w utrzymaniu sylwetki pomagała mu codzienna aktywność i zgryzota, co podkreślał David.

Wziął prysznic i raz jeszcze, tym razem nagi, stanął przed lustrem. Miał taki zwyczaj, że co roku w dniu urodzin, rozbiierał się do naga i obserwując w lustrze swoje ciało, oceniał tym samym zmiany, które rzeźbił czas. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej.

Niby nie miał sobie wiele do zarzucenia, jednak dopadał go smutek i co najmniej przez tydzień rozmyślał o przemijaniu, chaosie, harmonii, czytał wiersze Fernanda Pessoa w oryginale, rozprawiał o próżności.

— Jesteś piękny — powiedział David zgryźliwie, przyglądając się z boku odbiciu w lustrze — ale Emilia i tak nie

będzie miała okazji cię zobaczyć nagiego, nawet gdyby miała na to ochotę.

Zgryźliwość łączyła się u Davida z nie do końca tłumioną zazdrością, bo choć polubił Emilię, tę z opowieści, fotografii, telefonów, choć zaakceptował Alana i rozumiał ból Filipa, który ma syna i jednocześnie go nie ma, choć był już wtedy z Filipem na dobre i na złe, od czterech lat, wierząc, że nawet najbardziej pokruszone życie można poukładać, to jednak obawiał się biseksualnej natury partnera i jego wyborów, dyktowanych tęsknotą i czułością.

Filip rzucił w niego ręcznikiem, nic nie powiedział, założył tylko kąpielówki i usiadł w ogrodzie, w cieniu morwy. Był zmęczony, chciał odpocząć przed tą rozmową i dobrze wyglądać. Przywiązywał wagę do wyglądu, którym mógł zatuszować stan ducha, co nieraz wypróbował, uciekając w ten sposób przed pytaniami fałszywie troskliwych.

Zamknął oczy. Od razu pojawiła się Emilia, wesola, szczeniocząca, zwiewna, ale dziwnie przezroczysta. Wydało mu się, że musnęła go włosami, chciał je uchwycić i poczuł, że są króciutkie, jak u wystrzyżonego chłopca.

Obcięła włosy? — zdziwił się oburzony. To niemożliwe, włosy były jej ozdobą, niezaprzeczalnym atutem, chyba nie pozbyła się tego, co dodawało jej blasku — pocieszył się, nie wiedząc właściwie dlaczego.

Pamiętał, jak zaplątywał się w nie, wchłaniał ich zapach, obwiązywał nimi ręce na znak oddania i zniewolenia miłosnego.



Nie chciał, by cokolwiek się w niej zmieniło.

— Może tylko zmieniła kolor — dręczył się dalej.

Emilia rudowłosa, Emilia czarnowłosa — czy dalej byłaby Emilią złotowłosą?

Słońce grzało coraz mocniej, nawet pod morwami. Rozle-  
niwił się na dobre.

— *Sur le pont, sur le pont d'Avignon...* — zanucił.

Powtarzał w myśli kolejne frazy piosenki, jakby po to, by  
ktoś zatańczył. Nikt nie tańczył. Nagle znów zobaczył Emilię.  
Stała odwrócona. Długa biała spódnica zaplatała się w opalonych  
nogach, wiatr ją podwiewał fantazyjnie. Jasne włosy  
spływały po plecach.

Podszedł cichutko.

— Emilio — wyszeptał.

Odwróciła się gwałtownie.

Nawet nie zdążył spojrzeć w jej oczy, bo od razu uderzyła go  
w twarz.

— Chodź na śniadanie — powiedział David, zdejmując  
chłodną dłoń z jego czoła.

— Widziałem Emilię — powiedział Filip, zdezorientowany  
nagłym wyjściem z drzemki — była groźna.

— To dobry znak, gdyby jeszcze od razu kopnęła cię w tyłek,  
mógłbyś być bardziej zadowolony.

— Spoliczkowała mnie.

— Bardzo dobrze, to znaczy, że spotkanie będzie udane.

David miał rację.

Było udane, i to nie tylko dlatego, że nie dostał w twarz na dzień dobry po latach. Zobaczył ją taką właśnie jak w półśnie, więc gdy podszedł, drżał cały, może nie tylko z radości spotkania, ale i ze strachu.

Wtulila się w niego jak dawniej i jak dawniej próbowała schować nos pod jego koszulę. Milczeli. Jakby pewni, że w tej chwili każde słowo będzie banałem. Do ich przytulenia po latach nie pasowało ani „dzień dobry”, ani tym bardziej „co słyhać”, ani „pięknie wyglądasz”. Musieli chwilę pomilczeć, by oswoić sytuację i poczuć, że słowa to łaska i nie będą siebie nimi krzywdzić. Zbyt wiele mieli do powiedzenia, by od razu zacząć.

W tamtej chwili świat przestał dla nich istnieć. We wspomnieniach Filip widział tylko ich dwoje na pustym moście i nie słyszał nic prócz własnego oddechu. A przecież w rzeczywistości turyści przemierzali most w jedną i drugą stronę, przewodnicy opowiadali o nim w różnych językach, w oddali warczały samochody. Emilia pamiętała wiatr, zapach róż z papieskiego ogrodu i ziół prowansalskich z pobliskich sklepików.

— Jak dobrze, że masz włosy — odezwał się pierwszy.

— Miałaś nadzieję, że będę łysa, gruba i podobna do owczarka niemieckiego?

Parsknęli śmiechem, chwycili się za ręce i wybiegli z Pont St-Bénézet, jakby mieli po naście lat i nadzieję na pierwszy

prawdziwy pocałunek. Na tarasie, przy kościele Św. Piotra, wypili pierwszą kawę.

— Zaczęły do mnie przylatywać wiersze — powiedziała cichutko, zdziwiona, a może trochę zawstydzona.

— Wiem, czytałem. Ode mnie wszystkie uciekły, za to ciągle potrafię je czytać i odczuwać, choć niekoniecznie rozumieć.

Mówił jak dawniej, kiedy zapamiętywała każde zdanie, a potem powtarzała po stokroć, co powodowało, że świat stawał się Filipem, brzmiał jak Filip, pachniał jak Filip, a ona tylko świeciła światłem odbitym.

Nigdy nie wydawała się sobie tak uduchowiona jak wtedy.

Po raz pierwszy w życiu chodziła z głową w chmurach. Po raz pierwszy w życiu czuła, że została wybrana. Śpiewała, tańczyła, załatwiała sprawy, piekła z dziewczynkami ciasteczka, myła okna i gotowała zupy. Nic nie było dla niej za trudne. Mówiono, że oszalała. Przytakiwała z uśmiechem.

Filip gładził jej rękę. Pomyślała, że kiedy jest obok, nie czuje złości, nie pamięta wyschniętych łez ani tego, że cierpiała, ani tego, jak tłumaczyła Alanowi, że tatuś wyjechał. Poddawała się dotykowi Filipa, bez użalania się nad tamtą samotną Emilią, walczącą jak lwica, pracującą w dwójnásób, przekonującą siebie, dzieci i wszystkich wokół, że nie są nieszczęśliwi.

Ból bywa dziwny — myślała — bywa jak wyrwa w pamięci, która robi z nami co chce, trudno uchwycić granicę, gdy dopada, osiąga szczyt, odchodzi. Albo — od kiedy liczyć czas, kiedy się cierpiało, a kiedy nie cierpiało? Czy taki czas w ogóle istniał?

— Czy wiesz, że nasz związek przypomina metaforę? — powiedział, zanim jeszcze spotkali się z Davidem.

— Metaforę? O wszystko bym nas podejrzewała, tylko nie o takie zbереzeństwa.

— Czasem mi się wydaje, że nas wcale nie było, a czasem, że tylko śniłem.

— Powiedz, czy jest jakaś empiryczna metoda, dzięki której moglibyśmy udowodnić, że nasz związek istnieje? — pytał ze smutkiem.

— Kiedy zobaczysz Alana, przekonasz się, że jest taka metoda.

Czy to w tamtym momencie zdecydowała, że już więcej nie będzie się upierać, by nigdy nie doszło do spotkania Filipa z Alanem? Czy wtedy zrozumiała, że swoim uporem krzywdziła wszystkich? Siebie też? Że uciekała przed faktami?

Fakty istniały, bez względu na to, czy jej się to podobało, czy nie. Ucieczki, wymówki, uniki były nędznymi szczątkami sensów. Szła przez życie uważnie, więc chciała brać fakty pod uwagę, przestać wiązać siebie w sieci utkanej z ucieczek.

Jakież radosne wydawało jej się życie z Filipem, kiedy trwało.

Wtedy mieszkała tylko z córkami. Roman już uwił sobie nowe gniazdko, nie była ciekawa jakiej. Kiedy tylko się wyprwadził, niewiele zabierając ze wspólnego mieszkania, z dzikim zapalem zabrała się do remontu, jakby zaczynała życie od nowa. Fachowca do remontu łazienki wybrała spośród pięciu polecanych.

Każdemu zadawała te same pytania. A potem zostawiała ich w łazience, z miarką, filiżanką kawy i prośbą, by w ciągu pół godziny oszacowali koszty na tyle realnie, by potem ich nie podwyższać. Od razu odpadli trzej, którzy nie potrafili podać konkretnej sumy, woleli wymieniać, ile będzie kosztował metr kucia ścian, ile metr kwadratowy kładzenia kafli, na ścianach, na podłodze, ile wymiana rur.

Wreszcie został pan Andrzej, który nie dość, że podał kwotę, to jeszcze nieprzekraczalny termin ukończenia remontu. Co najdziwniejsze: terminu dotrzymał, spóźniwszy się zaledwie dwie godziny, bo o drugiej w nocy wyniósł ostatnie torby z narzędziami. Nigdy nie żałowała, że odnowiła to mieszkanie, choć po kilku latach je opuściła, zajmując parter willi po ukończonej ciotce.

Kiedy tak chwaliła fachowca, rozmawiając z Martą i popijając kawę w teatralnym bufecie, przy stoliku obok usiadł Filip, który przygotowywał serwis fotograficzny spektaklu. Wyłapał ostatnie zdania i włączył się do rozmowy, żaląc się, że jest w zupełnie odwrotnej sytuacji. Jego fachowiec zostawił rozbebeszoną

łazienkę i zniknął na tydzień. Po tygodniu wprawdzie wrócił, ale Filip wolał nie oglądać jego zapijaczkiej fizys.

Takiego właśnie słowa użył: „fizys” — bardzo się to Emilii spodobało.

Nie przypuszczała wtedy, że dola i niedola łazienkowa może aż tak połączyć ludzi. Śmiali się potem nieraz, opowiadając historię ich nieromantycznego poznania, za każdym razem prześcigając się w jej koloryzowaniu, dodawaniu coraz zabawniejszych lub dziwniejszych szczegółów, zaskoczeni własną inwencją twórczą, i tym, że z banalnej sytuacji stworzyli pozazdroszczenia godną przygodę.

Opowieść kończył zazwyczaj Filip, dość romantycznym akcentem.

— I od czasu pierwszego szampana, wypitego w łazience Emilii, a potem w mojej, wznosimy toasty za metaforę, no bo przecież trudno wznosić je za łazienkę — uśmiechał się, podnosząc kielich z winem do góry, a wszyscy mu wtórowali: — Za metaforę!

Filip — jasnowłosy, ciemnooki, wysoki, z uśmiechem błąkającym się kokieteryjnie w kącikach ust. Był fotografikiem, nie zatrudnionym w żadnej gazecie ani firmie, bez stałego etatu, z własną pracownią, nie mającą nic wspólnego z zakładem fotograficznym świadczącym usługi dla ludności.

Przedsiębiorczy, z wyobraźnią, zatrudniany do serwisów fotograficznych i w operze, i w teatrze dramatycznym. Polecił go

Emilii ktoś z kolegów pracujących w telewizji.

Coś w niej drgnęło już przy pierwszym podaniu ręki. Serce podskoczyło, kiedy i on o sekundę za długo patrzył na pierścionek z malachitem, a potem powiedział: — Malachit, mmmm, malachit. Nie zapytała, co znaczy to mrużenie, doznała, że rozpoznał kamień. Szybko zaprowadziła go do dyrektora, pokazała mu dział kadr i wróciła do swoich zajęć. Od tego dnia przez trzy kolejne przychodziła do teatru, choć nie musiała. Była na wszystkich próbach, obserwując Filipa, nie zbliżając się jednak, ale na pewno licząc na pierwszy krok z jego strony. Zrobił go tam w bufecie przy Marcie.

Poleciała mu swojego fachowca od łazienki i od tego czasu zaczęli się spotykać także poza pracą. Na początku wyglądało to bardzo po kumpelsku, zawsze byli w grupie przyjaciół i znajomych Filipa, bo swoich Emilia właściwie nie miała. Owszem, miała dwie koleżanki, sąsiadki. Pomagały sobie przy dzieciach, zakupach, zapraszały się na pogaduszki przy kawie. Kiedy jednak Emilia została sama, okazało się, że koleżanki mniej chętnie widzą ją w swoich domach.

Przyjaźniła się tylko z Martą, ale Marta, choć praktycznie nastawiona do życia, daleka była od spraw dzieci i wszystkiego, co się z nimi wiąże. Była prawdziwą singelką w czasach, kiedy jeszcze nie używano tego słowa na określenie satysfakcjonującego sposobu na życie bez pary. Za nic miała dobre rady

rodziców i znajomych, z troską zadających pytanie o zamążpójście. Za nic uwagi o tykającym zegarze biologicznym.

Emilia podpatrywała ją z podziwem, bo też chciała dojść do takiego wtajemniczenia, dzięki któremu mogłaby zachować niezależność, realizować się zawodowo i być w związku z kimś, kto rozumie, szanuje, pragnie, podziwia, czyli kocha. Nie myślała o tradycyjnym związku, w takim już była, ale o partnerstwie. Pragnęła czuć się osobą kochaną i podziwianą bez przysięg i pieczętek. Chciała sama nadawać sens swojemu życiu i mieć kogoś, kto byłby po jej stronie, lojalnie, uczciwie, w granicach, jakie sami sobie ustalą.

Nie wierzyła w cuda i ideały chodzące po ulicach, ale tak bardzo pragnęła życia pozwalającego jej rozwinąć skrzydła, że gotowa była uciec z ram, w jakie została wtłoczona przez tradycyjne wychowanie; zgodnie z jego zasadami brudy prało się we własnym domu, przemilczało sprawy niewygodne w imię rzekomo wyższych racji, jakie powinna brać pod uwagę kobieta stworzona do noszenia krzyża i poświęcająca się dla dobra innych, mających najczęściej określoną, męską płęć. Filip utwierdził ją, że ma prawo do realizowania marzeń.

Upłynęły prawie trzy godziny ich pierwszego spaceru po la-  
tach od rozstania, czyli wyjazdu Filipa. Czuli się tak, jakby rozstania nie było. Filip pomyślał, że magia miejsca zrobiła



swoje, pomogła im nie trwać w przeszłości, tylko czuć teraźniejszość. Zatrzymali się koło fontanny, która rosła chłodem, jeśli stało się od strony rzeki. Zamówili lody i guinnessa.

— Pokażesz mi fotki, zanim dołączy do nas David? — spytał Filip.

Wyciągnęła album ze zdjęciami Alana, ułożonymi chronologicznie, z datami i gdzieś tam dodatkowym komentarzem. Przygotowała go specjalnie na wyjazd. Miała też przy sobie drugi album, w którym był Alan z dziewczynkami, podczas zabaw i wspólnych spacerów.

Filip najpierw album pogłaskał, potem otworzył. Oglądał powoli. Kiedy odwrócił kolejną stronę, twarz mu stężała, zamrugał powiekami, nie spojrzął jednak na Emilię, oglądał dalej. Z oka spłynęła mu łza — nie otarł jej, pozwolił kapnąć na stolik. Kiedy doszedł do końca, ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać. Najpierw bezgłośnie. Plecy mu dziwnie podrygiwały. Ktoś patrzący z boku mógłby pomyśleć, że się śmieje.

Emilia patrzyła na niego z dziwnym uczuciem ulgi, jakby oczekiwała takiej właśnie reakcji. Jeśli od razu nie zaczęła go przytulać, to chyba z braku pewności, ile w tym płaczu jest teatralnego patosu, który Filip uwielbiał, a ile prawdziwego wzruszenia czy bólu.

— Przepraszam, przepraszam, przepraszam — powtarzał w kółko, łkając. — Skrzywdziłem was bardzo i nic już tego nie zmieni.

– Siebie też skrzywdziłeś — powiedziała, dotykając jego ramienia.

Przytrzymał jej rękę. Ucałował.

– Jest podobny do mnie, prawda?

– Do mnie też.

Przytaknął. Jeszcze raz popatrzył na fotografie, tym razem jednak podnosząc oczy na Emilię, aby upewnić się, że widzi w niej dumę i macierzyńskie spełnienie.

– Nigdy nikogo nie kochałem i nie będę kochać tak bardzo jak ciebie, mówię to teraz, kiedy jestem z Davidem, i powtarzać będę zawsze i wszystkim.

– Wiem. Gdybym w to nie wierzyła, nie przetrwałabym ciąży i już by mnie nie było — powiedziała, pamiętając o tamtej brzemiennej nocy, rozżarzonej, rozszalałej.

Wspominała ją na różne sposoby. Najpierw była oszołomiona, bo stało się to, czego pragnęła, choć wszyscy wokół mówili, że tacy jak Filip mogą uwielbiać kobiety tylko z daleka. Potem szczęśliwa, że swoją miłością rozbudziła w nim żądę zarezerwowaną dla mężczyzn. Nabierała pewności, że gdyby nawet realizował się erotycznie z mężczyzną, to i tak nie naruszy tym ich niepowtarzalnej i jedynej więzi, ich lojalności, wierności, cóż z tego, że pojmowanej specyficznie.

Już wiedziała, że nie ma przepisu na szczęśliwy związek, więc nie szukała przepisów. Z Filipem czuła się dobra, widziała swoją wartość i nie czuła się przez to egoistką. Nauczyła się

mówić o tym, co lubi, i prosić o to, na co ma ochotę. Im lepiej umiała żyć z sobą, tym chętniej pozbywała się poczucia winy wobec męża i rozstania z nim. Wreszcie uwierzyła, że rozstanie było dla niej dobre, bo utorowało drogę do bycia sobą i tego, by spotkało ją lepsze.

Tamtej nocy zobaczyła, jak Filip w rozkoszy otwiera usta. Znaleźli klucz do swoich ciał. Zamienili się ciałami. Już nie czuła lęku, była kimś bardziej i więcej.

Skąd więc potem wziął się ten strach, skąd chęć ucieczki, skąd determinacja, że jak tego nie zrobi, to zabije samego siebie? Jaki demon mu tak podszeptywał? Dlaczego właśnie wtedy pomyślał, że jeśli pozbędzie się tego demona, to nie opuszczą go anioły? Kogo cytował — czy Blake'a, czy Rilkego, czy Winterson, czy sam to wymyślił?

Musiał ratować się ucieczką, choć nie był pewien, czy to dobry wybór. Nigdy nie myślał, by wrócić, bo wiedział, że zabiłby nie tylko siebie, ale wszystkich, których kochał. Nie można było zjeść ciastka i mieć ciastko, więc pozostało mu wierzyć, że Emilia, choć poczuje się porzucona, to nie zwątpi ani w słowa, ani w żar, który ich połączył.

Nie porzucił jej.

Uciekł ze strachu przed jej realnością, bo nagle okazała się bardziej z kości i krwi niż z duszy w przestrzeni.

Pierwszy pojawił się po to, by mógł poczuć, że jest ojcem, i zatęsknić za obrazem pierworodnego. Drugi po to, by mógł zobaczyć ten obraz, choćby na fotografii, na której Alan się uśmiechał lub wykrzywił buzię.

Został wybrany, by czekać.

Jak kobiety na swoich mężczyzn.

Jak ojciec na syna.

Miał nadzieję, że i syn na ojca.

Jak Emilia na miłość.

Kto powiedział, że kobiety cierpią najbardziej?

Jeśli tak, to on jest kobietą, choć kocha się jak mężczyzna. Jak mężczyzna z mężczyzną. Nie chciał walczyć z płomieniami, chciał tylko nie krzywdzić osób, które kocha, i nie ograniczać swojej wolności. Nie chciał krzywdzić kobiety, którą kocha, i syna.

Słońce grzało. Wysuszyło łzy. Emilia była blisko, trzymał jej rękę. Chciałby kiedyś trzymać za rękę Alana. Emilia pomyślała, że teraz będzie już tylko lepiej i że dosyć tego hodowania żalu.

Wtedy podszedł David.

— Jest rzewnie, to znaczy, że jest dobrze, topór zakopany — powiedział.

Emilia rozpoznała jego niski, bluesowy głos, ani trochę nie pasujący do chłopaka, którego sobie wyobrażała podczas telefonicznych rozmów. Uśmiechał się, przekrzywiając lekko usta w lewą stronę, co powodowało charakterystyczny i znany jej grymas.

Był kruchy i wiotki. Włosy miał jasne, nos szlachetnie zgarbiony, czoło wysokie, oczy ciemne, brwi regularnie zarysowane. Nie wyglądał na młodszego od Filipa, a może to Filip nie wyglądał na starszego. David był architektem, Francuzem z rodziców Polaków. Filip poznał go dopiero po przyjeździe do Paryża i od czterech lat byli nierozłączni, od trzech mieszkali razem.

Nie była w stanie ukryć zdziwienia.

— To ty? Naprawdę? — zapytała.

— Pytasz, jakbyś spotkała długo niewidzianego znajomego, a przecież widzimy się po raz pierwszy.

— Oczywiście, po raz pierwszy — przytaknęła, zawieszając głos, ścisząc go, jakby sama sobie nie wierzyła.

— Widocznie zdążyliście się zaprzyjaźnić przez telefon — wtrącił Filip.

— Widzę cię wprawdzie po raz pierwszy, ale mam wrażenie, jakbym patrzyła na ciebie od kilku lat — dodała, znalazłszy realne wytłumaczenie.

— Wrażenie? Cóż to jest wrażenie? Czy ono w ogóle istnieje? — David miał ochotę pofilozofować, ale Filip mu przerwał, mówiąc, że czas coś zjeść.

Spochmurniała od razu. Próbowała nie zepsuć reszty dnia, kiedy siedzieli w restauracji na Place de l'Horloge. Mało mówiła, właściwie tylko skąpo odpowiadała na pytania Davida. Nie chciała pojechać z nimi do Les Angles. Jadła po raz pierwszy

spaghetti z owocami morza. Popijała białym winem. Kątem oka zerknęła na Davida.

Niestety, Alan, jej jedyny syn, był podobny do Davida.

Wiedziała, że to niemożliwe, ale podobieństwo zauważyła od razu. Teraz tylko mogła się zastanawiać, na czym ono polega.

Nie musiała wyciągać albumu ze zdjęciami. Podobieństwo było aż nadto widoczne, tak widoczne, że dostrzegłby je każdy. Gdyby teraz Alan siedział pomiędzy nimi, wszyscy, bez wyjątku, pomyśleliby, że to syn Davida. Może dlatego nikt ze znajomych, którzy znali Filipa, nigdy nie powiedział tego oklepanego — cały tatuś, cały tatuś.

Wieczorem, płacząc w poduszkę, powtarzała sobie na głos: — Alan, syn Emilii i Filipa, Emilii i Filipa.

Czy to wtedy postanowiła, że zrobi wiele, by syn nie spotkał się z ojcem? By David nigdy nie zobaczył Alana? By Filip nie myślał, że życie może upłynąć bez kary, bez pokuty?

Że za chwile szaleństwa się płaci?

Zawsze.

Każdy po swojemu.

Chciała zapłacić każdą cenę, by ratować.

Nie wiedziała jednak co i kogo.

Z SZUFLADY EMILII (12)

<http://emily.foxyy-blog.onet.pl>

## MAGDALENA GIDE I INNE ŚWIĘTE, NAZYWANE PRZEZ NIEKTÓRYCH GŁUPIMI

Myślałam dziś o Magdalenie Gide, o tym, co czuła, gdy w podróży poślubnej jej mąż zaczął uwodzić żołnierzy jadących tym samym pociągiem. Ich małżeństwo było białe. André Gide twierdził, że prawdziwą miłością kochał tylko ją, ale pożądał młodych chłopców.

Ich małżeństwo to była przyjaźń dwóch osób, które ze sobą nie sypiają, jak powiedział Juliusz Renard. Nie jestem do końca przekonana, czy to była przyjaźń. Magdalena zemściła się okrutnie: spaliła wszystkie listy Gide'a.

Gide był specjalistą od skomplikowanych związków, które wyglądały zupełnie naturalnie, może dlatego że wszystko było w nich uczciwe. Szczerłość w ich związkach nie polegała na tym, by ranić się prawdą, wyglądającą na elegancję chamów. Myślę, że oni własne życie wykoncypowali, wyreżyserowali według siebie tylko znanych reguł, i być może to wszystkim odpowiadało.

Wyobraźcie sobie: Gide jest żonaty. Ma przyjaciółkę, Marię van Rysselberghe, która żyje jego życiem i jego twórczością. Gdy zostanie wdową, zajmie mieszkanie połączone z mieszkaniem Gide'a. Kiedy Gide był „zajęty umieraniem”, Maria zdradziła mu, że od trzydziestu lat prowadzi dziennik jego życia, w

którym zapisuje wszystko, co zdołała zapamiętać. Zależało jej na tym, by przekazać w pełni osobowość twórcy, którego pokochała w młodości i nie opuściła nigdy.

Mało tego, zaraziła tą miłością swoją córkę, Elżbietę, która urodzi Gide'owi dziecko — córkę Katarzynę, a potem wyjdzie za mąż za jednego z byłych kochanków Gide'a. Skomplikowane, prawda? Być może byli szczęśliwi w tej przedziwnej rodzinie. Każdy z nich realizował swoją wolność, ale wszyscy uwierzyli Gide'owi, artyście, który uważał, że życie jest prawdą wtedy, gdy staje się kulturą i gdy przeżywa się je tak, jakby się je opisywało, a nie na odwrót.



## ROZDZIAŁ XIII

### PARYŻ —

#### CATHERINE, YVONNE, ALAN

Stała przy oknie i patrzyła w kierunku wieży Eiffla, migoczącej światełkami. Jeszcze dwie godziny temu spacerowała wokół niej i po Polu Marsowym, bynajmniej nie żałując, że przyjechała do Paryża jesienią. Wprawdzie nie mogła zasnąć na trawniku, jak wtedy, gdy była latem, ale klimaty jesieni cieszyły ją, bo po raz pierwszy doświadczała ich w mieście, które stało się dla niej tak samo magiczne jak Avignon, choć z innych powodów.

Pod dom, na rue de la Convention 104, w XV dzielnicy, wróciła razem z Alanem i Filipem. Najpierw szli brzegiem Sekwany, a potem kluczyli różnymi uliczkami, niespiesznie, opowiadając sobie historyjki, które im się przypominały, dowcipkując, zatrzymując się nie po to, by oglądać witryny sklepów czy kawiarni, ale by bardziej skupić uwagę na opowieści, odegrać scenkę, będącą jej ilustracją.

W sklepie sieci Monoprix, na wprost domu, kupiła ciepłą bagietkę. W kawiarence na rogu wypili espresso, choć Emilia zaproponowała kawę u siebie, na siódmym piętrze. Filip zauważył, że to bardzo polski gest, takie proponowanie kawy w

domu. Przytaknęła i z ochotą usiadła przy barze, na wysokim stolku, nie dlatego by wyzbyć się polskich gestów, ale po to, by wypić mocną kawę, której w domu by nie zrobiła bez ekspresu ciśnieniowego.

Odprowadzili ją pod same drzwi mieszkania i chętnie weszli, by zobaczyć, jak Emilia się rozgościła w studiu przyjaciółki.

Alan usiadł przy biurku, na którym stał laptop matki. Filip oglądał obrazy na ścianach. Dostrzegł, że to prawdziwy Jean-Baptiste Valadie, trochę sentymentalny, ale za to przyjazny rozkołatanym duszom, malujący ciągle tę samą subtelną kobietę.

Emilia szybko zaimprovizowała małą kolacyjkę, podając carpaccio z kaparami, zielonym pieprzem, oliwą, oliwkami, zieloną sałatę z sosem vinaigrette i świeżą bagietką. Pili wytrawne czerwone wino. Podobało jej się, że znalazła sposób na usadzenie ich przy okrągłym stole w mieszkaniu, które na czas pobytu w Paryżu nazywała domem, i że dzięki temu poczuła coś rodzinnego w klimacie. Od razu zatęskniła za dziewczynkami i za Tomaszem.

Wydawało jej się, że Filip niewiele się zmienił, poza tym że wyszczuplał. Alan natomiast zmężniał, wydorósł i w niczym zewnętrznie nie był podobny do ojca. Może trochę tylko w sposobie, w jaki przechylał głowę w lewą stronę, w jaki podnosił wzrok, by patrzeć na rozmówcę. Ciągle znajdowała w nim podobieństwa do Davida, oczy, nos, postura, a teraz jeszcze i

podobnie obcięte włosy, jakby chodzili do tego samego fryzjera.

Czuła się dobrze w mieszkaniu Yvonne, choć w niczym nie przypominało domu w Katowicach, w którym spędziła kilkanaście lat z córkami i Alanem. Po rozwodzie z Romanem zajmowała ich wspólne M4 w bloku, a kiedy Alan skończył siedem lat, przejęła po ukochanej ciotce, francuskiej komunistce, parter przedwojennej willi, będącej teraz jej własnością.

W katowickim domu cieszył ją widok na ogród z okien pokoju, w którym urządziła sobie gabinet. Zieleń została ciekawie zaaranżowana przez Martę, która prócz tego, że ciągle zdobywała aktorskie laury na scenach Teatru Rozrywki, do którego zaangażowała się wkrótce po tym, jak Emilia pożegnała ich wspólny teatr, to na dodatek odkryła w sobie talent do urządzania wnętrz i projektowania ogrodów.

Emilia lubiła patrzeć na ogród i myśleć, że nigdzie nie ma widoku, w którym czułaby się równie bezpiecznie. Siedząc przy stole w Paryżu, z Alanem i Filipem, weryfikowała te myśli, bo nagle uświadomiła sobie, że w obcym mieszkaniu, z dala od Tomasza i córek, czuje się spokojnie i że to nie miejsca, lecz myśli decydują o poczuciu bezpieczeństwa.

— Mama, jak zawsze, czuje się dobrze, gdy może nas mieć przy okrągłym stole i nakarmić, zauważyłeś, tato? — Alan spojrział na Filipa, oczekując, że przytaknie, jakby znał wszystkie

zachowania Emilii, także i te rodzinne, których nie mógł być świadkiem.

Poczuła szybsze bicie serca na dźwięk słowa „tato”. Filip proponował Alanowi, by zwracał się do niego po imieniu, ale Alan nie odmawiał sobie przyjemności wymawiania słowa, którego nie miał okazji używać w dzieciństwie. Nieraz płakał, gdy jego siostry mówiły — tato, tacie, z tatą, a on, biedaczek, nie mógł, nawet gdy Roman zabierał go na wspólny z dziewczynkami spacer.

Żalił się potem mamie, wypytywał, dlaczego nie może do taty Gosi i Dorotki mówić jak one, a Emilia cierpliwie wyjaśniała, ciągle od nowa i od nowa, nie godząc się na fikcję i kłamstwo oraz obiecując synkowi, że kiedyś spotka się ze swoim tatą, a siostry ze swoim i wszyscy razem pojedą na wakacje.

Do wspólnych wakacji wprawdzie nigdy nie doszło, ale wyjaśnienia matki wpływały na Alana kojąco. Podchwytywały je też dziewczynki i kiedy trzeba było, chętnie powiełały, dodając wymyślane szczegóły i matkując braciszкови. Bazując na rodzinnych doświadczeniach, napisała potem bajkę, *Wszyscy kochają Alana*, graną w teatrach kilka lat pod rząd. Dla jednego dopisywała nawet piosenki, bo reżyser próbował zrobić coś w rodzaju musicalu.

— Tak, masz rację, stół to nie tylko mebel, ale przede wszystkim idea. Gdybyśmy go w domu nie mieli, nie wiem, czy udałoby się utrzymać naszą rodzinę — potwierdziła Emilia.

— Tak, ale bez stołu nie potrafilibyśmy się jednoczyć i spokojnie patrzeć sobie w oczy.

— Z ojcem też porozumiewałaś się przy stole? Ciekawe. Może dlatego tak długo to trwało, bo stół był wirtualny — Alan nie dawał za wygraną i komentował złośliwie, albo raczej z nutą przekory.

— No proszę, gada na własnej piersi wychowałam — Emilia zażartowała, jakby w obawie, że rozmowa zejdzie na tory, na których nie czułaby się wygodnie, bo wymagałoby to grzebania w przeszłości i jątrzenia tego, co już trochę przygasło.

— Powiedz przynajmniej, że kochanego gada, mamuś.

— Bardzo kochanego — odezwał się Filip, uprzedziwszy Emilię, która od razu spojrzała na niego karcąco. — Przyznaj, dużo czasu potrzebowaliśmy i wielu stołów.

— Dobrze, że używasz liczby mnogiej, Filipie. — Masz rację, oczywiście. Dlatego tu jestem i chciałabym, abyście mi uwierzyli, że nikomu źle nie życzyłam, choć była we mnie wściekłość, potem żal.

Przerwała, przełknęła z trudem ślinę, jakby żal znów złapał ją za gardło i dusił, utrudniając dalsze mówienie. Nie chciała się rozplakać.

Przyjechała, by przekonać się, że dobrze jest, jak jest, i że wszystko ma sens, nawet ten niepotrzebny przyływ żalości. A jednak znów poczuła złość wynikającą z bezradności. Wolałaby teraz zapaść się pod ziemię, byle tylko nie walczyć ze ściśniętym

gardłem. Pożałowała przez moment, że tak szeroko otworzyła drzwi i polskim gestem, jak powiedziałby Filip, zaprosiła ich do środka, choć nie planowała kolacji przy stole.

Już nie miała siły patrzeć wstecz i powstrzymać tego, co nadchodzi. Już chciała patrzeć tylko przed siebie, na to, co pozostaje. Zakolysała lampką z resztką wina na dnie. Filip przechylił butelkę, by jej dolać.

— Nie, nie — powiedziała — nie można dolewać, bo się złe duchy załęgną, muszę wypić te dwa łyki do końca.

Odstawiła opróżniony kielich i rozplakała się bezgłośnie. Nie przypuszczała, że ten dobry dzień, w którym żartowali i śmiali się, zakończy płaczem, jak Filip tam, w Avignonie. Nie sięgnęła po chusteczkę, by wytrzeć łzy. Nikt jej też chusteczki nie podał. Filip i Alan znieruchomieli, wstrzymując oddechy i patrząc na Emilię, która opuściła znane im ramy kobiety zahartowanej i silnej.

— Mamuś — szepnął Alan — przecież wiesz, że cię Kocham.

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego.

— Śniło mi się, że jesteś głodny — powiedziała. — Siedziałeś na swoim łóżku, tam, w naszym domu, i mówiłeś: „Mamo, jestem głodny”. A ja nie mogłam cię nakarmić, nie mogłam się ruszyć, przebić się do ciebie.

— Co ty, mamuś, przecież ptasiego mleka mi nie brakowało. Niczego mi nie brakowało.

— Niczego prócz ojca, Al. Miałeś dużo mojej miłości, bo chciałam cię zachować dla siebie i ukarać twojego ojca za to, że nas zostawił i wyjechał, choć nas kochał.

— Nie płacz, proszę. Jeszcze mamy czas. Może nawet dużo czasu, nie sądzisz? — Filip wziął jej dłonie w swoje.

Pocałował wystające kostki.

— Przestańcie, zachowujecie się jak dzieci. Mam pomysł, potrzebne nam są czyny. Trzeba zrobić coś wielkiego. Wspólnego. I czystego. — Alan wyraźnie próbował przełamać nastroj humorem.

— Wiem. Zatańczyć tango na Trocadéro — powiedziała od razu, przypominając sobie zabawę z dzieciństwa, która polegała na tym, by dać najbardziej oryginalną odpowiedź.

— Obawiam się, mamo, że czasy, kiedy wygrywałaś w zga-dywanek, minęły. I teraz trudno ci będzie mnie przeskoczyć.

Potem zrobił tajemniczą minę, spojrzał na ojca pytająco. Filip uniósł brwi, lekko pokręcił głową, co mogło znaczyć tylko tyle, że jeszcze nie pora o tym rozmawiać. Gdyby to było kilka lat temu, uparłaby się i tak długo wypytywała, aż by zmiękł i zdradził wszystko od razu. Teraz trzymał z ojcem. Zauważyła ich komitwę już wcześniej, wylapywała znaki, szyfry nie mające nic wspólnego z kamuflażem, raczej z podobnym patrzeniem na sprawy i używaniem tych samych tonacji.

- Nie powiesz?
- Musisz poczekać do jutra.
- Nie wytrzymam, powiedz choć trochę – próbowała podchodów.
- Ani ciut-ciut.
- Już zaczęłaś i gdyby nie znaki od Filipa, tobym wiedziała.
- Jutro.

Wiedziała, że nic nie wskóra. Była zmęczona po całym dniu spędzonym poza domem. Kiedy wyszli, leżała na łóżku w sypialni, oglądając wiadomości we francuskiej telewizji i wsłuchując się w słowa, których nie rozumiała, choć brzmienie lubiła tak bardzo. Nie przeszkadzało jej, że wciąż rozumiała zbyt mało. Nie zasnęła.

Wstała, by zaparzyć melisę przywiezioną z Polski. Zawsze zabierała w podróż herbatę yunnan, melisę, małą grzałkę, mieszczącą się w filizance, i kilka tabletek aspiryny oraz ibuprofen, wszystko na wszelki wypadek i by się nie prosić, tylko mieć pod ręką. Tym razem dołożyła antybiotyk, który brała już w szpitalu, i piascedine, nie zrezygnowała z reszty ekwipunku, choć wiedziała, że u Yvonne będzie wszystko, łącznie z polskimi lekami. A poza tym jej André był lekarzem. Sprawnie połknęła trzy tabletki naraz i popiła szklanką wody z kranu, na co mogła sobie pozwolić w Paryżu i nigdzie w Polsce.

Antybiotyk odbierał jej siły, jednak zażywała przepisane dawki, rano i wieczorem, z przekonaniem, że jeśli nawet nie



będzie miał pozytywnego wpływu na chorobę, to może wytrzebi z organizmu ewentualne zapalenia i zapobiegnie tym, które mogłyby się przyczepić. Kiedy zaczynała wątpić w skuteczność zażywanych leków, pocieszała się, że jest już w wieku, w którym wypada się dokarmiać farmakologicznie i traktować tabletki jako naturalny suplement diety, cokolwiek miałyby to oznaczać.

Wyszła na balkon, ale wieczór był zimny i wilgotny, szybko więc wróciła do mieszkania, zamykając szczelnie drzwi balkonowe, także domykając drugie, w części sypialnianej. Odkręciła kaloryfery na największą liczbę kresek. W oknach nie było firanek, nie spuściła rolet, więc siedząc przy stole i pijąc melisę, widziała migoczącą wieżę Eiffla. Zaglądała też do okien w domach naprzeciwko.

Lubiła podglądać życie, kiedy była w obcych miejscach. Patrzyła, by tworzyć historie ze strzępów, które pokazywało oświetlone okno bez zasłon. Nie robiła tego potajemnie, bo siedziała w oświetlonym pokoju i gdyby ktoś chciał, mógłby również na nią patrzeć.

Pamiętała kilka takich okien. Na przykład to na ulicy Kobylńskiego, naprzeciw domu Filipa, należące do znanego malarza, którego obraz *Kawiarnia niebieska* kupiła wprost od tego artysty, bo zachwycił ją na wernisażu tak bardzo, że po raz pierwszy poczuła wewnętrzny nakaz wydania każdej sumy,

choćby przewyższała jej możliwości. Spotkało się to potem z komentarzem byłego męża, że wydaje pieniądze na głupstwa zamiast na dzieci. Na szczęście już wtedy potrafiła się bronić i użyła słów „lokata kapitału”, które podziały na Romana na tyle przekonująco, że nie wygłaszał dalszych uwag o dysponowaniu przez nią osobiście zarobionymi złotówkami.

Obraz wisi w sypialni, na wprost dużego łóżka, obok kilku innych kupionych pod wpływem podobnego impulsu. Lubi patrzeć na nie, kiedy się obudzi, pijąc kawę i czytając poranną dawkę książki leżącej na nocnym stoliku. Jeśli tak może rozpocząć dzień i jeśli obok jest Tomasz, czuje się pogłaskana przez życie.

Pamięta też inne okno w Paryżu, w XIX dzielnicy, kiedy to mieszkała z Tomaszem na rue de Crimée pod numerem 177. Co noc, po godzinie 22, w sąsiednim oknie, na wprost ich sypialni, zapalały się żarówki w ogromnym kryształowym żyrandolu, ukazując salon oraz fortepian stojący na środku.

Siadała przy nim dziewczyna o czarnych włosach, spadających do połowy pleców, i rozpoczynała koncert. Dopóki tylko grała, słuchali z przyjemnością, tym większą, im częściej wykonywała kompozycje mistrzów, szczególnie Mozarta. Potrafiła tak koncertować do pierwszej w nocy. Zdarzało się też, że śpiewała najpiękniejsze arie świata, stojąc przy fortepianie i dotykając go prawą ręką, a drugą ugniatając przeponę. Tomasz

był zachwycony nie tylko jej głosem, ale i kondycją, bo potrafiła śpiewać bez przerwy przez godzinę albo i dłużej.

Emilia zachodziła w głowę, jak to możliwe, skąd ma tak dobry akompaniament, a Tomasz ją uspokajał, że to playback. Jednego wieczoru dziewczyna śpiewała przez dwie godziny, a po piętnastominutowej przerwie następne dwie. Wtedy Emilia zaczęła znowu się zastanawiać, jak to możliwe, węszyć podstęp, a potem obsesyjnie czekać na to, czy pojawi się następnego wieczoru. Po siedmiu dniach i nocach, jak w bajce, poszła do kamienicy z zamiarem porozmawiania ze śpiewaczką i sprawdzenia z bliska tego, co widziała z okna. Naciskała wszystkie przyciski domofonu, choć w kamienicy jaśniały tylko trzy okna.

Nikt nie odpowiedział. Rano próbowała dowiedzieć się od konsjerżki, kim jest śpiewająca dziewczyna. Konsjerżka uparcie twierdziła, że żaden artysta tu nie mieszka, a śpiewaczka tym bardziej, bo przecież by słyszała śpiew. Emilia nie wyjaśniła tej zagadki do końca pobytu i może uwierzyłyby w omamy, gdyby tego samego nie widział i nie słyszał Tomasz.

Po powrocie napisała opowiadanie, którego bohaterką była głuchoniema dziewczyna. O tej samej godzinie, co wieczór, wcielała się w operową dive, podstawiając swoją postać pod głos którejś ze znanych śpiewaczek. Opowiadanie włączone zostało do zbioru *Bella, bella donna*, który przyniósł jej niezły

dochód, a co ważniejsze, spotkał się z uznaniem nie tylko czytelników, bo do tego była przyzwyczajona, ale i krytyków.

Wydawca reklamował te opowiadania jako opowieści o kobietach „nie ogarniających świata”, krytycy natomiast widzieli w nich „mystykę przypadku, złożoności ludzkiej psychiki i samotności”, a także „klaustrofobiczne studium izolacji”.

Kobiety w swoich książkach Emilia często kreowała na neurotyczne dziwaczki, ogarnięte pasją samodoskonalenia, uczestniczące w warsztatach samorealizacji, terapiach grupowych. Ciekawe, że wśród poddających się terapii czy doskonaleniu nie było mężczyzn, a jeśli już, to występowali w roli terapeutów-przewodników.

Filip nieraz przekonywał Emilię, że powinna chodzić z głową w chmurach, co robiłby każdy mężczyzna odnoszący choć połowę jej sukcesów. Potrafił być spostrzegawczym i wnikliwym obserwatorem, a kiedy się zapominał w wygłaszaniu własnych teorii, nie przebiegał w słowach i stawał się Filipem siepaczem, któremu inwencji słownej w opisywaniu związków erotycznych mógłby pozazdrościć sam Henry Miller.

Dodawał jej wiary w siebie, uczył ją otwartości, kontaktu z własnymi uczuciami i akceptowania własnej seksualności.

— Twój brzuch jest niedoskonały? Wolałabyś bardziej płaski i szcuplejszą talię? Dziewczynyno, opanuj się! Podziękuj

naturze za rzekomą niedoskonałość figury. Dzięki temu nie jesteś lalką z sex shopu. Twój cudny brzuch nosi ślady życia. Twoje asymetryczne brwi dodają tajemniczości spojrzeniu. Zgrubienia po szwach w kroczu? Kochana, wiesz, że są kobiety, które marzą, by doświadczać tego, o co ty już jesteś bogatsza?

— Seks jest dla ciebie świętością? W porządku, świetnie. Ale pamiętaj, że kogoś godnego miłości spotykasz dwa, trzy razy w życiu, a hormony działają cały czas, codziennie. Dlatego ci, co nie znajdują miłości, poszukują przygód, kobiety też, kochana, ale są bardziej zakłamate od mężczyzn i nie wiedzą, gdzie upchnąć własną seksualność, by nie były nazwane dziwkami lub nimfomankami.

Potrafił tak mówić długo. Słuchała go jak baśni z tysiąca i jednej nocy. W małżeństwie doświadczała upokorzeń i choć zawsze pragnęła bliskości, nie miała pojęcia, jak ta bliskość może wyglądać i czym być, także z czego wynikać i z czym się wiązać.

Przez całe lata walczyła ze swoją seksualnością. Nieraz marzyła o klimakterium, mając nadzieję, że wtedy hormony dadzą jej spokój, będzie mogła obojętnie przechodzić obok mężczyzn prężących mięśnie i oblizujących się na widok jej biustu. Mało tego: będzie mogła nie zwracać uwagi na ich oczy, usta i tyłki i nie wyobrażać sobie, jak by to było, gdyby poszła z nimi do łóżka i urzeczywistniła swoje fantazje.

Ciekawe, że wspominała prawie wyłącznie smutki, zady. Na pewno były w jej życiu radosne chwile.

Musiałyby je jednak wyluskiwać na siłę, wydobywać z zakamarków pamięci. Próbowala i to właśnie okazało się najtrudniejsze. Łatwiej było uważać się nad sobą. Tak widocznie bywa, że radość nie przyciąga uwagi i nie rozpamiętujemy jej. Wyobraźnię podsyca zło i ból. Nawet bajki kończą się owym „żyli długo i szczęśliwie”. Długo i szczęśliwie, czyli tak nudno, że nie ma o czym pisać.

Nie cierpiała filmów, które kończyły się w miejscu, gdzie powinny były się zaczynać. Pocałunek, oddalenie kamery i dalej już tylko sielanka. Sielanka, czyli co? — próbowała uruchamiać wyobraźnię. Jak mogłaby wyglądać codzienność, w której ścierają się dwa światy, dwa charaktery, doświadczenia wyniesione z różnych domów czy kultur — czy tylko szczęśliwie, sielankowo?

Co powoduje, że ludzie trwają w związkach, a co, że się rozstają — czy miłość, czy odpowiedzialność, czy wspólny cel, czy potomstwo, czy lojalność, czy układ? Filmy ze „ślubnym” happy endem zatrzaśniały drzwi przed prawdziwym dramatem, który miał szansę zaistnieć.

Jak udało jej się wychować dzieci? Jak Alana? Kiedy ten czas minął i jak to zrobiła, że trzymała wszystkie sznurki, tocząc jednocześnie walkę z byłym mężem, rodziną, której stała się zakałą, bo przecież jaki to wstyd, pierwszy rozwód w rodzinie.

Skąd ma pieniądze na życie? — przecież kobiety tyle nie zarabiają. To niemożliwe, by żyć z teatru i pisania, wszędzie, ale

nie w siermiężnej Polsce. Sukces? Jaki sukces? Kobieta może być dobra najwyżej w łóżku, a wiadomo, że w łóżku to dobra powinna być tylko kurwa, mówiąc wprost, ale przecież taka jak ona nie zasługuje na nic innego, jak właśnie mówienie wprost, bo czasem, niestety, trzeba nazwać rzeczy po imieniu.

Emilia potrafiła godzinami układać fikcyjne dialogi, których fikcja miała oczywiście źródła w strzępach rzeczywistości. Podsycała wyobraźnię, karmiła ją „gdybaniem”, co nie zawsze było z korzyścią dla jej ego, za to czasem z korzyścią dla tego, co pisała.

Ciekawe, że ludzie łatwiej wierzyli w światy wymyślone niż w fakty. Raz tylko napisała książkę opartą na faktach, której bohaterowie byli najprawdziwsi, ich historie wybrała spośród dziesiątek innych o wiele bardziej okrutnych, ponieważ nie chciała epatować okrucieństwem. A jednak — niektórzy z czytelników nie wierzyli, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Prawda kole w oczy daleko bardziej niż fikcja. W fikcję można uwierzyć, bo jest prawdopodobna, fakty natomiast rażą okrucieństwem, więc wygodniej uznać je za wytwór autora, chcącego oszołomić czytelnika czymś prawdziwszym niż życie, które nie nadąza za życiem.

Emilia wypijała kolejną melisę, po której ani trochę nie poczuła się senna. Oddychała z ulgą, jakby pewniejsza, że obyczajowe piekło ma już za sobą, tak przynajmniej myślała. Wśród

kolejnych pokoleń skrzywdzonych coraz częściej spotykała ludzi gotowych przejść swoich dwanaście kroków, które powinny być podstawą każdej terapii, nie tylko antyalkoholowej, poddać się totalnej wiwisekcji, zrozumieć, wyciągnąć wnioski, przyznać się do win i zadośćuczynić, a przynajmniej próbować.

Wierzyła w rozmowę, jak niektórzy w grzechów odpuszczenie i ciała zmartwychwstanie. Wierzyła w dobroć i poezję. W słowo. Miała nadzieję, że część tej wiary przekazała dziewczynkom i Alanowi. Bo skąd inaczej wiedzieliby, co robić, jak o siebie walczyć? Szczególnie Alan. Niezły zgotowała mu los. Zgotowali mu los: ona i Filip.

Alan wydawał się najbardziej poukładanym mężczyzną w ich rodzinie. Mógłby być zawodowym negocjatorem. Już jako szesnastolatek objął w domu rząd dusz. Kiedy wszystkie skakały sobie do oczu, wykrzykując nie tylko bieżące żale, ale także te sprzed tygodnia, miesiąca, nawet roku, o czym żadna nie pamiętała, prócz tej, która czuła się skrzywdzona, Alan mówił zdecydowanie: — Koniec wrzasków, teraz usiądziemy i porozmawiamy, każda powie, o co jej chodzi, a ja tego wysłucham.

Jego pluszowy głos działał najpierw jak zimny prysznic, a potem koił jak kompres z rumianku. Alan potrafił słuchać. Pozwalał się Dorocie „wypiekląć”, Małgosi ułatwiał wyartykułowanie pretensji, bo w domu była skryta, otwierała się łatwiej



w teatrze, matkę ośmielał do tego, by też mówiła o sobie. W ten sposób udawało im się nie tyle wyzbyć wzajemnych oczekowań, ile je pogodzić i dopasować do własnych spraw.

Emilia najpierw się dziwiła, jak on to robi, ale szybko zrozumiała, że mniej ważne jest jak, skoro jego postawa dyscyplinuje rodzinę. Nie szczędziła mu pochwał w obecności sióstr, co one przyjmowały bez zazdrości, jakby wszystkie kobiety w tym domu radował fakt, że nareszcie jest w nim mężczyzna. Bynajmniej nie była to w ich przypadku tęsknota za porządkiem patriarchalnym, ale za porządkiem w ogóle.

Nie miał przyjaciół. Kiedy mu Emilia zwróciła uwagę, oburzył się i wymienił co najmniej piętnaście osób, z którymi jest zaprzyjaźniony w realu, nie licząc przyjaźni wirtualnych. To są zaledwie twoi znajomi, koleżanki, koledzy, powiedziała, ale natychmiast podał jej dziesięć argumentów świadczących o tym, że odróżnia znajomość od przyjaźni, i to od czasów dzieciństwa, w którym dzięki bajkom pojął, czym jest osvajanie.

Już gotowała się, by mu powiedzieć, że nie ma dziewczyny, swojej jedynej róży, szukała tylko słów, które by go nie uraziły, ale zanim je znalazła, ubiegł ją, uśmiechając się słodko-przekornie i mówiąc, że na dziewczynę przyjdzie czas, w co wierzy, choć o tę jedyną niełatwo.

Alan był inny. Bardzo wrażliwy, a jednocześnie bezwzględnie walczący o to, co sobie zaplanował.

Był dorosły od dziecka i Emilia nieraz myślała, że w przyszłości to się na nim zemści i ucieknie w beztroskie dzieciństwo.

Emilia miała nadzieję, że syn zacznie studiować psychologię, co było jej marzeniem, ale jak się okazało, nie było marzeniem Alana. Zgromadziwszy całkiem pokaźną biblioteczkę książek z tej dziedziny, powiedział, że ma ochotę studiować języki obce.

Był to rozsądny wybór, któremu nie chciała się sprzeciwiać, tym bardziej że miał ku temu szczególne zdolności. Jako dwunastolatek rozmawiał po angielsku swobodnie, a i po francusku niezle. Wybrał jednak romanistykę. Zaczął studiować na Uniwersytecie Śląskim, co Emilię z racji miejsca cieszyło, ale niedługo, bo potem przeniósł się do ojca, do Paryża.

Powiedział jej o przeprowadzce dopiero wtedy, gdy już wszystko było zaklepane. Myślała, że wszystko załatwiał poza nią, jakby spiskując z ojcem. Wielekroć potem o tym rozmawiali, ale tym razem Alan był w odczuciu Emilii mało przekonujący, jakby utracił dar perswazji lub nie miał ochoty na wyjaśnienia, widząc, że matka i tak wie swoje i zamyka się na jego racje, przekonana o zamachu na ich rodzinne *status quo*.

Spojrzała znów w okno, w dół ulicy, na bistro na rogu. Przez oświetlone szyby zobaczyła kilka osób siedzących przy barze, kilka przy stolikach, migoczący ekran telewizora. Było już po dwudziestej drugiej, a życie kwitło, nie to, co w jej mieście.

Nagle narzuciła na siebie skórzaną ramoneskę, zawiązała fioletowy szal, przez ramię przerzuciła małą torebkę, kupioną na Allegro, złapała klucze — i wyszła.

W bistro usiadła przy stoliku, by patrzeć na ludzi, powracających do domów lub spacerujących z małymi pieskami, najczęściej yorkami, zamiatającymi długimi włosami chodnik. Było sucho i ciągle ciepło, ciepłej niż w Polsce, gdzie już spadł śnieg i oczywiście zaskoczył drogowców.

Trzymała w ręce lampkę z prawdziwym koniakiem. Wyciągnęła telefon z kieszonki torebki i wybrała przycisk do Tomaszka. Po trzech sygnałach usłyszała jego głos.

— Jeszcze nie śpisz, Emi? — zapytał zdziwiony.

— W Paryżu się o tej porze intensywnie żyje, Tomaszku. Siedzę w bistro na rogu rue de la Convention i avenue Felix Faure, pamiętasz?

— Tak, to tam gdzie zawsze pijaliśmy espresso po wyjściu z metra, ale nie powiesz mi, że o tej godzinie pijesz kawę.

— Lepiej, piję hennessy. Nie mogłam zasnąć.

— Przecież bierzesz antybiotyk, chyba nie przerwałaś kuracji?

— Jasne, że nie, przecież jestem rozsądna.

— Bardzo, skoro popijasz go alkoholem.

— Aleś ty marudny, gdzie twój hippisowski luz? Myślę, że koniak w tak małej dawce wzmocni działanie lekarstwa, nie sądzisz?

– Nie szalej, boję się o ciebie.

– Wszystko dobrze, zaraz wrócę do domu, przecież to tylko przez ulicę. Szkoda, że ciebie tu nie ma. Jak fajnie tak wyjść wieczorem na małe co nieco, ludzie się nie śpieszą, odpoczywają, cicho tutaj, jakoś tak łagodnie.

– Jak Alan?

– Dobrze. Wszystko dobrze, jak zawsze zrównoważony, pogodny. Wybiera się do nas na święta. Jestem spokojniejsza, dobrze, że przyjechałam. Jutro ma mi zrobić niespodziankę, był tajemniczy i filuternie uśmiechnięty.

– Emi, przytulam cię mocno na dobranoc, idź już spać, dobrze?

– Tak, już dopijam ostatni łyk, ależ się rozluźniłam, chyba zrobię mycie pierwszego stopnia i do łóżeczka, odezwę się jutro.

– Aha, przyszedł list od Edy, mogę go otworzyć, zeskanować i wysłać, jeśli chcesz? Pomyślałam, że list od Edy to dobry znak.

– Bardzo chcę, wyślę jej kartkę z Paryża.

Kiedy wychodziła, barman powiedział po polsku: „Do widzenia”. Uśmiechnęła się. Nie mogła lepiej zakończyć tego długiego dnia. Mogłaby mieszkać w Paryżu, pomyślała, ale najwyżej trzy miesiące w roku, bo dłużej by nie zniosła rozłąki z córkami i wnukiem, szczególnie z wnukiem.

Tak jak obiecała Tomaszowi, szybko poszła spać i spała długo, bo do siódmej piętnaście, co w obcym miejscu prawie

jej się nie zdarzało. Dzień rozpoczęła leniwie od kawy ze śmietanką, pitej przy stole, ustawionym przy oknie. Monoprix był jeszcze zamknięty i układano w nim świeży towar. Paryż budził się później. Dopiero o dwunastej była umówiona z Yvonne, na rue de Marignan, w l'Entrecôte de Paris, a o siedemnastej, na rue de l'Ancienne Comédie w Le Procope, z Filipem i Alanem, musiała więc sensownie ułożyć dzień.

W mieszkanku było ciepło, więc po kąpielu nie musiała się od razu ubierać i mogła odebrać pocztę, siedząc w jedwabnym szlafroku. Nie otwierała listów od czytelników, odpowiedziała tylko na trzy z redakcji kolorowych pism: z propozycją wywiadu, wypowiedzią do rubryki „Co sądzisz o...” oraz prośbą o krótką opowieść na temat „Twoja najsmutniejsza Wigilia”.

Na koniec zostawiła list Edy, jak zwykle poetycko górnołotny, tym razem głaszczący ją tak, że uśmiechnęła się do każdego słowa z osobna:

*Emilio,*

*to święto spotkać Ciebie w tym strumieniu codzienności, gdzie Twoje drogi szczerze, proste, pełne obłoków i internetu, a Twoja dusza przepelniona moszczem świętości. Szczęśliwy Tomasz, może z Tobą dzielić obłok. W jednej kobiecie kobiety wszystkich epok. Z Tobą dobrze i w kawiarni, i w samochodzie. Od Ciebie elegancji mogą się uczyć ministrowie i ministraci...*

— Ministrowie i ministranci. Cała Eda — pomyślała i połączywszy z sobą słowa „świętość”, „obłok”, „ministrant” — postanowiła pojechać najpierw do kościoła Sainte Rita, na rue François Bonvin, bo to blisko, metrem z Convention do Volontaires, ciemnozieloną linią na mapie, na drugim przystanku wysiadka.

Płatanina linii wielopoziomowego metra była dla niej ciągle ósmym cudem świata. Lubiała się zachłystywać metrem „kolorystycznie”, na przykład na zielono lub czerwono, co znaczyło, że wybierała sobie tylko te kolory linii i wysiadła, gdzie jej się chciało. Dziś musiała poskromić te zapędy, ale spodobało jej się, że zacznie dzień od zielonego koloru.

Po drodze kupiła czerwoną różę, symbol Świętej Rity od Rzeczy Niemożliwych. Kościółek, pełen wotów i zapalonych cienkich, długich świeczek, odnalazła bez trudu, odwiedzała go po raz trzeci. Była dziesiąta rano, myślała, że będzie sama, ale okazało się, że modliło się w nim kilka czarnoskórych kobiet, które uśmiechały się do niej, kiedy przechodziła obok i kiedy zapalała świeczkę. Jedna z nich pokazała jej księgę z podziękowaniami.

Emilia widziała ją i poprzednio, ale nie poczuła wtedy podszeptu, by zapisać podziękę. Teraz wzięła długopis z ręki kobiety i napisała szybko: „Święta Rito, dziękuję za wszystko, co otrzymałam, i za to, co otrzymać mogę, choć nie wiadomo, czy na pewno”.

Wyszła szybko i zatrzymała się dopiero przy rue Lecourbe, w barze Au Roi du Café. Zamówiła kawę za niespełna dwa

euro, chyba najtańszą w całym Paryżu, i rogalika z masłem za trzy euro. Nie jadła w domu śniadania i teraz poczuła lekkie ssanie w żołądku. Jadła powoli, przeglądając „Le Monde”. Połknęła poranną dawkę leków, zostawiła pieniądze na talerzyku, rachunek schowała do torebki.

Przed wyjściem skorzystała z toalety, którą zapamiętała, bo był w niej baldachim w kolorze bordo ze złotymi frędzlami, a w lustrze wyświetlano film reklamowy. Mogła iść na spotkanie z Yvonne, a raczej jechać metrem aż do Champs-Élysées-Clemenceau, z przesiadką na Montparnasse.

Podobało jej się w Yvonne jeszcze i to, że będąc zawsze w biegu, z wieloma sprawami do załatwienia i w wielu biznesach, potrafiła się zatrzymać na godzinę, na dwie, jeśli tak zaplanowała, a już zawsze na piętnaście minut, by w spokoju wypalić papierosa i wypić małą kawę.

Palila zawsze w milczeniu i choć zdawać by się mogło, że obserwuje siedzących obok, to jednak była tylko w swoim świecie. Może doglądała plantacji bananów albo kupowała posiadłość w Polsce. Sprawiała wrażenie pozornie nieobecnej, ale tylko przez określony czas, a potem wracała do działań, perfekcyjnie pociągając za wszystkie sznurki.

Niekiedy uśmiechała się, jakby wiedziała więcej i jakby nie było już w niej lęku, tylko zdziwienie lub niepewność.

Miała w sobie wewnętrzną siłę i blask, była uparta w sposób mądry, co dawało jej możliwość mierzenia się ze sprawami, o które warto było walczyć. Innymi nie zwracała sobie głowy, wymazywała je nowocześnie, jednym kliknięciem komputerowej myszki.

Kiedy się uściskały i usiadły na wprost siebie, Yvonne patrzyła na przyjaciółkę przenikliwie, zdając się widzieć to, co Emilia chciała ukryć. Nie było w tym wścibstwa, tylko współodczuwanie i łagodność dodająca odwagi do mówienia.

— Nie wiem, czy powinnam im powiedzieć o chorobie, jak myślisz, Yvonne?

— Przecież kochasz syna. Myślę, że i Filipa darzysz dobrymi uczuciami.

— Właśnie dlatego chciałabym im oszczędzić zmartwień.

— Nie o to chodzi w miłości. Nie możesz ukrywać przed bliskimi choroby, której sobie nie wybierałaś. Im prędzej powiesz wszystkim, tym lepiej dla ciebie i dla nich, bo normalniej. Jeśli się boisz, to powiedz im, że się boisz, i poproś o wsparcie.

— Poproś?

— Tak, najwyższy czas, byś się nauczyła prosić. Sama mówiłaś, że aby pisać, musiałaś się nauczyć zagłębienia w przeszłość. Wtedy mogłaś ruszać do przodu bez sypania soli na otwarte rany. Teraz też musisz znaleźć sposób, przecież wiesz, że w rodzinie nie może być tabu, bo żal i strach się przeleje na następne pokolenia.



– Masz rację, wyobrażę sobie, że piszę kolejny rozdział własnego życia, wtedy łatwiej się zdyscyplinuję i ogarnę.

– Zrób, co chcesz, nawet podziel ten rozdział na podrozdziały, ale nie milcz, nie ukrywaj, nie motaj.

– Yvonne, jakie to trudne, wolałabym kamienie na ulicy łupać.

– Trudne, bo się boisz. Choroby i tego, że zostaniesz odrzucona, ponieważ zachorowałaś.

– Ależ ci się mądrze gada, jestem modelowym przykładem z poradnika psychologicznego.

– Ty nie potrzebujesz rad, tylko ciepła i miłości. A jak trzeba, proś, bo nawet twoi przyjaciele nie mają oczu dookoła głowy i wszystkiego nie widzą.

Yvonne paliła długie, cienkie papierosy. Emilia nie znosiła dymu, ale lubiła patrzeć na Yvonne palącą, obracającą papierosa w palcach, co przypominało bardziej zabawę niż nałóg. Yvonne mogłaby pracować w telefonie zaufania, bo potrafiła słuchać i prześwieślać rozmówcę.

Po rozmowie z Yvonne było jej i smutno, i lekko. Spacerowała ponad półtorej godziny wzdłuż Sekwany. Było ciepło, mogła rozpiąć kurtkę i rozluźnić szalik. Nawet rękawiczki trzymała w dłoni. W kilku małych sklepikach w okolicach placu St Michel kupiła parę słodkich drobiazgów, z myślą o dziewczynkach (ciągle tak je nazywała, przynajmniej w myślach), wnuku i Tomaszu. Wreszcie, zmęczona, głodna i podniekscytowana tym, co ją za chwilę spotka, weszła do Le Procope,

niegdyś miejsca spotkań francuskich encyklopedystów.

Mimo że przyszła piętnaście minut wcześniej, Alan i Filip już czekali. Obok Alana siedziała dziewczyna, która na widok Emilii podniosła się, odrzucając gestem wprawnej modelki burzę rudych, kręconych włosów. Ten kolor Emilia zauważyła natychmiast, ponieważ uwielbiała rudość we wszystkich odcieniach, a najbardziej w intensywnej miedzi. Nieraz myślała o tym, by zmienić się w rudzielca, ale nie zdobyła się na to.

— Mamuś, to jest Catherine, moja dziewczyna, a właściwie narzeczona, przyszła matka naszego dziecka, które urodzi się za sześć miesięcy — wyrecytował Alan jednym tchem.

— *Bonjour* — powiedziała Catherine niepewnie, czekając na ruch ze strony Emilii.

— Catherine nie zna polskiego, ale zna angielski — dodał Filip.

— Catherine, czyli Kasia, witaj, Kasiu, witaj, Catherine — Emilia nie podała dziewczynie ręki, tylko od razu ją uściskała i przytuliła.

Usiadła naprzeciw Alana i Catherine, po lewej stronie siedział Filip.

— Wybaczcie, ale muszę ochłonąć. To jest ta niespodzianka, tak? Czy może jeszcze coś się wydarzy? Nie uprzedziłam was, że mam nadciśnienie, więc muszę ochłonąć, kochani, muszę ochłonąć i za chwilę mi wszystko opowiecie. Jakaż ona

pięknie miedziana, po prostu królowna. I ta królowna jest narzeczoną mojego syna? Niesamowite.

— Naszego syna — poprawił Filip.

— Mamo, przyjedziemy razem na święta, bo bardzo chcę przedstawić Catherine siostrom, a w lecie, mamy nadzieję, dziewczyny przyjadą do nas.

Emilia zwróciła uwagę na liczbę mnogą, której używał Alan.

— Mój mały Alan będzie ojcem? To niesamowite, to wspaniale — powtarzała. — Taki młody jesteś, Alanie.

— Ale za to Catherine jest starsza ode mnie o sześć lat, więc wszystko się wyrównuje.

— Jak długo jesteście razem, mówcie o sobie, bo chciałabym się jak najwięcej dowiedzieć.

— Pół roku, mamuś, całe wspaniale pół roku, Catherine jest asystentką na uniwersytecie, prowadziła moją grupę.

— I gdzież wy będziecie mieszkać? Kiedy weźmiecie ślub?

— Oj, mamo, jak ty po polsku myślisz. Nie martw się na zapas.

— No właśnie, o to się nie martw, o nic się nie martw, oni są dorośli — włączył się Filip. — A jeśli pamiętasz, w naszym życiu różnie się układało, ale nigdy nie brakowało nam mieszkań. Może czasem rozsądku albo wyrozumiałości, jednak mieszkania zawsze były.

— Jeśli natomiast chodzi o ślub, to weźmiemy go, jak najbardziej weźmiemy, już mamy ustaloną datę siódmego stycznia. Jesteś spokojniejsza, mamuś?

— Bardzo się cieszę, Catherine, bardzo.

— Możemy zacząć kolację, ja jestem głodny — powiedział Filip.

— A ja muszę się czegoś napić, bo mi całkiem zaschło w gardle, i jak ochłonę, to z ochotą coś zjem, byłam bardzo głodna, kiedy tutaj szłam.

Kelner podał wytrawnego szampana.

— Za miłość... i za metaforę — Filip trzymał oszroniony kielich szampana w górze, patrząc najpierw na młodych, potem na Emilię.

Uśmiechem dała mu znać, że pamięta ich toasty z dawnych lat. Do stolika podszedł David, którego młodzi przywitali jak wyczekiwanego przyjaciela.

Kiedy patrzyli w menu, Alan szepnął do Catherine, przygarniając ją ramieniem: — *Tu vois, je t'ai dit que pour maman ce sera une joyeuse surprise, car au fond elle appréhendait que je sois un homosexuel, comme papa*<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> Widzisz, mówiłem, że mama przyjmie niespodziankę z radością, bo w głębi duszy bardzo się bała, że jestem homoseksualistą jak ojciec (franc).

— Wiem, co powiedziałaś, Alanie, mój francuski jest ciągle marny, ale coraz więcej rozumiem. — Emilia zareagowała od razu, nie ukrywając irytacji.

Alan się wyraźnie spieszył.

— *I know that homosexuality doesn't run in the blood, Alan, but you're right, there is a sort of anxiety and fear inside me*<sup>2</sup> — dodała, patrząc na Catherine. — Przyjechałam tutaj, bo chciałam was zobaczyć razem, ciebie, Filipa i Davida. Nie przyjechałam na przeszpiegi, próbuję tylko zrozumieć naszą rodzinę. Zrozumieć, bo zaakceptowałam już dawno. Poza tym przyjechałam, by powiedzieć, że jestem chora, będę się długo leczyć i bardzo się boję tej choroby — wyrzuciła z siebie słowa tak szybko, jak Alan zapowiadana niespodziankę.

<sup>2</sup> Wiem, że homoseksualizm nie przechodzi z ojca na syna, Alan, ale masz rację, jest we mnie rodzaj obawy i lęku (ang.).

Wszyscy spojrzeli na nią, nawet Catherine, która nie rozumiała po polsku, ale wyczuła, że matka Alana powiedziała coś ważnego i groźnego. Wypiła dwa łyki szampana. Zrzuciła z siebie ciężar i wcale nie czuła się źle z tego powodu, choć spotkanie miało być w założeniu radosne i to młodzi mieli być bohaterami wieczoru. Gdyby nie rozumiała, co Alan mówi Catherine, gdyby ją to nie zabolalo, nie odezwałyby się i nie wyskoczyła z wiadomością o chorobie. Prawdopodobnie w ogóle nie znalazłaby odpowiedniego momentu.

— Mamuś — jęknął Alan.

— Nie bój się, kochany, to nie rak, na moją chorobę nie umiera się szybko, na tę chorobę się cierpi, choć mam nadzieję, że mnie te cierpienia nie dotkną za bardzo. Dziś będziemy mówić tylko o was.

Nie chciałam wam zepsuć wieczoru, chciałam tylko, byście wiedzieli, nigdy was nie okłamałam, nigdy. I bardzo was Kocham.

Kiedy wróciła do domu, nie była już pewna, że dobrze zrobiła, mówiąc o chorobie. Miała sobie za złe nie tylko wybór nieodpowiedniego momentu, także impulsywną reakcję, przekonanie, że syn ją oceniał, gorliwość w uczeniu się na stare lata francuskiego, bo przecież gdyby nie zrozumiała, co powiedział Alan, nie włączyłaby się w tym momencie do rozmowy.

Była też wściekła na siebie za bezkrytyczne wsłuchanie się w porady Yvonne. Gdyby przed spotkaniem z chłopakami nie rozmawiała z przyjaciółką, na pewno byłoby w niej więcej dbałości o syna, a tak zaprezentowała się jako egocentryczna i bezwzględna matka, gotowa zrobić wszystko, by zepsuć młodym uroczyste i radosne chwile.

Żałowała nawet tego, że wybrała się do Paryża. Mogła poczekać, młodzi i tak zamierzali przyjechać na święta do Polski. Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu — przypominała sobie często powtarzane powiedzonko Olgi, której nierychliwość i stateczność nieraz pomagały w podejmowaniu rozsądnych decyzji.

Gdyby była w domu, wtuliłaby się w ramię Tomasza i po chwili nabrałaby pewności, że nie warto się irytować, bo choćby

nie wiem co zrobiła dobrego, to wszystko i tak potoczy się własnym torem, niezależnym od jej intencji.

Meła w sobie imiona: Alan, David, Filip, Alan, odmieniała je przez wszystkie przypadki. Pomiędzy wskakiwało jej imię: Nathanael. Ciekawe, że nie Catherine, tylko Nathanael. Zdziwiła się, że myśli o bohaterze książki Marguerite Yourcenar. Dlaczego teraz poczuła z nim więź, której nie precyzowała, bo było to coś na kształt przeczuć, ale nie wiadomo jakich. Coś nieokreślonego, a jednak klimatem pasującego do jej samotności.

Poczuła się bowiem bardzo samotna. Była to samotność, w której ma się ochotę odejść po cichu, zniknąć bez słowa. Bo komu i jak powiedzieć, i co, i po co. Nikt nie pojmie skargi. Nikt jej nie odpowie.

Są sprawy, które trzeba zostawić własnemu biegowi, nie komentować ich, nie naprawiać, pozwolić, by same się toczyły.

Poczuła, że telefon znów jej brzęczy w kieszeni kurtki. Właśnie otwierała bramę na patio, wstukując kod liczbowy, ale zdążyła odebrać. Usiadła na ławce, pod okienkiem konsjerżki.

— Nie odezwałaś się przez cały dzień, martwię się — powiedział Tomasz.

— Głupia jestem, bardziej niż ustawa przewiduje, Alan jest w ciąży, Filip mu kupił mieszkanie — wyrzuciła jednym tchem.

- Jednym słowem: Freud by się uśmieł.
- Z czego?
- Z wszystkiego, ale najbardziej z Alana w ciąży.

Z SZUFLADY EMILII (13)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

### WIEDŹMA Z PETITE PLAISANCE

Napisała w posłowniu do *Nathanaela*: „KaŹde dzieło literackie jest przemieszaniem wizji, wspomnienia i działania, pojęć i informacji zasłyszanych lub wyczytanych w ciągu życia, i odprysków naszej własnej egzystencji”.

To waŹne wyznaczenie dla tak powściągliwej pisarki. WaŹne jest i to, Źe identyfikowała się z trzema stworzonymi przez siebie postaciami: Nathanaelem i Hadrianem z *Pamiętników Hadriana* oraz Zenonem z *Kamienia filozoficznego*.

Marguerite Yourcenar.

Francuska pisarka i tłumaczka, Źyjąca w latach 1903-1987. Urodziła się w Brukseli, zmarła na wyspie Mount Desert w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkała od 1939 roku, z przerwami na liczne i czasem długie podróŹe. Jako pierwsza kobieta została członkiem Akademii Francuskiej w 1980 roku. Była teŹ laureatką Nagrody Erazma z Rotterdamu.



Jej nazwisko pisarskie jest anagramem właściwego: Crayencour. Zaczyna się od Y, bo pisarka lubiła tę literę, oznaczającą u Celtów skrzyżowanie dróg albo drzewo. Była tłumaczką Virginii Woolf, Henry'ego Jamesa, Hortensji Flexner, Konstandinosa Kawafisa i anonimowych twórców *negro spirituals*.

Bardzo dbała o swój wizerunek.

Przez pięćdziesiąt lat od jej śmierci, czyli do roku 2037, nie można zajrzeć do jej listów, pamiątek, notesów. Także do materiałów, które pozostawiła jej towarzyszka życia, Grace Frick.

Była zawsze „pielgrzymką i cudzoziemką” – taki tytuł zamierzała dać zbiorowi wspomnień i esejów. Uważała, że życie jest grą, wymagającą wszystkich naszych sił. Gracem była wytrawnym. Udało jej się stworzyć oficjalny wizerunek uduchowionej kobiety, egocentrycznej, bezlitosnej, o sercu z kamienia. Studentki z uniwersytetu w Bronxville, gdzie przez pewien czas prowadziła zajęcia, podziwiała jej mistrzostwo, tajemniczość, majestat. Nazywały ją „ciosaną w skale”.

Nie lubiła rozmawiać o prywatności. Obraziła się na przyjaciela, Matthieu Galeya (*Rozmowy z Marguerite Yourcenar*, Wydawnictwo Marabut), który nie wykreślił z książki zdań ukazujących ją zbyt prywatnie. Lubiała przemawiać „pomnikowo”, przybierać wyniosłe pozy w czasie oficjalnych wystąpień. Była mistrzynią tłumienia emocji i samokontroli.

„Przekonana jestem, że wolność głoszenia deklaracji o sposobie życia idzie w parze z wolnością milczenia na ten temat. Swobodę zdobywa się nie poprzez hałaśliwe stawianie żądań,

ale poprzez cichą, spokojną afirmację jestestwa” — pisała. — „Nie używam słów «homoseksualizm», «seksualizm». Dla mnie są to terminy zbyt «kliniczne». Istnieje lepsze słowo: «sensualność», — powiedziała w wywiadzie.

Inteligentna, zawsze zdystansowana, powściągliwa, pogodna, patrząca na ludzi spokojnie, chłodno, prawie niewinnie. Intelktu, oryginalności wywodu, dyscypliny myślenia mógł jej pozazdrościć największy filozof.

Miała swój styl ubierania się. Nosila długie, proste suknie, peleryny, szale, szerokie spodnie, etniczną biżuterię. Wybierała kolory brunatne, fiolet, czerń. Szanując ten styl, Ives Saint Laurent zaprojektował jej strój na ceremonię przyjęcia w szeregi akademików.

Anya Kayaloff, znajoma Marguerite Yourcenar i Grace Frick uważa, że były one hippiskami, zanim to pojęcie powstało. Świadczył o tym nie tylko ich sposób ubierania się, ale w ogóle sposób życia: domowe wypiekanie chleba, wegetarianizm, pacyfizm, nieoglądanie telewizji, brak samochodu.

— Większość mego życia intelektualnego poświęciłam na odrzucanie stylu życia wytworzonego przez cywilizację konsumpcji — powiedziała.

Stworzyła swój wizerunek kobiety tajemniczej, nieosiągalnej dla innych, spędzającej życie na pracy i rozmyślaniach w samotni Petite Plaisance, na wyspie Mount Desert, przez czterdzieści lat u boku ciągle tej samej przyjaciółki, Grace Frick. Ich związek nazywa miłością-sympatią, w której zmysły odgrywają ważną rolę, ale dominuje czułość.

Odwrócona od polityki, od grup społecznych, narodowych, wykorzeniona, solidarna czuje się tylko z pojedynczym człowiekiem, bo według niej sens mają tylko rozwiązania indywidualne. Wspomaga finansowo kampanie na rzecz ginących fok i wielorybów, zapobiegania plagom i na rzecz równowagi biologicznej.

Nie zabiegała o popularność u czytelników. Doceniona przez krytykę, miała garstkę życzliwych wyznawców, którzy znali jej *Łaskę śmierci*, zanim ukazały się *Pamiętniki Hadriana*, genialne dzieło życia, które rozślawiło ją także dzięki wysokonakładowej prasie, radiu i telewizji.

Pisała je w latach 1924-1929, potem w latach 1934-1937. Książka miała kilka szkiców, które zaginęły wraz z walizką, pozostawioną w hotelu przed wojną, i odnalazły się po dziesięciu latach, w 1948 roku.

Pisanie ostatecznej ich wersji zajęło Yourcenar trzy lata nieprzerwanej pracy, bez żadnych innych zajęć. W rozmowach z Matthieu Galeyem powiedziała: „To trzy lata współżycia z główną postacią w symbiozie tak zupełnej, że nieraz zdarzało mi się wiedzieć, że Hadrian kłamie, ale nie przeszkadzałam mu w tym [...]. Nie liczyłam, że więcej niż parę osób przeczyta tę książkę. Nigdy nie oczekuję, że moje książki znajdą czytelników, dla tej prostej przyczyny, że raczej nie zajmuję się rzeczami, które interesują większość ludzi”.

Yourcenar potrafiła spenetrować męską psychikę i wyjaśnić tajemnicę dzięki namiętności Hadriana do młodego Greka Antinusa.

Można zwiedzać dom Yourcenar i Frick — Petite Plaisance i na tej podstawie weryfikować wyobrażenia o pisarce, którą zna się tylko z dzieł, wywiadów, filmowego portretu. Tak zrobiła Sandra Petrignani, dzięki czemu odkryła inne oblicze pisarki, bo bardziej prywatne, a następnie opisała je w książce *Domy pisarek*.

Dom był dla Yourcenar przystanią, dziuplą na wsi, ciszą, w której mogła tworzyć, myśleć, być samotną, choć nie samą, bo bardzo się bała pojedynczości, dlatego nigdy nie mieszkała sama i nie podróżowała sama.

Została sierotą, mając dwadzieścia sześć lat, bo wtedy zmarł jej ojciec. Matki nie знаła wcale, gdyż zmarła po jej urodzeniu, w połogu. Po ojcu odziedziczyła spadek, który przeznaczyła na podróże i rozrzutne życie. Ta intelektualistka, znająca łacinę i grekę, a także kilka innych języków, w równym stopniu uwielbiała podróże, co kawiarniane życie, pełne prowokujących rozmów, zabaw, perwersyjnego erotyzmu i ekscesów.

Uwodzicielka mężczyzn i kobiet, za nic miała plotki, nie obchodziło jej, że wywołuje skandale. Nosila w sobie zawsze głębokie poczucie moralności, sprawiedliwości i prawdy. Aż do czasu wyjazdu do Stanów Zjednoczonych żyła beztrąsko, lekko i frywolnie, a potem oddała się w „niewolę” Grace, która była jej partnerką, sekretarką, przyjaciółką i strażniczką. Kobiety zgotowały sobie los podszyty sadomasochistycznymi zależnościami. Niekoniecznie bowiem musiało być tak, że to Marguerite była przez czterdzieści lat „zakładniczką zaborczej miłości” Grace. Być może i ona potrafiła być katem dla tej kobiety, schorowanej i kochającej za bardzo.

Kiedy Grace zmarła (1979), Marguerite w żałobie schudła dziesięć kilogramów. Spadała w pustkę, ale jednocześnie budziła się w niej chęć nadrobienia niemiłosiernie uciekającego czasu. Zakochała się do szaleństwa w Jerry'ym Wilsonie, którego poznała na rok przed śmiercią przyjaciółki. Miał dwadzieścia osiem lat i przybył wraz z ekipą telewizyjną z Francji, by sfilmować pisarkę w jej domu. Jerry stał się jej dziką namiętnością i upokarzającą miłością, trwającą sześć lat, aż do jego śmierci (zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat).

Jerry był homoseksualistą. W jego towarzystwie, a czasem i w towarzystwie narzeczonego Jerry'ego, odbyła szereg podróży: Kenia, Jamajka, Egipt, Japonia, Tajlandia, Indie, Grecja, Włochy, Francja. Jerry, Amerykanin znający francuski, stał się jej bóstwem, wcieleniem Antinousa, którego cesarz Hadrian kochał nawet po śmierci. „Wszystko trwa tyle, ile trwać może” — powiedziała w jednym z wywiadów, więc chwytiała chwile, radując się związkiem, w którym nie brakowało uniesień, zazdrości, sadyzmu, upokorzeń, manipulacji, gry, ironii. Była pewna, że żyć będzie krócej niż on, a tymczasem los zadecydował inaczej.

Najpierw umiera narzeczonego Jerry'ego. Jerry wiąże się z innym mężczyzną, Danielem, nie rezygnując jednak z podróży z Marguerite. Kiedy Jerry zaczyna chorować i wyjeżdża na leczenie do Paryża, Marguerite poddaje się operacji by-passów. On umiera w 1986 roku, po trzech nieudanych próbach samobójczych, ona w półtora roku po nim.

Michel Sarde w książce *Vous, Marguerite Yourcenar. La passion et ses masques* analizuje nerwicę uczuciową pisarki, źródła masochizmu, skłaniające ją ku konieczności odczuwania bólu w miłości i niedoceniaania siebie. Może z tego samego źródła wynika i to, że w twórczości pisarka hiperbolizuje postaci mężczyzn, dewaluując postaci kobiet.

W roku 1986 rozmawiała z Jorge Luisem Borgesem, na parę dni przed jego śmiercią. Żartując, zapytała go wówczas, kiedy wydobędzie się z labiryntu. Odpowiedział: „Kiedy wyjdą z niego wszyscy inni”.

Yourcenar.

Wiedźma, czyli ta, która wie.

Genialna erudytką.

Dziewczynka-staruszka o pobrużdżonej twarzy, z diabelskim błyskiem w oku.

Ukochana córeczka tatusia, dandysa i obieżyświata.

Yourcenar.

Lubiła, kiedy się do niej zwracano tylko po nazwisku, wymawiając je tak, jakby było imieniem.

Mistrzynie.

*Animula vagula, blandula.*

## ROZDZIAŁ XIV

### POWRÓT

Nie była zadowolona z wyjazdu do Paryża. Miała nadzieję, że stanie się on przełomem, wszystko naprawi, co zepsute, wyprostuje ścieżki. Myślała jak dziewczynka wierząca w krasnoludki lub inne sympatyczne stworki. W roli krasnoludka widziała oczywiście siebie, czyli lekarstwo na całe zło. Na miejscu przekonała się, że nikomu nie są potrzebne lekarstwa, a zło bynajmniej nie potrzebuje magii, tylko konkretnych działań.

Mimo niezadowolenia zrozumiała jedno: powinna się zająć sobą, bo świat Alana, Catherine, Filipa i Davida kręci się równie dobrze bez jej udziału. Była w tym gorzka prawdy z porzekadła: „Nie ma ludzi niezastąpionych”. Wróciła zasmucona, choć obiektywnie rzecz biorąc, nie miała powodu do smutków. Czuła się jednak, jakby coś z niej uleciało. Dopadła ją słabość fizyczna i niemoc, brakowało chęci do codziennych działań. Lubiała przecież swoje rytuały, dzięki którym organizowała dni, i problemem było raczej znalezienie wolnej godziny niż wymyślanie, czym można byłoby zapełnić istniejące.

Do wyznaczonej daty naświetlań, na które miała chodzić do kliniki, pozostały cztery dni. Gdyby nie wyraźnie obniżony nastrój, mogłyby stać się prawdziwym wypoczynkiem. Bała się, że Tomasz powie, aby wzięła się w garść, co byłoby najgłupszą sugestią. Wiedziała z doświadczenia, że w takich chwilach najlepiej zaakceptować stan rzeczy i nie walczyć na siłę. Poddać się rozmemłaniu, nicnierobieniu, nawet smutkowi, bo walka przynosi jedynie dodatkową irytację i zmęczenie.

Była rozszalona. Próbowała się dowiedzieć, skąd ten smutek. Wzięła kartkę i przedzieliwszy ją pionową linią na pół, zapisała po jednej stronie „oni”, co znaczyło teraz: Alan, Catherine, Filip, a po drugiej „ja”, co znaczyło – Emilia.

Spojrzawszy na ten podział, nabrała chęci do wypisania załóów. Po stronie „oni” znalazły się pytania:

Dlaczego Alan uciekł ode mnie do Filipa, mimo że to ja go wychowywałam i zrobiłam wiele, by stworzyć mu prawdziwy dom?

Dlaczego Filip jest teraz numerem jeden, dlaczego on się dowiaduje pierwszy o ważnych wydarzeniach w życiu syna, a nie ja, choć to ja go wychowywałam i dbałam o dobre relacje? Nawet o dobre relacje z Filipem?

Czy mam szanse na to, by Catherine mnie polubiła?

Po stronie „ja” napisała:

Dlaczego jest mi źle?



Dlaczego nie jestem zadowolona, choć w życiu wyszłam na prostą i powiodło mi się?

Dlaczego nie żyję tym, co teraz, tylko drażę przeszłość i boję się tego, co będzie?

Czy ma prawo mnie boleć to, co boli?

Czy umiem kochać?

Dlaczego zadreżcam się, zamiast akceptować?

Jak pozbyć się żalu i poczucia winy?

Przyjrząwszy się wyraźnie tym pytaniom, zobaczyła, jakie są naiwne. Była naiwną Emilią, która odkryła, że dzieci nie potrzebują już jej matkowania, a ona pragnie pocieszenia i przytulenia, bo nie radzi sobie bez pozycji w rodzinie, do której była przyzwyczajona jako samotna matka, obserwowana przez otoczenie i podziwiana. Wprawdzie nie miała problemów z czasem zabierającym jej młodość, a jednak z trudem godziła się z jego zachłannością, przez którą pozbywała się także funkcji opiekuńczych względem dorosłych dzieci.

— Musisz się nauczyć odpuszczać — pocieszał Tomasz. — Nie możesz zawsze i wszędzie trzymać wszystkich sznurków w ręce, już czas odpocząć, wziąć głęboki oddech. To sprawa twoich dziwnych ambicji, ale tak nie można. Przestań kwoczyć jak kwoka.

Nie złościła się, kiwała potakująco głową, bo miał rację. Bolało ją, że miał rację. Także i to, że nie potrafi tak łatwo odpuszczać, cokolwiek miałyby to znaczyć w jej relacjach z dziećmi.

Tomasz nie miał wygórowanych ambicji. Tomasz niczego sobie nie udowadniał, po prostu wołał być, niż działać, czyli mógł i chciał być cały po stronie Emilii, nic nie tracąc z bycia Tomaszem. Być Tomaszem — to była cała jego ambicja, trzon jego osobowości, który Bogumiła nazywała krainą łagodności.

Emilia czasem mu zazdrościła, czasem go podziwiała, bo chciała, jak on, żyć bardziej harmonijnie. Wtedy przypominała sobie, że w Tomaszu też są drzazgi, bo skąd inaczej brałaby się w nim skłonność do kłamstw, którymi uprzykrzył jej dwa razy wspólne życie. Tomasz działał kojąco i wtedy czuła, że jest szczęściarą, bo nie spędza życia samotnie, choć przez wiele lat się do tej myśli przyzwyczajała. Czasem przyłapywała się na chwiejności nastrojów i rozgrzeszała je klimakteryjnym obniżeniem poziomu hormonów. Rzadko przyznawała, że była dla siebie zbyt twarda, samokrytyczna i wymagająca, i że tłumiała uczucia, zwłaszcza gniew i smutek.

Za długo miała tendencję do samowystarczalności. Za długo czuła się samotna i wyizolowana, za późno znalazła swoją pasję, czyli pisanie, no i za późno spotkała Tomasza. Tomasza, który pokazywał jej, że szklanka niekoniecznie musi być w połowie pusta, może też być w połowie pełna, a to zasadniczo zmienia punkt widzenia.

— Czy zauważyłaś, Emi, że dziś rano w zlewie stały cztery nie umyte filiżanki, jeden kubek i dwa talerzyki? — zapytał,

kiedy zdawało się, że rozmowa o „odpuszczaniu” sobie już jest skończona.

— Nie rozumiem, co mi chcesz przez to powiedzieć — zareagowała zaczepnie.

— Chcę cię pochwalić, robisz postępy, słoneczko, przestajesz być perfekcyjna.

— Odpuszczam sobie, co znaczy tyle, że rano był w kuchni bałagan.

— Bałagan? Czy on komuś w nocy przeszkadzał? Czy świat się zawalił przez to, że ty nie umyłaś kubków wieczorem, a ja umyłem je rano?

Znów miał rację. Idealnie wysprzątana kuchnia była jej obsesją, naczynia zmywała natychmiast po jedzeniu i w dodatku utrzymywała, że niepotrzebna jej zmywarka, bo bardzo lubi być zmywarką. Złościła się, że Tomasz nie widzi drobiazgów burzących jej poczucie estetyki i bez względu na zmęczenie sprzątała. To prawda, ostatnio mniej jej zależało na perfekcji — myślała, że to ma związek z obniżonym nastrojem, a nie ze zmianą sposobu życia.

Z rozmyślań wyrwały ją kolejne telefony: od Małgorzaty, od Doroty, także od Bogumiły. Wszystkie reagowały ochami i achami na wiadomość, że Alan zostanie ojcem, a ona babcią. Wydało się, że córki wiedziały już wcześniej, tylko miały zakaz mówienia, bo Alan chciał oznajmić tę nowinę osobiście.

— Dowiedziałam się ostatnia — pomyślała od razu — ale za to wprost od Alana — pocieszyła się.

Bogumiła, która nie miała swoich dzieci, cieszyła się każdym nowo narodzonym wśród rodziny i znajomych. Tym razem też nie posiadała się z radości i natychmiast zarządziła kolację u siebie, by uczcić co najmniej dwa wydarzenia. O jednym z nich zamierzała Emilię poinformować dopiero przy kolacji.

Nie udało się jednak Bogumile zachować tajemnicy i ulegając namowom przyjaciółki, zdradziła, że po udziale w dwóch reklamach, nie będących szczytem jej marzeń, dostała wreszcie propozycję, która pozwoliła jej rozwinąć skrzydła z dumą i poczuciem prawdziwej misji. Reklama właśnie weszła na ekrany telewizorów i jest nadawana w czasie najwyższej oglądalności.

— Nie wytrzymam do osiemnastej — nalegała Emilia. — Zdradź mi już teraz, co reklamujesz.

— Zgadnij.

— Czyżby spełniło się twoje marzenie o reklamowaniu pampersów dla dorosłych?

— Z pampersami to był nie całkiem mądry pomysł, bo jednak kojarzą się z niedołążnością, a mówiąc wprost, z robieniem pod siebie. Dostałam lepszą propozycję, zobaczysz, to będzie strzał w dziesiątkę, rozwiązujący problem nie tylko starszych ludzi.

— Nie trzymaj mnie w niepewności, nie dotrwam w tym stanie ani do reklamy, ani do kolacji z tobą.

— Pomyśl.

— Nie nadaję się do myślenia.

– Podpowiem ci. Przypomnij sobie, co powiedział autor filozoficznej książki o życiu i szczęściu, kiedy pod koniec życia zapytano go, w czym teraz upatruje istotę szczęścia.

– Powiedział...

– No... jesteś na pewno blisko.

– Powiedział, że największym szczęściem jest regularne wypróżnianie się.

– Bingo, kochana! Bingo.

– Reklamujesz ziółka czy tabletki?

– Tego ci już nie powiem, zobaczysz sama, a potem od razu możesz zatelefonować z gratulacjami.

Bogumiła miała w sobie wiele pozytywnej energii i potrafiła rozchmurzyć nawet najbardziej ponurą osobę. Stała się swoistym bodźcem do wskrzeszenia codziennego rytmu też dla Emilii, która gdy tylko odłożyła słuchawkę, nabrała ochoty do zwykłych zajęć.

W ten sposób dotrwała do godziny osiemnastej i emisji reklamy z Bogumiłą, po której zaniemówiła z wrażenia. Bo o tym, że Bogumiła jest rewelacyjną aktorką, wiedziała od dawna, teraz zaś przekonała się, że jest aktorzycą, potrafiącą nawet diabła przekonać do robienia dobrych uczynków. Cała Polska mogła podziwiać uśmiechniętą Bogumiłę, polecającą bezbolesny zabieg hydrokolonoterapii – głębokiego płukania jelita grubego, dzięki czemu usuwa się złogi i toksyny, wzmacnia i stymuluje perystaltykę, co z kolei pobudza otrzewną, likwiduje

wzdęcia i zaparcia, zwiększa odporność immunologiczną organizmu oraz bardzo pomaga w kuracjach odchudzających.

Słuchając jej przyjaznego głosu, z którego była radość i witalność, Emilia nabierała pewności, że i jej taki zabieg by pomógł, uczyniłby ją czystsza, lekka, a co najważniejsze — wzmocniłby jej system immunologiczny, który rozchwiał się niebezpiecznie.

Uśmiechała się do siebie, a właściwie do przyjaciółki i podziwiała ją za to, że potrafi żyć. Po kolacji u Bogumiły rozpodziła się na dobre, była dumna, że przyjaźni się z kobietą mądrą, doświadczoną i pogodną. Przed Bogumiłą stało kolejne wielkie wyzwanie: monodram, którego tytułu ani problematyki, ani autora nie chciała na razie zdradzić, by nie zapeścić, dopóki nie dostanie umowy czarno na białym, potwierdzonej i zaklepanej.

Wieczorem, już w łóżku, Emilia zapisywała w dzienniku wydarzenia i plan działań na najbliższe dni. Tomasz zerkał, próbując się dopytać, czy pisze też o nim.

— W tej chwili sporządzam listę spraw do załatwienia — powiedziała.

— Za to cię też kocham — wyszeptał.

— Za co? Za to, że wpadam z nastroju w nastrój?

— Za to, że potrafisz się dyscyplinować i odpędzać smutki.

— Nie za bardzo mi to ostatnio wychodzi, przecież miotam się, marudzę, warczę i snuję się po kątach.

Tomasz podniósł się, poprawił poduszki, tak by móc bardziej siedzieć, niż leżeć, i pocałował Emilię w prawe ramię.

— Co jeszcze napisałaś?

— Napisałam, że chciałabym być jak Bogumiła i jak ty.

— To znaczy jaka?

— Bogumiła jest pogodna i potrafi znajdować sens, ty jesteś, jak ona mówi, krainą łagodności, a ja jestem zdziwaczką neurotyczką, martwiącą się na zapas o to, co w ogóle ode mnie nie zależy i czego ani trochę zmienić nie mogę, a nawet nie wiem, czybym chciała i jak. Jednym słowem: ja się nie nadaję do życia, a wy tak, dlatego mi żal, że nie potrafię jak wy.

— Rzeczywiście marudzisz, więc skoro musisz marudzić w tym stylu, to chętnie posłucham, jeśli nie zasnę.

— Człowiek przed tobą duszę otwiera, a ty zasypiasz. Na tym polega mój ból, że nikt mnie nie rozumie.

— Nie chce mi się spać.

— Płaczesz się w zeznaniach, krasnoludku.

— Mam pomysł — ożywił się — a właściwie to niespodziankę, która miała być jutro, ale skoro i tobie spać się nie chce, to możemy zobaczyć dziś, tylko musimy przenieść się do salonu, bo to film.

— O tej godzinie film? Przecież padnę po piętnastu minutach, wiesz, że wieczorem każdy film działa na mnie jak środek nasenny.

– Jestem pewien, że *Niebo nad Paryżem* podziała inaczej.

Emilia lubiła niespodzianki Tomasza. Rozsiadła się na kanapie, wtuliła w mięciutki koc, on umościł się w fotelu. Po chwili jednak wstał i przyniósł dwie lampki czerwonego wina i ser pleśniowy pokrojony w kostki. Kiedy zobaczyła czołówkę, wiedziała, że miał rację, nie zaśnie na filmie Cédrica Klapischa, w którym główne role grają Juliette Binoche i Romain Duris. Ożywiła się na dobre po pierwszych sekwencjach, bo zapowiadały refleksyjną opowieść o codzienności nie dostrzeganej przez zabieganych ludzi.

Przypominając sobie spacery po zaułkach Paryża i kawę wypijaną w niepozornych kawiarenkach, układała własną mozaikę wydarzeń, uczuć i miejsc. Mimo że potrzebowała samotnych godzin, zawsze żałowała, że dzieli je z Tomaszem tylko w myślach, jakby komentowanie na gorąco tego, co akurat zatrzymało jej uwagę, mogło pomnożyć zadowolenie, powszechnie nazywane szczęśliwymi chwilami.

– Dziękuję ci – wyszeptala, kiedy film się skończył.

– Słoneczko, to ja dziękuję, że mogłem ci sprawić przyjemność.

W pół godziny potem zasnęli wtuleni w siebie i wsłuchani w kompozycje Erica Satiego. Obiecali sobie przed laty, że w nocy będą zasypiać nie przy wiadomościach ze świata, lecz przy muzyce ulubionych kompozytorów.



Bała się ponownego kontaktu z kliniką, gdzie trzy razy w tygodniu miała poddawać się światło-chemioterapii PUVA. Czterdzieści zabiegów oznaczało co najmniej trzy miesiące leczenia. Wybrała godzinę ósmą, aby mieć pozostałą część dnia dla siebie. Nastawiała budzik na szóstą, by na dwie godziny przed naświetlaniem zażyć geraldynę, tabletkę z grupy psolarenowych, uwrażliwiającą skórę na działanie promieni ultrafioletowych. Wypijała w łóżku małą kawę.

Wychodząc z domu, zakładała słoneczne okulary na pół twarzy, by chronić soczewki przed światłem, ponieważ psolareny pozostają w nich przez dziesięć godzin. Nie zdejmowała okularów aż do wieczora, co było męczące, ale wolała ostrożność do przesady niż narażanie oczu. Gdyby poddawała się kuracji wiosną lub latem, musiałaby dbać o zasłanianie ciała przed słońcem.

Po pierwszym zabiegu poczuła swędzenie skóry na całym ciele i suchość w ustach. Kawiarenka w piwnicy szpitala była jeszcze nieczynna, samochód, w którym miała wodę mineralną, zostawiła kilka przecznic dalej, kiosk z gazetami i napojami na zewnątrz budynku, też jak na złość, był zamknięty.

Poszła więc na pierwsze piętro, by odwiedzić Monikę, z którą niedawno leżała w jednej sali. Nie była to godzina odpowiadania na wizyty, ale chciała zatrzymać się nie dłużej niż

dziesięć minut, a przy okazji poprosić pielęgniarkę o wodę.

Zajrzała do swojej dawnej sali i nie zobaczyła nikogo znajomego. Nowe pacjentki kończyły jeść śniadanie, pielęgniarki wywoływały do pokoju zabiegowego. Szpitalne życie tętniło zwykłym rytmem i choć minęło zaledwie kilkanaście dni, wszyscy byli nowi, nawet pielęgniarki jej nie rozpoznały. Zawahała się, co zrobić, czy pójść do siostry oddziałowej i zapytać o Monikę, czy przyjść później.

Przysiadła na krześle stojącym pod ścianą w pobliżu zabiegowego. Zakręciło jej się w głowie, język skołowaciał tak, że z trudem nim poruszała, próbując wykrzesać choć odrobinę śliny. Czytała o działaniach ubocznych psolarenów, ale nie pamiętała, by prócz nudności zdarzało się doskwierające pragnienie. Wiedziała, że toaleta jest o kilka kroków, ale nie miała ani siły, ani odwagi, by tam wejść, bo nie była teraz pacjentką dzienną, tylko dochodzącą. Nagle wszystkie znajome kąty wydały jej się zupełnie obce, a ona sama kimś zawadzającym i zbędnym, co skądinąd mogłoby być pocieszające, gdyby nie słabość, która ją zatrzymała, i Monika, którą zapragnęła zobaczyć.

— Jeśli pani kogoś szuka, to ja powiem gdzie, bo znam tu wszystkich — usłyszała nad sobą głos pani Kazi.

— Muszę wypić łyk wody — powiedziała, odsłaniając na chwilę oczy i rozwiązując szalik.

— O, Jezusiczku Nazareński, toż to nasza pani Emilka zasłabła! — Pani Kazia wbiegła do pokoju obok i przyniosła szklanę wody.

Emilia wypła wszystko jednym tchem.

— Dziękuję, pani Kaziu, już mi lepiej, nie zasłabłam, tylko musiałam się napić po naświetlaniach, może to z nerwów taka suchość w ustach. Jak dobrze, że panią widzę, pani Kaziu. Zaraz mi raźniej, choć cieszyć się nie ma z czego, skoro pani ciągle w szpitalu.

— A mnie tam dobrze, na szczęście, rana mi się na nodze otworzyła, więc Profesorka pozwoliła jeszcze zostać, a co mi tam, lepiej w szpitalu zemrzeć niż w domu, bo tu przynajmniej ludzie i ciepło.

— Pani nie powinna mówić o śmierci, pani Kaziu, w pani jest więcej życia niż w niejednym zdrowym i młodym.

— Za to lat mam dużo i już przychodzi mój czas, a jak czas przychodzi sprawiedliwie, na starość, to rady nie ma. Swoje przeżyłam — pani Kazia mówiła coraz wolniej, przyglądając się Emilii spod siwej grzywki.

Emilia poczuła skurcz żołądka, połączony z przeszywającym bólem, promieniującym do prawej łopatki. Znów zabrakło jej śliny w ustach. Zbladła, zdjęła kurtkę, rozpięła bluzkę, przetarła zroszone potem czoło. Podała proszącym gestem pustą szklanę. Pani Kazia przyniosła pełną wody.

— Niech pani pije, pani Emilko. Wody mam dosyć, została po Monice.

— Po Monice?

— To pani nic nie wie? No tak, długo tu pani nie było, a Monice się zmarło w tydzień po pani wyjściu. Wszystko ją nagle dopadło, i nerki, i płuca, bo oddychała już tylko przez rurki, a na koniec serce. Szybko to poszło biedaczce, a wyglądała na koniec jak ptaszek, tylko oczy miała do końca żywe.

Ostatnie słowa dochodziły do Emilii z oddali, z pogłosem, pani Kazia wydała jej się błyszcząca, ludzie przechodzący korytarzem poruszali się w zwolnionym tempie, bezszelestnie, szklanka wypadła jej z ręki, ale tego już nie poczuła. Ocknęła się na twardej kozetce, pod oknem, przez które zobaczyła różnej wysokości dachy.

Chciała zapytać, gdzie są jej ciemne okulary, przecież nie może po naświetlaniach patrzeć w niebo bez okularów, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu, więc tylko zamknęła oczy, by światło do nich nie docierało. Chciała przewrócić się na drugi bok, do ściany, zwinąć w kłębek i przykryć mięciutkim kocem z salonu, ale nie miała ani siły, ani koca. Słyszała głosy pielęgniarek, rozumiała, co mówiły, potwierdzała w myślach, była naszą pacjentką, tak, to prawda, po naświetlaniach PUVA, zemdląca.

Poruszyła się. Próbowwała podnieść głowę.

— Niech pani jeszcze poleży, gdzie się pani śpieszy? — usłyszała nad sobą głos pielęgniarki, przyjazny, znajomy.

Ciągle nie otwierała oczu, ale wiedziała, że to Zuzanna, młoda, lubiana przez pacjentów.

— Proszę mi podać okulary, jestem po naświetlaniach — powiedziała i poczuła, że pielęgniarka się uśmiechnęła, choć nie widziała tego. — Przepraszam, już mi lepiej. — Usiadła na kozetce, rozpoznając wokół znajome sprzęty, parawan, szklane szafki z lekarstwami, maściami, strzykawkami, krzesło, na którym siadała, gdy pobierano jej krew do analizy, i wreszcie tę samą kozetkę, na której już kiedyś leżała.

— Monika umarła, tak? — spytała.

— Tak — potwierdziła siostra oddziałowa. — Czy to pani przyjaciółka? Bo tak pani źle zareagowała na tę wiadomość o śmierci.

— A jak się reaguje dobrze na śmierć?

— Zemdląła pani, a ludzie częściej płaczą, niż mdleją.

— Mama nauczyła mnie dzielności, ja nie płaczę — powiedziała, co już nie było prawdą, bo potrafiła płakać, często w skrytości, miała dość czasu, by się nauczyć.

— Lepiej pani? Możemy przejść do naszej dyżurki, Zuzia zrobi pani herbatę, a poza tym tam jest zeszyt, który Monika zostawiła dla pani.

Emilia wzięła głęboki oddech. Pamiętała ten zeszyt, w twardej okładce, powleczonej bordową materią, typ sztambucha do zapisywania ulubionych wierszy, aforyzmów czy własnych dni. Leżał na szafce Moniki, hołubiła go, głaskała cza-sem, choć nic w nim nie zapisywała, może dlatego że palce

miała już sztywne i utrzymanie długopisu sprawiało jej trudność.

Dotykając teraz okładki zeszytu, Emilia czuła się, jakby gładziła skamieniałą, marmurową dłoń Moniki, której palce były wyszczerbione przez chorobę. Nie miała odwagi zajrzeć do środka. Pielęgniarki obserwowały ją kątem, czuła ich oczy na sobie i wiedziała, że czekają na komentarz, wyjaśniający, dlaczego zeszyt miał trafić właśnie do niej. Nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała, co jest w środku, choć zachowywała się tak, jakby wiedziała i dlatego się nie śpieszyła z otwieraniem.

— Skąd panie wiedzą, że ten zeszyt jest dla mnie? Czy Monika to powiedziała?

— Tak, powiedziała, a raczej wyszeptła, więc jej obiecałam, że przekażę na pewno.

— Ja obiecałam, że przyjdę, myślałam, że zdążę, nie wyglądała przecież na kogoś, kto tak szybko zgaśnie.

— Męczyła się wiele lat, już nie chciała dłużej, po trzydziestu latach praktyki szpitalnej wiem, kto chce, a kto nie chce dalej walczyć. Ona miała to zapisane w oczach. A wtedy umiera się w ciągu paru dni.

Dwieście czterdzieści dwa krótkie wiersze, zapisane, najpierw starannym, prawie kaligraficznym pismem, potem drukowanymi literami, widocznie tak jej było wygodniej. Wyglądało na to, że Monika utworzyła z wierszy księgę życia, bo Emilia znajdowała w nich różne fazy myślenia i przeżyć.

Czytała w kółko i czuła, że zbliża się do Moniki, poznaje jej „środek”, czyli to „coś” stałego, czego nie zmienił upływ czasu, coś pozostającego na dnie duszy bez względu na liczbę przeżytych lat. Kończyła i zaczynała od początku, powtarzając niektóre fragmenty jak mantrę, poddając się dźwiękom, brzmieniom, klimatom bardziej niż sensom. Tomasz przychodził cichutko, by zamienić pusty kubek herbaty na pełny. Nie pytał, nie ponaglał, nie przypominał, żeby poszła spać, nie mówił, że czas.

Już nie chciała rozmyślać nad tym, dlaczego zachorowała. Nieważne, czy to była kara za grzechy, jak chciałoby chrześcijaństwo, czy lekcja, jak chciałoby New Age, czy choroba była wynikiem zaburzeń spowodowanych czynnikami biofizycznymi, jak chciałyby medycyna tradycyjna, czy to była karma, czy ten bunt ciała, jak sugerowałyby Alice Miller, czy złudzenie, jak powiedzieliby gnostycy.

To wszystko było nieważne. Emilia była chora, tak jak Monika. Była chora na tę samą chorobę, na razie w łagodniejszej wersji. Pytać, dlaczego istnieją choroby, to tak, jakby pytać, dlaczego istnieje dobro i zło, jakby pytać, dlaczego istnieje przemijanie, czas, śmierć. Nie pytała więc o nic. Przyjmowała słowa Moniki jak gościę w dzieciństwie, bez pytań, czy trzeba, czy warto i co to oznacza.

Pomyślała, że i ona, podobnie jak Monika, pisze, „żeby przedłożyć teraźniejszość nad przeszłość / i żeby rudy był czasem

brązowy / żeby coś zostawić a nie wciąż uciekać / tam, gdzie i tak za daleko”<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> Cytowane wiersze pochodzą z nie drukowanego zbioru Marty Skonecznej (1975-2003), zmarłej tragicznie poetki, która żyła krótko i kolorowo jak motyl.

Zgadzała się z Moniką: „Bóg mieszka w górach, wszyscy o tym wiedzą, nawet ci, co nie wierzą”. Powtarzała: „Ja nie jestem tobą, ty nie jesteś mną, splot ciał jest warkoczem przelatującej komety”. Wiedziała, że kiedyś powie: „Jestem krewną kamienia, wciąż w miejscu, a jednak w drodze, mając niebo i ziemię za drogowskaz”. Albo powie: „Najwyższy czas odnaleźć Boga, własny niepokój ukamienowany powietrzem oddać rzece”.

Na razie nie chciała tak mówić. Chciała być. Bardziej być, niż działać.

W siódmym dniu naświetlań, na które przyjechała godzinę później niż zwykle, coś w niej nagle drgnęło. Kiedy wychodziła z kliniki, świeciło słońce, ciągle nie było śniegu, jedynie szron na szybach samochodów wskazywał na nocny przymrozek. W ciemnych okularach, czarnym kapeluszu i czarnej pelerynie zarzuconej na kurtkę wyglądała co najmniej jak tajemniczy don Pedro z Krainy Deszczowców, postać z bajki, którą z upodobaniem oglądały w dzieciństwie dziewczynki, a potem także Alan.

Uśmiechnęła się do tego skojarzenia i spostrzegła ten uśmiech w odbiciu szyby wystawowej palarni kawy, właśnie



mijanej w pośpiechu. Zawróciła. W zeszłym tygodniu nie była tutaj ani razu. Po naświetlaniach jechała do gabinetu fizykoterapii, potem albo do biblioteki, albo wprost do domu. Niepotrzebnie odmawiała sobie przyjemności wypicia czekoladowej kawy i zjedzenia owsianego ciasteczka.

Usiadła przy oknie, jak ostatnio z Tomaszem. Była dziesiąta piętnaście, co dostrzegła na zegarze wiszącym nad ladą, z tłem wyścielanym ziarnkami wypalanej kawy. Młoda, pulchna dziewczyna podała jej kawę bez śmietanki i szklaneczkę wody. Emilia wyciągnęła z torebki pudełeczko z tabletkami i połknęła poranną dawkę dokładnie odmierzonego sterydu.

„Choć wszyscy mają jakąś historię, jednak niewiele zostaje spisanych” — powtórzyła w myślach zdanie zapamiętane z *Opowieści o Blanche i Marie*. Wracała często do tej książki. Pisała o niej na blogu, opowiadała mającym zwyczaj czytać. Lubiała się dzielić książkami, jakby czytanie tych samych stanowiło o podobieństwie dusz, automatycznie zapisywało do klubu podobnie wrażliwych..

„Choć wszyscy mają jakąś historię, jednak niewiele zostaje spisanych” — powtórzyła raz jeszcze, dopijając kawę.

Z SZUFLADY EMILII (14)

<http://emily-foxyy.blog.onet.pl>

## MADAME SKŁODOWSKA-CURIE

### ZAKŁĘTA W KAMIEN I BRAZ

List otwarty do Marii Skłodowskiej-Curie,  
pisany nocą

Czy można wytłumaczyć istotę kobiecości i miłość, Madame Curie? Znaleźć wzór chemiczny na jedno i drugie? „Lecz kim byśmy byli, gdybyśmy nawet nie próbowali” — powiada Per Olov Enquist w *Opowieści o Blanche i Marie*.

Czy warto próbować opowiedzieć swoją prawdę, Madame Curie? Jaki ona będzie miała sens dla patrzących z boku i wiedzących lepiej? Czy można siebie zamknąć w definicji jak w klatce? A czym będzie to, co się w klatce nie zmieści, co wyjdzie poza jej ramy? Czy to będzie literatura, Madame Curie?

Nie Panią o to powinnam pytać, lecz siebie.

Fakty niekoniecznie są po naszej stronie, literatura częściej. Życie też nie musi być po naszej stronie, literatura może się okazać litościwsza. Kiedy o tym rozmyślam, mam minę tak zdziwioną, jakby do moich drzwi zadzwonił nie listonosz, ale Paul Newman, Robert Redford lub Julio Cortázar z ostatnią żoną, Carol Dunlop, z którą napisał książkę o podróży z Paryża do Marsylii, francuską Autostradą Południową, i o ich życiu na parkingach. Wiem, że nie odpowiem na te pytania, lecz kim

byłabym, gdybym nawet nie spróbowała ich zadać?

Fakty tworzą z Pani pomnik, Madame Curie. Literatura wzbogaca go o duszę.

Charles Baudelaire powiedział, że praca jest lepsza niż rozkosz, ponieważ rozkosz może zmęczyć i znudzić, a praca, będąca pasją i miłością, nigdy nie nudzi. Wyniki pracy mogą stać się powodem budowania pomnika, rozkosz raczej nie ma tej szansy, choć oczywiście od każdej reguły istnieją wyjątki, i dlatego pierś Julii, stojącej pod balkonem w Weronie, błyszczą złotem od pocierania jej przez turystów, wierzących w magię i proszących o cud miłości lub choćby rozkoszy.

A oto garść faktów z Pani życia, Madame Curie (przypominam je sobie, nie Pani):

W 1894 roku poznała Pani Piotra Curie, profesora fizyki w Szkole Przemysłowej Fizyki i Chemii w Paryżu. Rok później odbył się Wasz ślub.

Irena, późniejsza laureatka Nagrody Nobla, przyszła na świat w 1897 roku.

Jej siostra Ewa (Eve Curie Labouisse), późniejsza pisarka, dziennikarka, pianistka i polityk, w roku 1904.

W 1903 roku otrzymała Pani stopień doktora fizyki, jako pierwsza kobieta na Sorbonie. W tym samym roku również Nagrodę Nobla z fizyki wraz z mężem i Henrim Becquerelem, za badania nad odkrytym przez Becquerela zjawiskiem promieniotwórczości.

19 kwietnia 1906 roku w wyniku wypadku zmarł Piotr Curie, Pani mąż.

13 maja tego samego roku rada wydziałowa postanowiła utrzymać katedrę stworzoną dla Pierre'a Curie i powierzyła ją Pani, wraz z pełnią władzy nad laboratorium. Dzięki temu wyszła Pani z cienia i stała się pierwszą kobietą profesorem Sorbony.

W roku 1911 otrzymała Pani po raz drugi Nagrodę Nobla, tym razem z chemii, za wydzielenie czystego radu, i do dziś pozostaje Pani jedyną kobietą, która tę nagrodę otrzymała dwukrotnie, w dwóch różnych dziedzinach nauk przyrodniczych. Stała się Pani tym samym prekursorką nowej gałęzi chemii – radiochemii.

W tym samym roku 1911 zabrakło Pani dwóch głosów, by mogła Pani zostać jednym z czterdziestu członków Akademii Francuskiej i pierwszą kobietą w Akademii.

Po wielu latach, bo dopiero w roku 1980, zaszczytu tego dołączyła Marguerite Yourcenar. W 1979 roku umarła jej partnerka, z którą spędziła czterdzieści lat, więc członkom Akademii już nie przeszkadzało, że Yourcenar pozostawała w związku z kobietą, w Pani przypadku natomiast przeszkodą był Pani romans z Paulem Langevinem, fizykiem francuskim. Langevin był żonaty, a Pani, Madame Curie, w oczach prasy brukowej była osobą rozbijającą rodzinę, w dodatku kobietą o cztery lata starszą od Paula, na domiar złego – cudzoziemką (tutaj już pozwalałam sobie na interpretowanie faktów).

Dzięki Pani wysiłkom organizacyjnym w 1912 roku powstał w Paryżu Instytut Radowy, którego działem fizykochemicznym kierowała Pani aż do śmierci. W czasie pierwszej wojny światowej zdobyła Pani dwadzieścia samochodów i zorganizowała

ruchome pogotowie z aparatami Roentgena. W lipcu 1916 roku, jako jedna z pierwszych kobiet, zrobiła Pani prawo jazdy, by móc prowadzić samochód. Pogotowie znał cały front, a francuscy żołnierze wyposażone w aparaty rentgenowskie pogotowie nazywali „małymi Curie”.

To są fakty, to wiedza encyklopedyczna, konkretna, mówiąca sama za siebie.

Dzięki tym faktom została Pani zaklęta w kamień (a może w brąz) — na przykład w posąg dłuta Ludwika Nitschowej (projektowała także pomnik warszawskiej Syrenki, stojącej nad Wisłą), odsłonięty w 1935 roku przed Instytutem Radowym. To ten sam instytut, pod którego budowę kładła Pani w 1929 roku kamień węgielny, a na jego otwarcie ofiarowała jeden gram radu na cele badawcze i lecznicze. Dziś, po odbudowie ze zniszczeń wojennych, nazywa się Instytutem Onkologii i nosi Pani imię.

Z brązu odlano także pomnik autorstwa Mariana Koniecznego i ustawiono na placu Pani imienia, pomiędzy gmachami wydziałów fizyki i chemii a rektoratem uniwersytetu również Pani imienia — Uniwersytetu im. Marii Skłodowskiej-Curie (w tej kolejności właśnie, bo przecież używała Pani nazwisk wymiennie). Pomnik mierzy 4,4 metra. To Pani postać w postawie stojącej, w długiej szacie z podwiniętymi rękawami, w prawej ręce książka. Postument liczy 3,9 metra. W sumie ma Pani ponad osiem metrów wysokości.

Najbardziej lubię Panią zakrzepłą w brązie, w pomniku wysokim na dwa metry, według projektu Maksymiliana Biskupskiego, stojącym w niszy przy wejściu do Dużej Auli Gmachu Głównego Politechniki Warszawskiej.

Ma Pani spuszczoną głowę, jakby chciała zejść z piedestału, i podniesioną prawą dłoń, zwróconą w stronę auli, gdzie przebywają uczeni, jakby i Pani tam chciała dołączyć. W 1926 roku Politechnika Warszawska przyznała Pani doktorat honoris causa. To jedyna uczelnia w Polsce, która nadała Pani ten tytuł.

Madame Curie, chylę głowę przed Pani geniuszem.

Świat powinien o Pani śpiewać pieśni, Madame Curie.

Organizacje feministyczne powinny odmieniać Pani imię przez wszystkie przypadki. Każda kobieta powinna nosić medalik z Pani wizerunkiem. Mężczyźni powinni nie tylko ściągać kapelusze z głów na dźwięk Pani imienia, ale zginać się wpół.

Myślę o Pani jak o kobiecie, której wyrządzono krzywdę, i wtedy budzi się we mnie wściekłość, mam ochotę wykrzyzczyć tę niesprawiedliwość, w której i dziś kobiety odnajdują swój ból.

Kiedy zginął Pani mąż, przez trzy lata tkwiła Pani w chorobliwym milczeniu, rozpamiętując, że Wasze życie było nie tylko naukową przygodą. Któregoś dnia przypięła Pani różę do sukni i spróbowała, prócz sławy i zaszczytów, sięgnąć po nową miłość. Kto do kogo ciągnął bardziej? Czy Paul do Pani, czy Pani do niego? Czy to możliwe, by połączyło Was niebieskie światelko, niebieska poświata, bijąca od pierwiastka, który udało się wydzielić? Jaki związek zaistniał pomiędzy radem, miłością i śmiercią?

Czy fluoryzujący blask w ciemności laboratorium Was wzruszał? Czy budził tajemne uczucia i dreszcze, jak wtedy gdy patrzy się na dzieło sztuki? Dziś wszyscy wiedzą, że te magiczne promienie mogą zarówno ratować, jak i zabijać. Wtedy nikt

nie wiedział. Wielcy Wtajemniczeni dostąpili zaszczytu niesienia jak relikwii błękitnego kaganka w ciemność ogrodu, a inni pracownicy laboratorium i fabryk wytwarzających opatentowane specyfiki z radioaktywnymi składnikami umierali nie wiadomo dlaczego.

Pani romans z żonatym Paulem trwał pół roku. Miała Pani nadzieję na porozumienie nie tylko ciał, ale i dusz. Ciała oszalały, dusze reagowały własnym rytmem. Wtedy jeszcze nie mówiono o chemii miłości, nie rozprawiano o feromonach, norephetaminie i dopaminie. Ani o  $C_8H_{11}N$ , czyli fenyletyloaminie, produkowanej w hipotalamusie, części międzymózgowia.

Zbyt wiele Pani oczekiwała, Madame Curie, i powiedziała Pani o swoich oczekiwaniach w liście, który został wykradziony i opublikowany w „L'Oeuvre”. Nie знаła Pani kobiet, które są w stanie bronić małżeńskiego *status quo* w imię racji nie mających nic wspólnego z miłością. Im mniej miłości, tym więcej racji, Madame Curie. Listy im bardziej szczerze, tym mocniej niszczą godność kobiety. Co zapisane, madame Curie, to przyklepane. *Verba volant, scripta manent*.

W oczach tak zwanej opinii publicznej powinna była Pani pozostać przy chłodzie geniuszu. Nie wybacza się wybitnej uczonej, wdowie i matce dzieciom kapryśnym godnych wampa, podobnie jak nie jest aniołem stwór niebiański z fajką w ustach. Piedestał zobowiązuje do bezcielesności. Zarówno kamień, jak i brąz mają serce z kamienia i nie mają drzwi, Madame Curie.

W obliczu trudności Pani kochanek wołał pochylić głowę, by fala nienawiści, gotowa Was zniszczyć, zaledwie go musnęła.

Pelen skruchy powrócił do żony, nie w celu budowania solidnych podstaw domu i rodzinnych więzi, raczej w nadziei skorzystania z jego ochronnych murów, pozwalających łatwiej wejść w relację seksualną z sekretarką. Mężczyźni boją się kobiet mądrych i pełnych życia. Niełatwo je przekonać, że po to są, by przywracać równowagę i dawać pocieszenie mężczyźnie targanemu metafizycznymi niepokojami.

Królewska Akademia Nauk w Sztokholmie liczyła, że zrzeknie się Pani Nagrody Nobla, ponieważ świat usłyszał o Pani romansie. W liście do jej członka, Gösty Mittag-Lefflera, napisała Pani, że nie ma sobie nic do zarzucenia, nagroda została przyznana za odkrycie polonu i radu i zamierza ją Pani odebrać 10 grudnia, co też się stało.

Kocham Panią za to, Madame Curie, błogosławiona między kobietami.



## ROZDZIAŁ XV

### PIERWSZE ZDANIE

Wróciła do domu, zrzuciła pelerynę, kapelusz wsadziła na głowę złotego popiersia manekina, stojącego na komódce, i ku zdziwieniu Tomasza od razu usiadła przy biurku, nie zakładając nawet ciepłych skarpet, jakie zwykła nosić zamiast kapci. Otworzyła laptop i pomijając zwyczajowe sprawdzanie poczty, otworzyła nowy dokument, wystukała tytuł, a zaraz potem pierwsze zdanie, to najważniejsze, od którego można było zacząć wielkie pisanie.

Kiedy Tomasz zajrzał do niej po raz drugi, patrzyła w okno, podśpiewując: „Gdzie są kwiaty z tamtych lat, jasne kwiaty, gdzie są kwiaty z tamtych lat, czas zatarł ślad, gdzie są kwiaty z tamtych lat, każda z dziewcząt wzięła kwiat, kto wie, czy było tak, kto wie, czy było tak”.

— Wszystko w porządku, Emi?

— Tak, świat jest w porządku, bo ja czuję się dobrze — powiedziała.

— Najpierw zjesz śniadanie, dobrze?

— Ze mną jak z dzieckiem — zażartowała — najpierw śniadanie, a potem pisanie.

– Zarzucam poprzedni projekt, a raczej odkładam go na co najmniej pół roku i zaczynam opowiadać coś zupełnie nowego, to będzie taka spowiedź z grzechów, historia pewnej kobiety, opowiedziana „w skrócie dalekim od prawdy”.

– I masz już pierwsze zdanie?

– Tak, już zapisałam, pierwsze i drugie zdanie: „Emilia nie miała nabożnego stosunku do własnego ciała. Do tej pory nie sprawiało jej większych kłopotów”.

## ŹRÓDŁA CYTATÓW

1. Oriana Fallaci, *Wściekłość i duma*. Przełożył Krzysztof Hejnowski. Wydawnictwo Cyklady. Warszawa 2003. (s. 18)

2. Emily Dickinson, *Ust do świata*. Wybór, przekład, wstęp i opracowanie Danuta Piestrzyńska. Wydawnictwo Znak. Kraków 1994. (s. 52)

3. Carlos Maria Dominquez, *Dom z papieru*. Przełożył Andrzej Sobol-Jurczykowski. Świat Książki 2005. (s. 62)

4. Emily Dickinson, fragm.wiersza w tłum. Stanisława Barańczaka (s. 62)

5. Janet Malcolm, *Dwa życia. Gertruda i Alicja*. Przekład Anna Kołyszko. Wydawnictwo Magnum. Warszawa 2008. (s. 63 i 66)

6. Anne Sexton, *Poeta nieświadomości* [w:] Zbigniew Joachmiak, *Pułapka*. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1989. (s. 84)

7. Fragm. *Listów A. Sexton do A. Clark i do W.D. Snodgrassa* w tłum. Anny Sudrawskiej. Literatura na świecie nr 4 (201), kwiecień 1988. (s. 109)

8. Sandra Petrignani, *Domy pisarek*. Przekład Hanna Cieśla. Wydawnictwo Książkowe Twój Styl. Warszawa 2004 (s. 151)

9. Pat Conroy, *Muzyka plaży*. Przekład Andrzej Szulc. Wydawnictwo Zysk i Spółka. Poznań 1999. (s. 193)

10. Janina Katz, *Pucka*. Przełożyła Bogusława Sochańska. Wydawnictwo Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza. Warszawa 2008. (s. 207)

11. Marqueritte Yourcenar, *Nathanael* [w:] *I jak woda płynie*. Przełożyła Krystyna Dolatowska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991. (s. 266)

12. Mathieu Galey, *Rozmowy z Marqueritte Yourcenar*. Przełożyła Krystyna Dolatowska. Wydawnictwo Marabut, Gdańsk 1996. (s. 269)

13. Per Olov Enquist, *Opowieść o Blanche i Marie*. Przełożyła Iwona Jędrzejewska. Wydawnictwo Jacek Santorski & Co Agencja Wydawnicza. Warszawa 2006. (s. 292)

13.

# SPIS ROZDZIAŁÓW

Rozdział I

WIZYTA 7

Rozdział II

SEN 22

Rozdział III

ROMAN, MAŻ 40

Rozdział IV

MODLITWA 54

Rozdział V

TEATR 67

Rozdział VI

TOMASZ 87

Rozdział VII

SZPITAL – PRZYJĘCIE 111

Rozdział VIII

SZPITAL – MONIKA 132

Rozdział IX

JACEK 153

Rozdział X

SZPITAL 176

Rozdział XI

MONIKA, MAŁGORZATA, WONNE 193

Rozdział XII	
FILIP, AVIGNON, DAVID, WSPOMINKI	213
Rozdział XIII	
PARYŻ — CATHERINE, YVONNE, ALAN	235
Rozdział XIV	
POWRÓT	273
Rozdział XV	
PIERWSZE ZDANIE	299

© Copyright by Marta Fox

© Copyright by Wydawnictwo Literackie 2009

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna

Dorota Wierzbicka-Sarabura

Redakcja Sylwia Frołow

Korekta

Henryka Salawa, Ewa Kochanowicz, Małgorzata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych Monika Klimowska

Redakcja techniczna Bożena Korbut

ISBN 978-83-08-04383-7

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 70 g, vol. 2,0

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2009

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna 0-800 42 10 40

księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)

e-mail: [ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl)

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Edycja

Druk i oprawa: Drukarnia Kolejowa Kraków

